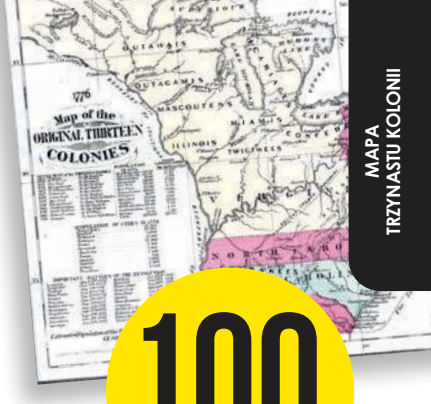
HISTORIA
BEZ TAJEMNIC

Nr 4 (30)/2026
cena **19,90 zł** (w tym 8% VAT)
www.historiabeztajemnic.pl



MAPA TRZYNASTU KOLONII

100 STRON

URODZINY IMPERIUM



250 LAT AMERYKAŃSKIEGO SNU

ISSN 2720-104X nr indeksu 439118
04
9 772720 104603

KLĘSKA BLADYCH TWARZY



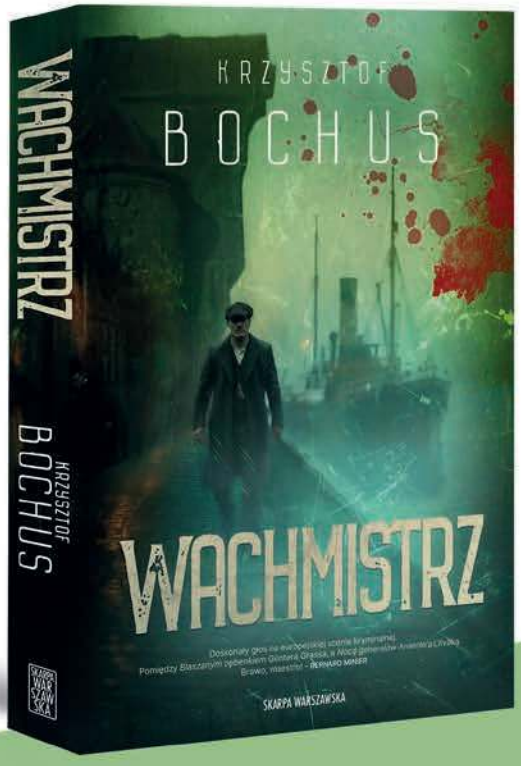
KRAJ (NIE)WOLNYCH



HITLER BOMBARDUJE NOWY JORK



KREW, ZDRADA I TAJEMNICA.



Grudzień 1929, czas Wielkiego Kryzysu. W Wolnym Mieście Gdańsku bez śladu znikają młode, atrakcyjne kobiety. Wszystkie są biedne i pochodzą z nizin społecznych. Śledztwo prowadzi młody radca Abell. Kierownictwo Kripo do pomocy przydziela mu doświadczonego policyjnego wygę – wachmistrza Kukulkę. Obaj policjanci są tak różni od siebie jak woda i ogień. Początki współpracy nie są więc łatwe. Zwłaszcza że w tym śledztwie nic nie jest oczywiste, a pytań jest więcej niż odpowiedzi. Chodzi o obsesyjny seks, seryjne morderstwa, handel żywym towarem – a może o coś więcej?



Początek 1930 roku. Przez pogrążone w wielkim kryzysie Wolne Miasto Gdańsk przetacza się fala spektakularnych kradzieży. Celem złodziei padają wille zamożnych gdańszczan: znikają kolekcje sztuki, waluta, cenna biżuteria. Pojawia się pierwszy trup. Śledztwo zostaje zlecone Abellowi i Kukulce. Wygląda na to, że kradzieży dokonują ludzie stylizujący się na proletariackich mścicieli. Sprawcy obrabowują bowiem tylko bogatych, pozostawiając w okradanych rezydencjach dwuznaczne cytaty z Biblii.

Śledztwo nie jest proste. Ktoś umiejętnie zaciera ślady, likwidując niepożądanych świadków. Tropy wiodą daleko w przeszłość, o której bohaterowie woleliby zapomnieć.

DO KOŃCA. BEZ WZGLĘDU NA CENĘ.
DO KRWI OSTATNIEJ. AMEN.

KUP KSIĄŻKI NA inbook.pl

SKARPA WARSZAWSKA

www skarpawarszawska.pl /SkarpaWarszawska skarpawarszawska SkarpaWarszawska

eprasa.pl 3678871f04



RAFAŁ BIELSKI, REDAKTOR NACZELNY

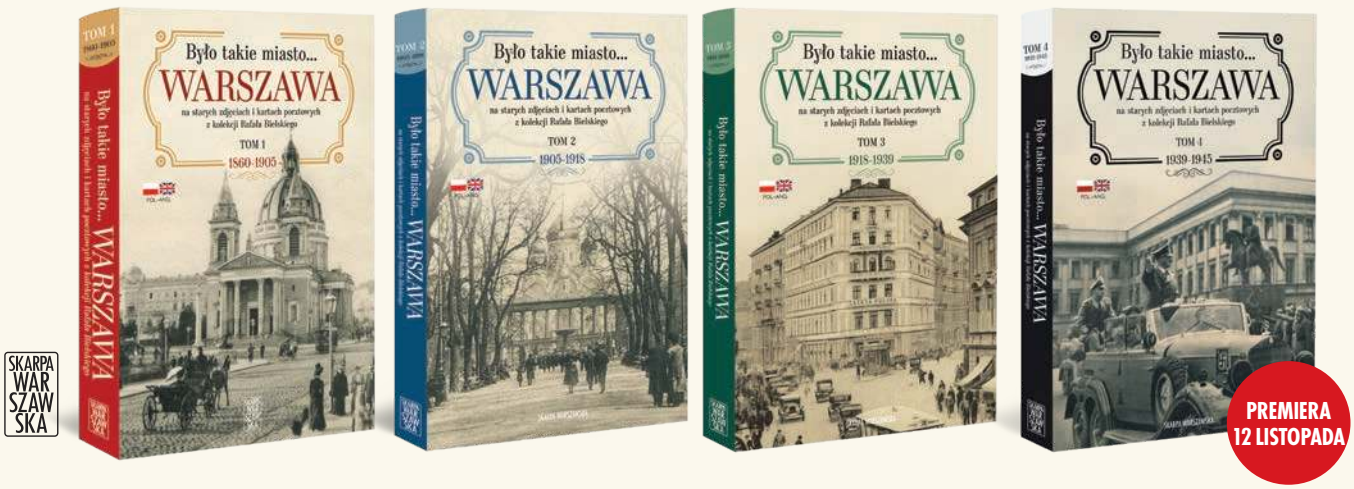
URODZINY IMPERIUM. 250 LAT AMERYKAŃSKIEGO SNU

4 lipca tego roku minęło ćwierć tysiąclecia od ogłoszenia amerykańskiej Deklaracji Niepodległości. Od 1776 roku Stany Zjednoczone przekształciły się ze zbuntowanej kolonii w światowe supermocarstwo – nie tylko pod względem siły militarnej i technologii, lecz także wpływu na kulturę oraz sposoby komunikacji międzyludzkiej.

Jak wygląda Ameryka dzisiaj? Jej jubileusz przemknął w mediach niemal niezauważony, ponieważ nieustannie bombardują nas informacje nie o historii, lecz o bieżącej roli Stanów Zjednoczonych w wydarzeniach na świecie – od Wenezueli, przez Ukrainę, po Iran. Pod administracją Donalda Trumpa państwo to robi wszystko, by nie dać światu o sobie zapomnieć.

Również wewnętrzne kryzysy naszego najważniejszego sojusznika w NATO zachęcają nas, aby koncentrować się na analizie teraźniejszości i z niepokojem spoglądać w przyszłość. Tymczasem Stany Zjednoczone to także fascynująca historia. W tym numerze „Historii bez Tajemnic" chcielibyśmy więc spojrzeć wstecz i przyjrzeć się mitom założycielskim narodu za oceanem, nie unikając przy tym tematów najtrudniejszych i najbardziej kontrowersyjnych – takich jak stosunek do rdzennych mieszkańców Ameryki czy rola imigrantów w budowie potęgi Stanów Zjednoczonych. Zajmiemy się zarówno źródłami „twardej", jak i „miękkiej" potęgi „Gwiazd i Pasów", bez irracjonalnych uprzedzeń, ale także bez naiwnych złudzeń, co do, jak to poetycko opisuje ich hymn narodowy, „kraju wolnych i domu odważnych".

Zapraszamy do lektury.



PARTNERZY WYDANIA: Narodowy Instytut Dziedzictwa 60 LAT MISJI · więzi · Pałac Kultury · Poczta Polska · PPL Polskie Porty Lotnicze · Muzeum Powstania Warszawskiego

PATRONI MEDIALNI: TVP Kultura · Radio ZET · Historia · Stolicy · książki · Superbiznes · centrum kreatywności targowa · NOWAWARSZAWA.pl

eprasa.pl 3678871f04

HISTORIA
BEZ TAJEMNIC

Redaktor naczelny:
Rafał Bielski

Sekretarz redakcji:
Maciej Sprzęgaj

Opracowanie graficzne,
skład i łamanie:
Agnieszka Kielak
Zuzanna Pniewska

Współpracownicy:
Krzysztof Bochus
Łukasz Czarnecki
Jakub Jastrzębski
Grzegorz Kalinowski
Wojciech Lada
Adam Podlewski
Michał Rastaszański
Agnieszka Szajewska

Korekta
Bożena Sigismund
Janusz Sigismund

Adres Redakcji:
ul. K.K. Baczyńskiego 1 lok. 2
00-036 Warszawa
Kontakt: tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl

Reklama:
tel. 22 416 15 81
reklama@skarpawarszawska.pl

Wydawca:
Agencja
Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o. o.
ul. K.K. Baczyńskiego 1 lok. 2
00-036 Warszawa

Zdjęcia na okładce:
domena publiczna

Redakcja nie zwraca niezamówionych tekstów oraz zastrzega sobie prawo do dokonywania skrótów w publikowanych materiałach. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.

© Wszystkie prawa zastrzeżone dla Agencji Wydawniczo-Reklamowej Skarpa Warszawska Sp. z o. o.

Wszelkie kopiowanie, powielanie, tłumaczenie lub dokonywanie jakichkolwiek skrótów i przeróbek bez zgody wydawcy zabronione.



NA GORĄCO

6
Odkrycia, konferencje, publikacje, rocznice

NA CZASIE

8
DAJCIE MI TYLKO SWOICH BIEDNYCH TŁUMY CAŁE
SZYMON ANTOSIK
Imigranci budują Amerykę

16
KRAJ (NIE)WOLNYCH
MICHAŁ RASTASZAŃSKI
Jak zbudować mocarstwo na cierpieniu

24
HOLLYWOOD TWORZY MĘŻCZYZNĘ
KATARZYNA GEORGIEV
Między ekranem a prawdziwym życiem

30
AMERYKAŃSKI KOSZMAR
ADAM PODLEWSKI
Hitler bombarduje Nowy Jork

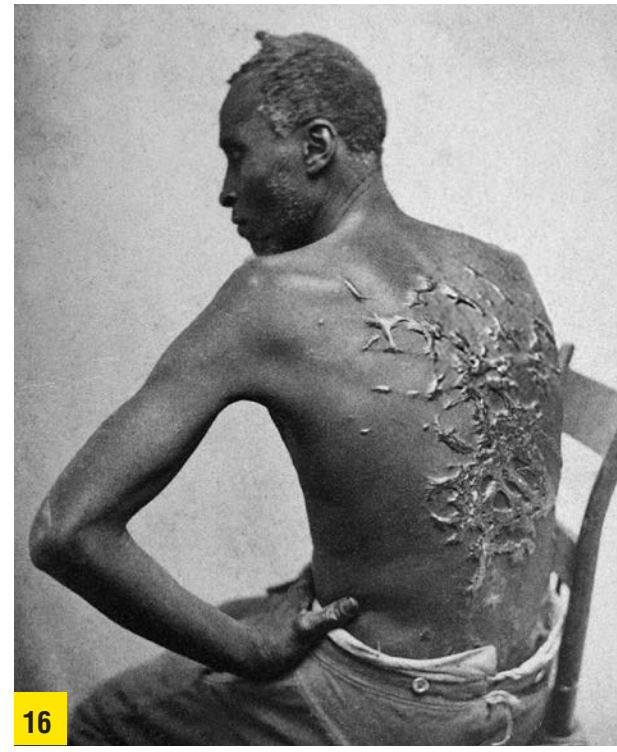
38
AMERYKAŃSKI KRÓL DIAMENTÓW
MAŁGORZATA GIERMAZ
Kariera niezwykłego jubilera

44
LITTLE BIGHORN
AGNIESZKA SZAJEWSKA
Bitwa, która obrosłą legendą

50
Mapa Trzynastu Kolonii

WOLNE TEMATY

54
GENERAŁ TADEUSZ JORDAN ROZWADOWSKI
KRZYSZTOF DROZDOWSKI
Zapomniany bohater roku 1920



eprasa.pl 3678871f04



24



44

SPIS TREŚCI

64
„DZIENNIKI HITLERA”
KRZYSZTOF BOCHUS
Fałszerstwo na miarę epoki

70
SEZON NA „WYKOPKI”
MACIEJ SPRZĘGAJ
Ogród Saski odsłania tajemnice

WYWIAD

78
W IMIĘ NAUKI PRZEKRACZANO GRANICE
Rozmowa z A. Rae Dunlap, autorką powieści *Wskrzesiciel*

82
CHCIAŁAM OPOWIEDZIEĆ HISTORIĘ KOBIETY, KTÓREJ GŁOSU NIE MA W PODRĘCZNIKACH
Rozmowa z Amandą Skenandore, autorką powieści *Balsamistka*

86
POLACY ODCHODZĄ OD ROMANTYZMU
Rozmowa z Piotrem Zychowiczem, autorem książki *Polacy. Opowieści niepoprawne politycznie*

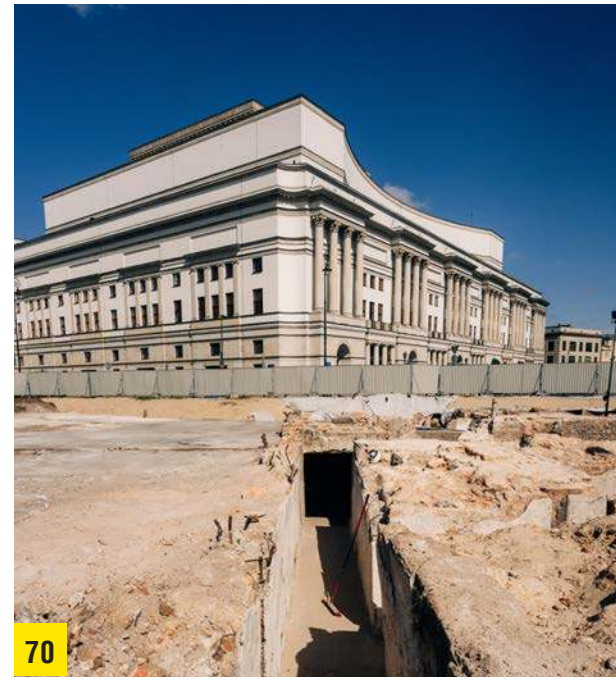
PRZECZYTANE, OPISANE

90
Fragment książki *Zachodni front. Historia pierwszej wolny światowej* autorstwa Nicka Lloyda.

96
Recenzja książki *Polacy. Opowieści niepoprawne politycznie* autorstwa Piotra Zychowicza



54



70

eprasa.pl 3678871f04

ARCHEOLOGIA

Twarzą twarz mieszkańcami starożytnego Rzymu. Wyjątkowa wystawa Budapeszcie

Zwiedzający Muzeum Aquincum Budapeszcie mogą dosłownie spojrzeć oczy ludziom, którzy żyli niemal dwa tysiące lat temu na północnych rubieżach Cesarstwa Rzymskiego. Wystawa „Kiedyś byliśmy tacy jak wy" prezentuje szesnaście rekonstrukcji twarzy mieszkańców rzymskiego Aquincum – miasta, które istniało na terenie dzisiejszej stolicy Węgier.

Ekspozycja powstała dzięki współpracy archeologów, antropologów genetyków. Punktem wyjścia były czaszki odkryte podczas wykopalisk. Na podstawie ich kształtu badacze określili wiek, płeć, budowę twarzy, ślady przebytych urazów czy chorób. Analizy DNA pozwoliły kolei odtworzyć cechy wyglądu, takie jak kolor oczu, włosów skóry, nawet obecność piegów.

Najbardziej efektowną część wystawy stanowi sześć hiperrealistycznych silikonowych popiersi wykonanych przez artystkę Emese Gábor. Powstały one na bazie wydrukowanych technologii 3D kopii czaszek, które następnie pokryto kolejnymi warstwami mięśni, skóry włosów. Zdaniem autorki takie modele robią znacznie większe wrażenie niż komputerowe wizualizacje, ponieważ odwiedzający mogą oglądać je każdej strony porównać bezpośrednio oryginalnymi szczątkami.

Twórcy wystawy chcieli jednak pokazać nie cesarzy czy generałów, lecz zwykłych mieszkańców prowincjonalnego miasta. Wśród zrekonstruowanych postaci znaleźli się kowal, chłopiec pracujący stajni, niewolnik, żołnierz czy robotnik budowlany. Każdej twarzy towarzyszy krótka, fikcyjna biografia oparta na wynikach badań archeologicznych wiedzy realiach epoki. Jednym bohaterów jest Respectus – robotnik zajmujący się tynkowaniem ścian obróbką kamienia. Ślady widoczne na jego kościach wskazują, że wykonywał ciężką pracę fizyczną, złamany nos wybity ząb stały się inspiracją do opowieści bójce tawernie. Kuratorzy podkreślają jednak, że imiona życiorysy są literacką rekonstrukcją, choć opartą na wiarygodnych przesłankach naukowych.

Badania kości ujawniły, że większość przedstawionych osób należała do niższych warstw społeczeństwa. Widoczne są liczne ślady przeciążeń, stanów zapalnych okresów niedożywienia, co świadczy ciężkich warunkach życia. Dzięki analizom genetycznym udało się również wykazać, że Aquincum było miastem niezwykle różnorodnym etnicznie. Obok mieszkańców pochodzących Italii żyli tam ludzie wywodzący się terenów dzisiejszej Szkocji Syrii, także Celtowie oraz przedstawiciele sarmackich ludów stepowych.

Jak podkreślają organizatorzy, celem ekspozycji było przywrócenie indywidualności ludziom, których szczątki przez lata pozostawały jedynie muzealnymi eksponatami. Tytuł wystawy przypomina, że mimo różnic kulturowych historycznych mieszkańcy rzymskiego Aquincum mieli podobne troski, wykonywali zwyczajne zawody prowadzili życie niewiele różniące się od współczesnego. Dzięki połączeniu archeologii, antropologii genetyki zwiedzający mogą po raz pierwszy spojrzeć na starożytnych nie jak na anonimowe szkielety, lecz jak na prawdziwych ludzi. Wystawa „Kiedyś byliśmy tacy jak wy" Muzeum Aquincum Budapeszcie potrwa do 31 października 2027 roku. ■

Źródło: AP News



Muzeum Aquincum w Budapeszcie, źródło: domena publiczna

eprasa.pl 3678871f04

FOTOGRAFIA

Wilno w Warszawie. Wystawa prac Józefa Czechowicza

Między 15 września a 13 grudnia 2026 roku w Muzeum Narodowym w Warszawie będzie dostępna wystawa „Józef Czechowicz (1818–1888) – fotograf Wilna". Wystawa pod kuratelą Danuty Jackiewicz będzie siedemnastą odsłoną Gabinetu Fotografii i po raz pierwszy poświęcona zostanie Wilnu – miastu, którego niepowtarzalny charakter utrwalił w latach siedemdziesiątych XIX wieku Józef Czechowicz, jeden z najwybitniejszych pionierów polskiej fotografii krajobrazowej. Na wystawie zaprezentowane zostaną fotografie ukazujące architekturę Wilna, malownicze wzgórza porośnięte zielenią oraz wijącą się przez miasto Wilię. Czechowicz, określany przez Jana Bułhaka mianem pierwszego wileńskiego fotografa pejzażysty, z wyjątkową wrażliwością dokumentował krajobraz i zabytki miasta, tworząc obrazy o wysokich walorach artystycznych i cennym znaczeniu dokumentacyjnym. ■

Źródło: www.mnw.art.pl



Józef Czechowicz, Kościół św. Kazimierza w Wilnie, źródło: Muzeum Narodowe w Warszawie





DAJCIE MI TYLKO SWOICH BIEDNYCH TŁUMY CAŁE

JAK IMIGRANCI ZMIENILI AMERYKĘ, A AMERYKA ZMIENIŁA ICH SAMYCH

eprasa.pl 3678871f04



Ilustracja z 1887 roku, przedstawiająca imigrantów na pokładzie statku przypływającego do Nowego Jorku, źródło: domena publiczna

„Przyślijcie mi bezdomnych gromady niemałe Dla nich podnoszę lampę nad złotymi wrotami”

Od 1903 roku te słowa z wiersza Emmy Lazarus witają przybywających do Nowego Jorku u stóp Statuy Wolności. Miały opowiadać o Ameryce jako ziemi obiecanej, ale czy ta wizja była zgodna z rzeczywistością?

TEKST:
SZYMON ANTOSIK

Tytuł sonetu autorstwa amerykańskiej poetki nawiązywał do kolosa rodyjskiego i głosił chwałę Stanów Zjednoczonych, które oferowały przybywającym z Europy nadzieję na lepsze życie. Była ona jednak okupiona ciężką pracą w fabrykach, kopalniach i rolnictwie. Tania siła robocza imigrantów zmieniła Amerykę i umożliwiła budowę jej przemysłowej potęgi. Życie za oceanem odcisnęło swoje piętno także na samych imigrantach.

Masowa migracja

Europejskie społeczeństwa w drugiej połowie XIX wieku weszły w okres tzw. transformacji demograficznej, która doprowadziła m.in. do gwałtownego wzrostu populacji. Większość Europejczyków mieszkała na wsi, na której szybko zaczęło brakować pracy dla tak dużej liczby ludności. Część znalazła ujście w industrializujących się miastach. Nie dla wszystkich starczyło jednak miejsca.

Rozwiązaniem okazała się emigracja transoceaniczna. Stany Zjednoczone przekształcały się właśnie w światową potęgę polityczną i gospodarczą. Rozwijał się przemysł, zakładano nowe miejscowości, a wcześniej już istniejące stawały się metropoliami, tak jak Nowy Jork. Z jednej strony zaistniały zatem czynniki wypychające Europejczyków do emigracji, a z drugiej strony w Stanach Zjednoczonych powstało ogromne zapotrzebowanie na siłę roboczą, które przyciągało do przyjazdu. Jednocześnie postęp technologiczny i wprowadzenie silników parowych na statkach znacznie przyspieszyło i ułatwiło podróże przez Atlantyk.

Szacuje się, że ciągu stulecia 1820–1920 do Stanów Zjednoczonych wjechało 36 milionów osób. Największe natężenie imigracji przypadło na lata 1880–1914, kiedy odnotowano ponad 22 miliony zarejestrowanych przyjazdów. Okres ten jest nazywany epoką masowej migracji. Należy pamiętać jednak, że te liczby odnotowują jedynie przekroczenie granicy. Część z tych ludzi wracała później do swojej ojczyzny lub kilkukrotnie odwiedzała Stany Zjednoczone.

Dotyczyło to często polskich emigrantów. Większość z nich rekrutowała się spośród chłopów, których głównym celem było zarobienie pieniędzy na zakup ziemi w domu. Niektórzy wrócili do rodzinnych wsi, wielu jednak pozostawało na obczyźnie. Do

eprasa.pl 3678871f04

wybuchu I wojny światowej do Stanów Zjednoczonych trafiło najprawdopodobniej około 1,3 miliona Polaków. Trudno jednak ustalić jednoznaczną liczbę polskich emigrantów do Stanów Zjednoczonych, bowiem nie istniało polskie państwo. Polacy ze względu na swoje obywatelstwo państw zaborczych mogli być zapisywani jako Rosjanie, Niemcy lub Austriacy.

Jak Ameryka zmieniała imigrantów?

Wyjazd do Stanów Zjednoczonych wpływał na migrantów w bardzo zróżnicowany sposób. Głównym powodem migracji była chęć poprawy warunków życia. Często kończyło się to sukcesem, co objawiało się w nieoczywisty sposób, na przykład wyższym wzrostem. Wysokość ciała jest, co prawda, determinowana przez geny, ale mogą na nią wpływać także inne czynniki. Istotne są warunki środowiskowe, takie jak wyżywienie – pod względem ilościowym i jakościowym – oraz obciążenie chorobami lub pracą. Sprawia to, że średnia wysokość ciała w danej grupie stanowi dobry wskaźnik biologicznego standardu życia. Podwyższanie jej poziomu w czasach historycznych można uznać za poprawę warunków bytowych.

Rozwiązaniem okazała się emigracja transoceaniczna. Stany Zjednoczone przekształcały się właśnie w światową potęgę polityczną i gospodarczą. Rozwijał się przemysł, zakładano nowe miejscowości, a wcześniej już istniejące stawały się metropoliami, tak jak Nowy Jork.

Dobrze widać to na przykładzie polskich emigrantów w Stanach Zjednoczonych na przełomie XIX i XX wieku. Ich wysokość ciała znamy ze źródeł wytworzonych podczas rekrutacji do Armii Polskiej we Francji w latach 1917–1918. Ta polska jednostka wojskowa brała rekrutów w znacznej mierze spośród Polonii amerykańskiej.

Dane zebrane na podstawie ankiet rekrutacyjnych dwóch i pół tysiąca ochotników, którzy stawili się przed Centrum Rekrutacyjnym nr 2 w Chicago, wskazują wyraźnie, że Polacy,



Grupa ochotników z Chicago do Armii Polskiej we Francji. W środku stoi Ignacy Jan Paderewski, 1917, źródło: NAC

eprasa.pl 3678871f04

którzy urodzili się i dorastali w Stanach Zjednoczonych byli wyżsi niż ich rówieśnicy spędzający ten sam okres na ziemiach polskich. Jednocześnie emigranci byli przeciętnie wyżsi niż osoby, które pozostały w kraju. Świadczy to o tym, że w podróż przez ocean udawały się jednostki silniejsze i zdrowsze niż przeciętnie. Jest to zbieżne z powszechną opinią o fizycznie wymagającej pracy, jaka czekała w Ameryce. Historyk i socjolog Franciszek Bujak na początku XX wieku poświadczył aforyzm, który powtarzali mieszkańcy Maszkienic, jego rodzinnej wsi: „Ameryka jest dla byka, Europa dla zwykłego chłopa".

Podobny obraz wyłania się z listów polskich emigrantów. Ciężka praca była jednak dobrze wynagradzana. Dobre wyżywienie pozwoliło uaktywnić potencjał genetyczny, uśpiony przez niedożywienie w kraju. Polscy emigranci w Ameryce nierzadko zwracali uwagę na ten aspekt zmiany miejsca zamieszkania. Jak można dowiedzieć się z listów pisanych zza oceanu, poprawę warunków żywieniowych często podkreślano w wiadomościach pisanych do krewnych, ponieważ była to plastyczna miara odniesionego sukcesu. W edycji listów emigrantów zebranych przez Marcina i Witolda Kulów oraz Ninę Assodobraj–Kula można się spotkać z wieloma takimi opisami. Przykładowo jeden z emigrantów pisał do domu, że „teras w Ameryce to nam się dosyć dobrze powodzi […] a lepiej zjeść i lepszy piniąć zarobić niezeli u was w Kraju starem".

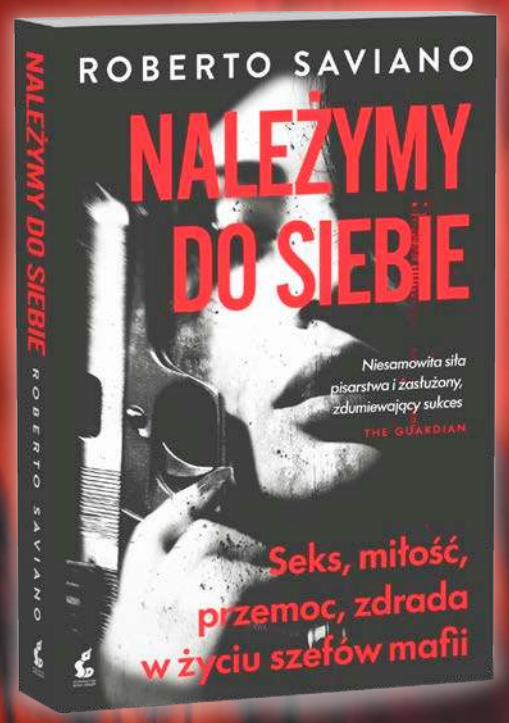
Wpływ amerykanizacji był widoczny także w zupełnie codziennym życiu. Dobrym przykładem jest kuchnia italo–amerykańska. Włosi na Starym Kontynencie dosyć rzadko mogli pozwolić sobie na spożywanie mięsa. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych ich potrawy nabrały bardzo mięsnego charakteru. Słynne ragu stało się obecnie znanym na całym świecie spaghetti bolognese. Wędlina *capocollo* została stałym elementem diety i pod wpływem języka angielskiego zmieniła nawet nazwę na dobrze znany z serialu „Rodzina Soprano" *gabagool*.

Nowoczesność amerykańska odcisnęła swoje piętno na strukturach społecznych imigrantów. Dobrze widoczne jest to na przykładzie Polonii zbadanej przez Floriana Znanieckiego i Williama Thomasa w klasycznym dziele socjologii „Chłop polski w Europie i Ameryce". Naukowcy na podstawie dokumentów wytworzonych przez polskich imigrantów, głównie listów, zbadali, jak pobyt za oceanem wpływał na życie społeczne wspólnot imigranckich.

Jednocześnie warto pamiętać o tym, że emigranci często wyróżniali się niezależnością od tradycyjnych wartości wiejskich i otwarciem na korzyści związane z emigracją. Osiedlenie się w Ameryce potęgowało

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA POLECA
NAJNOWSZĄ KSIĄŻKĘ
AUTORA *GOMORRY*

PRAWDZIWY
MAFIJNY ROMANS -
BEZ FIKCJI I NIE ZAWSZE
Z HAPPY ENDEM...



PREMIERA 17 CZERWCA

Zaskakujący, a jednocześnie
okrutny i prawdziwy portret
przestępczości zorganizowanej.

Czym jest seks dla organizacji
mafijnych? Piętnem, narzędziem
kontroli i zniewolenia, a może
powodem do wstydu lub chwały?

www.soniadraga.pl
WydawnictwoSoniaDraga
wydawnictwosoniadraga

eprasa.pl 3378871104



Imigranci przybywający na Ellis Island w 1902 roku, źródło: domena publiczna

poczucie wyobcowania i przyspieszało asymilację, która i tak dokonywała się w pełni w pokoleniu urodzonym już na amerykańskiej ziemi, co nieraz prowadziło do międzypokoleniowych konfliktów.

A jak imigranci zmieniali Amerykę?

Imigranci często byli zachęcani do podróży za pomocą plotek o rzekomym bogactwie czekającym na nich w Ameryce. Większość z nich trafiała jednak do niskopłatnych i niewymagających dużych kwalifikacji zawodów. Trafnie oddaje to cytat jednego z włoskich przybyszów, wygrawerowany na ścianie dawnego centrum imigracyjnego na Ellis Island, które obecnie pełni rolę muzeum. Napis głosi: „Przybyłem do Ameryki, ponieważ słyszałem, że ulice są wybrukowane złotem. Kiedy dotarłem, uświadomiłem sobie trzy rzeczy. Po pierwsze: ulice nie są wybrukowane złotem; po drugie: nie są wybrukowane w ogóle; po trzecie: to ja mam je wybrukować".

Historia Polonii amerykańskiej dobrze ilustruje losy wielu ówczesnych emigrantów. Zdecydowana większość Polaków przybywających do Stanów Zjednoczonych znajdowała zatrudnienie w przemyśle. Dużą część z nich stanowili rzeźnicy, na których istniało szczególne zapotrzebowanie w Chicago, mieście stanowiącym jedno z największych centrów przetwórstwa mięsnego w Ameryce. Taka struktura zatrudnienia wynika ze specyfiki polskiej emigracji do Stanów Zjednoczonych. Emigrantem był zazwyczaj chłop, którego do wyjazdu skłaniał głód ziemi, powszechny na ziemiach polskich w końcu XIX wieku. Zasadniczym celem wyjazdu było więc jak najszybsze i najefektywniejsze zebranie pieniędzy na zakup ziemi w ojczyźnie. W efekcie najbardziej pożądanym zajęciem stała się praca robotnika w fabryce lub kopalni, w których zarobki okazywały się wystarczające dla spełnienia założonego celu. Dopiero pokolenie urodzone na amerykańskiej ziemi wykazywało aspiracje do zdobycia kompetencji pozwalających na uzyskanie lepiej płatnej pracy i podwyższenia swojej pozycji społecznej.

Tym samym imigranci zasilali prężnie rozwijającą się amerykańską gospodarkę. Pracowali w kopalniach i hutach, w przemyśle ciężkim i w portach położonych na wschodnim wybrzeżu. Znajdowali zatrudnienie również w budownictwie, usługach i przemyśle odzieżowym. Imigranci zazwyczaj podejmowali pracę wymagającą fizycznie i niebezpieczną, często słabo płatną. Bez nich trudno byłoby jednak utrzymać tempo industrializacji i rozwoju miast w Stanach Zjednoczonych na przełomie XIX i XX wieku.

Tak jak wielu Polaków pracowało w przemyśle mięsnym w Chicago, podobnie w innych branżach gospodarki koncentrowały się poszczególne narodowości. Wielu Włochów pracowało w budownictwie, a przybysze z Europy Środkowej i Wschodniej często trafiali

Zdecydowana większość Polaków przybywających do Stanów Zjednoczonych znajdowała zatrudnienie w przemyśle. Dużą część z nich stanowili rzeźnicy, na których istniało szczególne zapotrzebowanie w Chicago, mieście stanowiącym jedno z największych centrów przetwórstwa mięsnego w Ameryce.

eprasa.pl 3678871f04

do kopalń, hut, stalowni oraz wielkich zakładów przemysłowych. Z kolei Żydzi byli szczególnie widoczni w nowojorskim przemyśle odzieżowym i drobnym handlu. Wynikało to często ze specyfiki tzw. migracji łańcuchowych. Pierwsi przybysze znajdowali pracę w obrębie swoich kwalifikacji, a następnie zachęcali swoją rodzinę, znajomych i sąsiadów z ojczyzny, aby dołączyli do nich i spełniali amerykański sen.

Imigranci wpływali jednak nie tylko na gospodarkę, ale również na kulturę. W amerykańskich miastach powstawały etniczne enklawy, w których kwitło życie społeczne, język i kultura z kraju pochodzenia. Potrawy, muzyka, święta i zwyczaje imigrantów często bywały przyjmowane przez Amerykanów. Jednocześnie obecność coraz liczniejszych społeczności imigranckich wywoływała wrogość wśród niektórych mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Imigranci byli potrzebni amerykańskiej gospodarce, ale zarazem postrzegano ich jako konkurencję na rynku pracy oraz zagrożenie dla istniejącego porządku społecznego i kulturowego.

Postawy antyimigranckie

Stałe osadnictwo Europejczyków na terenie współczesnych Stanów Zjednoczonych rozwinęło się w Nowej Anglii, za sprawą mieszkańców Wysp Brytyjskich. Protestanccy Anglicy i Szkoci rozwijali zalążek, z którego po latach narodziło się niepodległe państwo amerykańskie, początkowo zdominowane przez tzw. *White Anglo–Saxon Protestants*. Rozwój wymagał jednak nowych osadników. Wielu z nich różniło się diametralnie, na przykład pod względem wyznania lub pochodzenia etnicznego.

W ciągu XIX wieku do Stanów Zjednoczonych licznie przybywali imigranci niemieccy, irlandzcy, skandynawscy, włoscy, polscy i żydowscy. Coraz większa liczba mieszkańców obcego pochodzenia wywoływała niechęć wśród dotychczas dominujących protestantów pochodzenia anglosaskiego. Pierwszą organizacją o charakterze antyimigranckim byli tzw. Nic Niewiedzący (ang. Know Nothing), działająca w latach połowie XIX wieku. Ich reprezentacją polityczną była krótko istniejąca Partia Amerykańska, której ostrze krytyki



Dzielnica włoska w Nowym Jorku w 1900 roku, źródło: domena publiczna

eprasa.pl 3678871f04

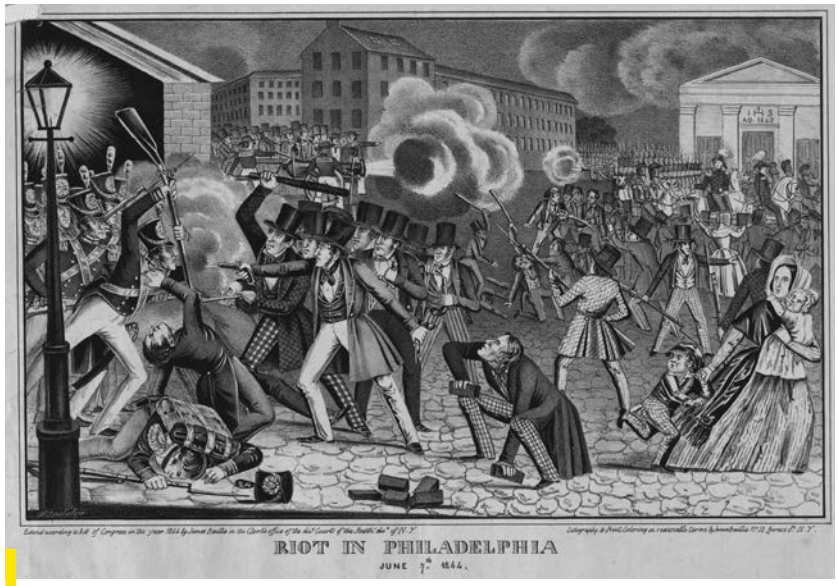
było skierowane przeciwko tłumnie przybywającym wtedy katolikom z Irlandii oraz katolikom i luteranom z krajów niemieckich. Ci amerykańscy nacjonaliści byli nazywani natywistami.

Specyficzną odsłoną antyimigranckich postaw w XIX wieku było także tzw. żółte niebezpieczeństwo (ang. yellow peril). Jej geneza wiąże się z napływem chińskich osadników na zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych, ale sama idea szybko rozprzestrzeniła się poza społeczeństwo amerykańskie i sięgnęła Europy. Na Starym Kontynencie odwoływano się do zagrożenia, które mogą spowodować rosnące w potęgę azjatyckie kraje, takie jak Japonia. W samych Stanach Zjednoczonych nagonka doprowadziła do uchwalenia w 1882 roku prawodawstwa ograniczającego chińską imigrację.

Pętla zaciskała się także wokół imigrantów pochodzących z Europy Południowej i Wschodniej. W 1907 roku w amerykańskim senacie została powołana komisja pod przewodnictwem Williama P. Dillinghama, która miała oszacować wpływ imigracji na gospodarkę. Jej werdykt nie był przychylny dla imigrantów. Wyniki jej prac zostały opublikowane w 41 tomach i postulowały m.in. ograniczenie imigracji, zwłaszcza z krajów innych niż położone w Europie Zachodniej i Północnej oraz całkowity zakaz wjazdu dla analfabetów.

Pomimo to członkowie komisji dostrzegali jednak pewne pozytywy i zauważali, że ludzie podróżujący do Ameryki nie są przypadkowi: *Although drawn from classes low in the economic scale, the new immigrants as a rule are the strongest, the most enterprising, and the best of their class* (ang. Chociaż nowi imigranci wywodzą się z niższych warstw społecznych, to co do zasady są jej najsilniejszymi, najbardziej przedsiębiorczymi i najlepszymi przedstawicielami).

Po I wojnie światowej w Stanach Zjednoczonych zostało wprowadzone prawodawstwo, które ograniczało imigrację. Narzucono maksymalną kwotę 150 tysięcy imigrantów, którzy mogli w ciągu roku legalnie osiedlić się i rozpocząć pracę w Ameryce. Istotny był przy tym kraj pochodzenia, bowiem obywatele niektórych państw mogli przybywać w większej liczbie niż pozostałych.



Zamieszki wywołane przez natywistów w Fildelfi, 7 czerwca 1844, litografia autorstwa H. Bucholzera, źródło: Wikimedia Commons

Niekończąca się historia?

Po I wojnie światowej w Stanach Zjednoczonych zostało wprowadzone prawodawstwo, które ograniczało imigrację. Narzucono maksymalną kwotę 150 tysięcy imigrantów, którzy mogli w ciągu roku legalnie osiedlić się i rozpocząć pracę w Ameryce. Istotny był przy tym kraj pochodzenia, bowiem obywatele niektórych państw mogli przybywać w większej liczbie niż pozostałych. Faworyzowani byli przybysze z krajów Europy Północnej i Zachodniej, bowiem próg ustalono na 2% liczby osób danej narodowości mieszkających w Stanach Zjednoczonych według spisu z 1890 roku. Na mocy tego prawa od 1924 roku legalnie mogło się osiedlić jedynie 6 tysięcy Polaków.

eprasa.pl 3678871f04



Meksykańscy robotnicy z programu Bracero, 1954, źródło: Wikimedia Commons

Ówczesne nastroje antyimigranckie można zaobserwować nawet na kartach poczytnej literatury. Wydane w 1927 roku opowiadanie H.P. Lovecrafta pt. „Koszmar w Red Hook" jest osadzone w środowisku nowojorskich imigrantów zamieszkujących tytułową dzielnicę na Brooklynie, którzy są przedstawieni w bardzo złym świetle. Autor podkreślał, że dawniej dzielnica była schludna, ale obecnie to labirynt slumsów oraz „istna wieża Babel hałasu i brudu, śląca dziwaczne okrzyki w odpowiedzi na szum oleistych fal rozbijających się o posępne nabrzeże".

Ograniczenia skutecznie zahamowały masową imigrację z Europy, ale zapotrzebowanie na nowych pracowników nie zniknęło. W 1942 roku ruszył tzw. program Bracero, na mocy którego miliony Meksykańczyków rozpoczęły pracę, głównie jako tymczasowi robotnicy rolni. Dzięki poluzowaniu przepisów począwszy od połowy lat 60. nastąpił ponowny wzrost imigracji do Stanów Zjednoczonych. Zaszły jednak dwie istotne zmiany w porównaniu z czasami masowej migracji z przełomu XIX i XX wieku. Większość imigrantów zaczęły stanowić osoby pochodzące z krajów latynoamerykańskich i azjatyckich. Ponadto nowi Amerykanie nie stanowili już wyłącznie taniej siły roboczej. Oczywiście, wciąż znaczna część z nich nie posiadała wysokich kwalifikacji i szukała prostych zajęć. Wielu z nich było jednak specjalistami chcącymi rozpocząć pracę w rozwijającym się przemyśle wysokiej technologii albo studentami i naukowcami przyciągniętymi przez amerykańskie uniwersytety.

Imigranci zatem coraz częściej pochodzili z krajów pozaeuropejskich, ale pewne rzeczy pozostawały niezmienne. Według badań Rana Abramitzkiego i Leah Boustan podsumowanych w książce „Streets of Gold. America's Untold Story of Immigrant Success" kraj pochodzenia nie determinował odniesienia sukcesu, a dzieci imigrantów – zarówno dzisiejszych, jak i XIX–wiecznych – miały statystycznie większe szanse na mobilność społeczną niż potomstwo osób urodzonych na terenie Stanów Zjednoczonych. Podobnie szybko następuje asymilacja. Niegdyś oskarżano imigrantów pochodzących z Europy Południowej i Wschodniej o słabą integrację z amerykańskim społeczeństwem. Obecnie często zarzuca się to Meksykanom. Tymczasem najnowsze badania wskazują na to, że te grupy należały do najszybciej asymilujących się. Ponownie możemy zatem zauważyć, że historia lubi się powtarzać. ■



SZYMON ANTOSIK
Doktor historii, absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i Uniwersytetu Warszawskiego. Popularyzator historii i edukator.

eprasa.pl 3678871f04



Niewolnicy pracujący na plantacji bawełny pod okiem nadzorcy, ok 1850, źródło: domena publiczna

KRAJ (NIE)WOLNYCH

JAK NIEWOLNICTWO STAŁO SIĘ JEDNYM Z FUNDAMENTÓW AMERYKI?

Niewolnictwo w Ameryce nie było jedynie narzędziem do zarabiania pieniędzy. W Stanach Zjednoczonych powstał cały system społeczno–gospodarczy, w oparciu o który realizowano politykę. Pierwsza połowa dziewiętnastego wieku stała się dla plantatorów złotą epoką, ale doprowadziła też do zguby amerykańskie Południe.

TEKST: MICHAŁ RASTASZAŃSKI

eprasa.pl 3678871f04

Uważamy następujące prawdy za oczywiste: że wszyscy ludzie stworzeni są równymi, że Stwórca obdarzył ich pewnymi nienaruszalnymi prawami, że w skład tych praw wchodzi prawo do życia, wolności i dążenia do szczęścia – głosiła deklaracja niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki. W tym czasie, spośród ok. 2,1 miliona mieszkańców zbuntowanych kolonii, aż 450 tysięcy ludzi pozostawało w niewoli. W tekście istniał ogromny rozdźwięk między oświeceniowym językiem filozofów, nawiązującym do idei praw naturalnych każdego człowieka, a brutalnymi realiami gospodarczo–społecznymi Nowego Świata. By wybrnąć z tej sprzeczności, Thomas Jefferson, autor deklaracji niepodległości i sam również bogaty plantator, zrzucał w pierwotnej wersji dokumentu winę za niewolnictwo na metropolię. Jak pisał:

To on [król – przyp. Michał Rastaszański] *wypowiedział okrutną wojnę przeciwko samej naturze człowieka, gwałcąc jej najświętsze prawa do życia i wolności wobec ludzi z odległego ludu, którzy nigdy go nie obrazili; pojmując ich i wywożąc do niewoli na inną półkulę albo skazując na nędzną śmierć podczas transportu tam. Ta piracka wojna, hańba przyniesiona przez niewierne mocarstwa, jest wojną prowadzoną przez CHRZEŚCIJAŃSKIEGO króla Wielkiej Brytanii. Zdeterminowany, by utrzymać otwarty rynek, na którym LUDZIE są kupowani i sprzedawani, sprzeciwiał się wszelkim próbom ustawodawczym zmierzającym do zakazania lub ograniczenia tego przeklętego handlu.*



Reklama tytoniu z plantacji w Wirginii, XVIII wiek, źródło: domena publiczna

Według Jeffersona to król i jego słudzy mieli doprowadzić do takiej sytuacji, że niewolnictwo jest rozpowszechnione w Ameryce. Amerykanie, podobnie jak czarnoskórzy niewolnicy, mieli być ofiarami tego samego tyrana z Londynu. Nawet takie ujęcie sprawy nie mogło jednak przejść przez Kongres Kontynentalny. W takim brzmieniu dokumentu nigdy najpewniej nie osiągnięto by konsensusu między zbuntowanymi koloniami. Południowcy nie mogli dopuścić sformułowań podkreślających niewinność i cierpienie czarnoskórych, ponieważ mogłoby to doprowadzić do niekontrolowanego załamania się systemu niewolniczego, w tym rebelią czarnoskórych, zapaścią gospodarki i prywatnych majątków. By przepchnąć deklarację niepodległości, po prostu wycięto z pierwowzoru kontrowersyjny fragment. W Nowym Świecie system niewolniczy tak wrósł w społeczeństwo i gospodarkę, że nie mogło go zmienić nawet powstanie Stanów Zjednoczonych.

Niewolnictwo – grzech pierworodny?

W 2019 roku pod patronatem „New York Timesa" powstało głośne i kontrowersyjne przedsięwzięcie, tzw. The 1619 Project. Jego założeniem miała być seria prac dążących do przedefiniowania początków Stanów Zjednoczonych. Według zabierających głos publicystów, szukać go należało w 1619 roku. To właśnie wtedy do Wirginii, wówczas istniejącej od kilkunastu lat pierwszej angielskiej kolonii przypłynął równie pierwszy transport niewolników. Zdaniem publicystów „New York Timesa" niewolnictwo stało się odtąd centralnym zagadnieniem, wokół którego kształtowała się Ameryka. Wśród kontrowersyjnych stwierdzeń pojawiła się nawet interpretacja amerykańskiej rewolucji, jako chęci zabezpieczenia niewolnictwa przed



Plantacja bawełny w dolinie rzeki Mississipi, 1857, źródło: domena publiczna

eprasa.pl 3678871f04



Eyre Crowe, *Niewolnicy czekający na sprzedaż: Richmond, Virginia*, 1861, źródło: domena publiczna

potencjalną abolicją narzuconą przez metropolię. W takich interpretacjach jest dużo dziennikarskiej przesady i naciągania rzeczywistości, a takie spojrzenie zostało skrytykowane przez wielu zasłużonych badaczy. Trzeba pamiętać, że w wielu koloniach instytucja ta miała znaczenie marginalne i została zniesiona jeszcze w XVIII wieku. Tak było w kolebce rewolucji, Massachusetts, gdzie w 1783 roku formalnie zlikwidowano niewolnictwo. Mniej więcej na początku XIX utrwalił się podział na niewolnicze Południe i wolną Północ.

Kształtujące się od siedemnastego wieku niewolnictwo było swego rodzaju ewolucją. Początkowo koloniści poszukujący dodatkowej siły roboczej do pracy, nie skłaniali się wyłącznie w stronę Afryki. Za instytucję zbliżoną do niewolnictwa uważa się tzw. służących kontraktowych. Z reguły byli to ludzie, którzy podpisywali umowę z korzystającym z ich usług zwierzchnikiem, na mocy której zrzekali się prawie wszystkich swoich praw na wiele lat. W ten sposób mogli opłacić transport do Ameryki, uniknąć

Południowcy nie mogli dopuścić sformułowań podkreślających niewinność i cierpienie czarnoskórych, ponieważ mogłoby to doprowadzić do niekontrolowanego załamania się systemu niewolniczego, w tym rebelią czarnoskórych, zapaścią gospodarki i prywatnych majątków. By przepchnąć deklarację niepodległości, po prostu wycięto z pierwowzoru kontrowersyjny fragment.

eprasa.pl 3678871f04

więzienia, bądź ich alternatywą była jeszcze większa bieda. Niektórych jednak w sługi kontraktowe obrócono przy pomocy podstępu bądź przymusu. Praca dla swojego „pracodawcy" była bezpłatna i nie można jej było zerwać. Zbiegłego sługę szukało się tak jak niewolnika. W pewnym momencie instytucja sług kontraktowych wygasła, a wyparło ją o wiele tańsze i bardziej opłacalne niewolnictwo Afrykanów. Robotnika z kontraktem trzeba było w końcu uwolnić od służby, a niewolnika nie. Paradoksalnie może zabrzmieć stwierdzenie, że opresja czarnoskórych zwiększyła poczucie równości wśród białych w Ameryce. Chociaż między prostym farmerem i plantatorem mogła istnieć przepaść społeczna i majątkowa, to nadał łączył ich kolor skóry. Każdy biały biedak przestawał być tym na samym dole hierarchii społecznej, co budowało w nim poczucie własnej godności i poczucie swego rodzaju egalitaryzmu między „swoimi".

Uzbrojony niewolnik – ale po czyjej stronie?

W najsłynniejszym filmie o wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych „Patriocie", jednym z drugoplanowych bohaterów jest Dan Scott – czarnoskóry niewolnik, który wstąpił na 12 miesięcy służby w milicji, w nagrodę za co miał zostać wyzwolony. Gdy bierze udział w finałowej bitwie pod Cowpens, jest już wolny. *Jestem tu teraz z własnej woli* – stwierdza przed starciem, czym zyskuje nawet szacunek uprzedzonego do niego wcześniej milicjanta Occama, który stwierdza że: *czuje się zaszczycony walcząc u jego boku*. Za sprawę rewolucji walczyło około pięć tysięcy czarnoskórych żołnierzy i marynarzy, a za swą służbę w obronie Ameryki otrzymywali wolność. Ustawa z Wirginii z 1783 roku stwierdzała, że: *(…) ponieważ wydaje się sprawiedliwe i słuszne, aby wszystkie osoby zaciągnięte do służby w wyżej wymieniony sposób, które wiernie służyły zgodnie z warunkami swojego zaciągu i tym samym przyczyniły się do ustanowienia amerykańskiej wolności i niepodległości, mogły cieszyć się dobrodziejstwami wolności jako nagrodą za swoje trudy i pracę.*



Lord Dunmore, zwolennik uzbrajania niewolników przeciwko amerykańskim rebeliantom, 1765, źródło: domena publiczna

O wiele więcej niewolników służyło jednak nie w armii amerykańskiej, ale walczyło po stronie brytyjskiej. Ich liczbę szacuje się na ponad 20 tysięcy. Już na samym początku wojny brytyjski gubernator Wirginii, lord Dunmore, ogłosił proklamację, na mocy której wyzwalał wszystkich niewolników, których panowie walczyli w szeregach rebelianckich. Jak stwierdzał w swej proklamacji: *ogłaszam wolność dla wszystkich służących kontraktowych, Murzynów oraz innych osób należących do buntowników, którzy są zdolni i gotowi nosić broń, pod warunkiem że jak najszybciej przyłączą się do wojsk Jego Królewskiej Mości, aby tym skuteczniej i szybciej doprowadzić tę kolonię do właściwego poczucia obowiązku wobec Korony i godności Jego Królewskiej Mości*. W wyniku emancypacyjnej polityki brytyjskiej powstawały nawet oddzielne oddziały składające się z czarnoskórych, z czego pierwszym był założony przez wspomnianego już Dunmore'a Etiopski Pułk Królewski, który na mundurach i sztandarze miał wypisane motto *Wolność dla*



Eyre Crowe, *Aukcja niewolników w Charleston w Karolinie Południowej*, 1854, źródło: domena publiczna

eprasa.pl 3678871f04

niewolników. Czarnoskórzy żołnierze nie mogli liczyć na takie prawa jenieckie, jakimi cieszył się brytyjski żołnierz, a po schwytaniu obracano ich ponownie w niewolę. Działania Brytyjczyków podczas wojny o niepodległość nie doprowadziły jednak do masowej rebelii niewolniczej, czego szczególnie obawiali się Amerykanie. Z drugiej strony, Stany Zjednoczone nie wykorzystały precedensów związanych z emancypacją czarnoskórych żołnierzy, do całkowitego zniesienia niewolnictwa. System ugruntowano podczas kształtowania nowego państwa. W ramach kompromisu między stanami uzgadniającymi nowy ustrój, podczas prac legislacyjnych, ustalono ponadto że 3/5 niewolników danego stanu będzie się doliczać do liczby mieszkańców, co zwiększało siłę polityczną Południa.

W 1794 roku opatentowano tzw. Cotton Gin, czyli odziarniarkę, która zrewolucjonizowała przemysł bawełniany. Dzięki niej dramatycznie wzrosło zapotrzebowanie na darmowe ręce do pracy. Południe Stanów przestawiało się na produkcję bawełny (...) Teraz wręcz domagano się rozszerzania niewolnictwa.

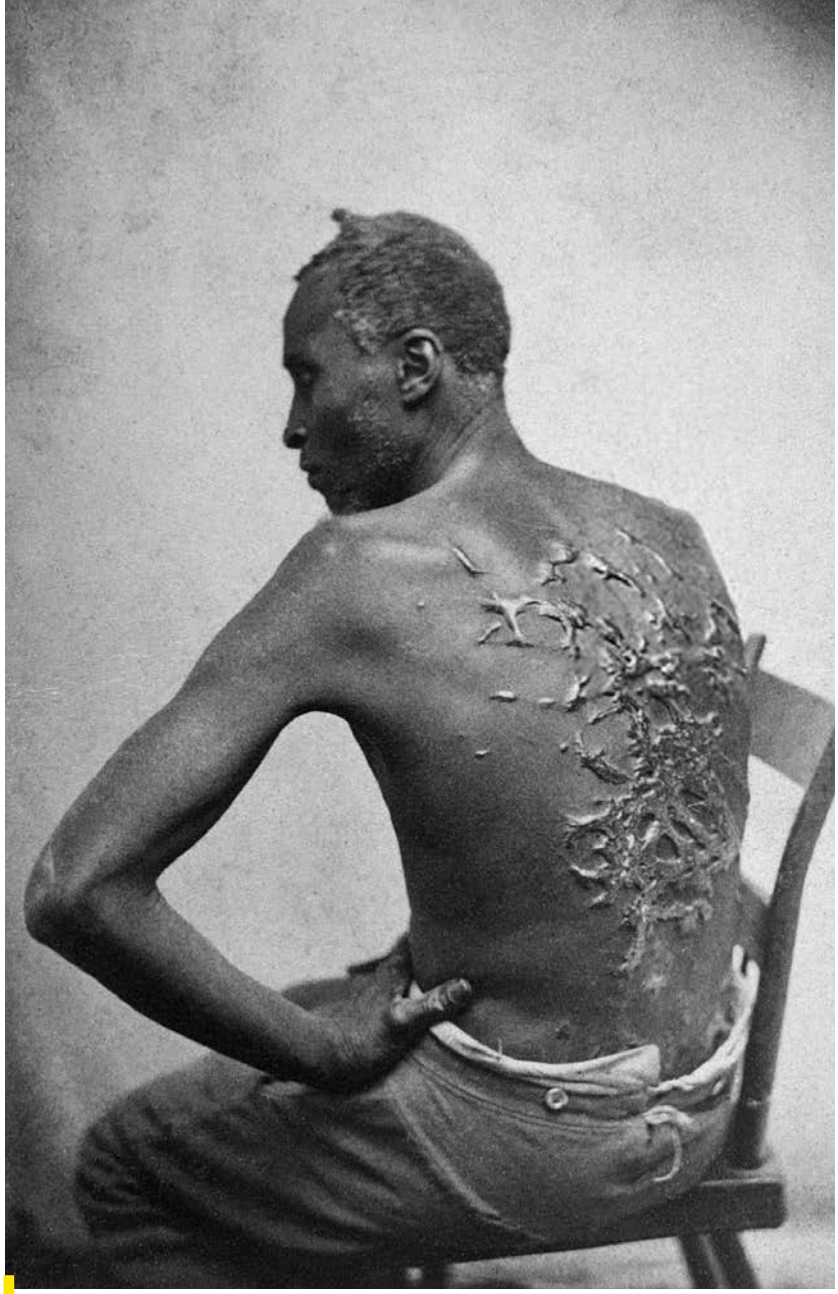
Król bawełna

„A gwiaździsty sztandar tryumfalnie powiewa ponad krajem wolnych" – głosiły słowa z utworu Francisa Scotta Keya z 1814 roku, które stały się hymnem amerykańskim. W tym samym czasie, niewolnictwo, którego niektórzy wieszczyli mniej lub bardziej rychły koniec, dopiero się rozpędzało. W odróżnieniu od



Abolicjonistyczna ilustracja przedstawiająca chłostę na niewolniku, 1864, źródło: domena publiczna

eprasa.pl 3678871f04



Peter, niewolnik z Luizjany z bliznami na plecach po karze chłosty. 1863, źródło: domena publiczna

kupiecko–mieszczańskiej Północy Południe poszło drogą agraryzmu, który podparcie miał w oświeceniowej myśli francuskich fizjokratów. Zwolennicy tej doktryny zakładali, że prawdziwe bogactwo bierze się z rolnictwa. Dla Thomasa Jeffersona ideałem obywatela republiki był farmer, który ze swoim krajem powiązany był ziemią. Na Południu nie rozwinęły się większe miasta, życie oscylowało przede wszystkim wokół odosobnionych plantacji zasilanych w dużej mierze pracą czarnoskórych. Niektórzy uważali przy tym, że niewolnictwo wymrze prędzej czy później śmiercią naturalną. Było to teoretycznie racjonalne myślenie, ponieważ, pomijając moralne kwestie, z czysto pragmatycznego spojrzenia istniało wiele wad tego systemu. U schyłku osiemnastego wieku niewolnik był drogi, zawsze istniało ryzyko jego buntu bądź zbiegostwa, a zyski z plantacji nie zawsze rekompensowały inwestycje. Wszystko zmieniło się jednak po wprowadzeniu nowego wynalazku. W 1794 roku opatentowano tzw. Cotton Gin, czyli odziarniarkę, która zrewolucjonizowała przemysł bawełniany. Dzięki niej dramatycznie wzrosło zapotrzebowanie na darmowe ręce do pracy. Południe Stanów przestawiało się na produkcję bawełny. Okazało się, że problem nie zakończy się samoistnie, popyt na niewolniczą pracę okazał się teraz o wiele większy niż wcześniej. Teraz wręcz domagano się rozszerzania niewolnictwa. Wśród plantatorów pojawiały się idee podboju Kuby i Ameryki Południowej i rozszerzania własnego systemu gospodarczego. Stany Zjednoczone zaopatrywały całą Europę w bawełnę, będąc największym eksporterem tego towaru na świecie. Powodowało to oczywistą niechęć do południowych debat nad emancypacją czarnoskórych. *Jeśli w czasach, gdy plantatorzy posiadali jedynie połowę światowych rynków zbytu na bawełnę, wartość niewolnictwa była na tyle wielka, że powstrzymała jego zniesienie, to o ileż większe muszą być dziś przeszkody, skoro mają oni monopol na światowe rynki bawełny?* – pytał retorycznie w 1855 roku jeden ze zwolenników utrzymania niewolnictwa, David Christy.

Dla plantatorów z amerykańskiego Południa pierwsza połowa XIX wieku stała się złotą epoką, której praca czarnoskórych niewolników miała być podstawą. Zaistniał cały południowy plantatorski styl życia zbliżony do europejskiej arystokracji. Południowcy wykreowali nawet całą podbudowę ideologiczną, według której mieli być potomkami „kawalerów", czyli arystokratycznych zwolenników króla Karola I w walce przeciwko Cromwellowi podczas angielskiej wojny domowej w siedemnastym wieku. Na podstawie tej legendy budowano cały rycerski etos tego, jak powinien zachowywać się południowy dżentelmen. W tej narracji potomkami dawnych zwolenników Cromwella, mieli być, rzecz jasna, mieszkańcy Północy, którym przypisywano takie cechy jak fanatyzm religijny, brak manier i ogłady.

Dobre samopoczucie elit plantatorskich poprawiały nie tylko sukcesy gospodarcze i utworzony mit

eprasa.pl 3678871f04

o ich wielkiej przeszłości, ponieważ towarzyszyły im również zwycięstwa polityczne. Przed wojną secesyjną o wiele częściej wybory prezydenckie wygrywali południowcy, którzy obsadzali swoimi ludźmi urzędy centralne. Wbrew popularnemu mitowi Południe bardzo dobrze odnajdywało się we władzy federalnej, tak długo jak utrzymywało przewagę nad stanami północnymi. Dobra koniunktura przed wojną secesyjną doprowadziła do koncepcji politycznej nazywanej „królem bawełną". Zdaniem polityków południowych, gdyby wstrzymać eksport bawełny do Europy, natychmiast doprowadziłoby to do ogromnego kryzysu gospodarczego w Starym Świecie.

Między geopolityką, gospodarką i ideałami

Świat pierwszej połowy dziewiętnastego wieku szedł do przodu pełną parą, za czym szły również niebagatelne zmiany społeczne. W Wielkiej Brytanii, gdzie od dawna istniał silny ruch abolicjonistyczny, walka z niewolnictwem zaczęła stanowić jedną z podstaw polityki państwowej. Zaczęło się od procesu z 1772 roku, w wyniku którego sędzia zdecydował że nie ma żadnej przesłanki prawnej która chroniłaby niewolnictwo w Anglii. Niedługo później podobny precedens miał miejsce w Szkocji. Nie oznaczało to, że był to koniec niewolnictwa w Wielkiej Brytanii, ponieważ nadal proceder ten istniał w koloniach aż do 1833 roku, gdy całe Imperium stało się „wolne". Niemniej Brytyjczycy stanęli na początku XIX wieku do antyniewolniczej krucjaty rozprzestrzenionej na cały świat. W 1807 roku zakazano handlu niewolnikami i żeby wyegzekwować nowe prawo, okręty Royal Navy organizowały specjalne patrole, które przechwytywały statki podejrzane o przewóz uwięzionych czarnoskórych. Walka z niewolnictwem tyczyła się nie tylko Wielkiej Brytanii i jej poddanych, ponieważ wymuszano różnego ograniczenia niewolnictwa również na innych krajach, co ułatwiała niekwestionowana potęga morska Royal Navy. Gdy wybuchała wojna secesyjna Brytyjczycy już dawno zakończyli dyskusję nad kwestią niewolnictwa na terenie swego Imperium i z powodzeniem egzekwowali jego zniesienie lub ograniczenie w dużej części całego świata. Czy Wielka Brytania mogła wbrew realizowanej przez dekady polityce, poprzeć Konfederację?



Punkt sprzedaży niewolników w Atlancie (1864), źródło: domena publiczna

Świadomość własnego wpływu gospodarczego na potęgi europejskie w tym czasie popychała Południowców do utworzenia własnego państwa. Przekonanie państw europejskich do poparcia sprawy Konfederacji spowodowałoby jej nieuchronne zwycięstwo. W trakcie trwania wojny secesyjnej, pogląd ten został szybko zrewidowany. O ile rzeczywiście w wyniku blokady Unii nastąpiły problemy gospodarcze w Europie, szybko znaleziono alternatywne źródła pozyskania bawełny. Jednocześnie Wielka Brytania i Francja nieoficjalnie wspierały Konfederację politycznie i gospodarczo, ale nie chciały otwarcie popierać kraju, w którym podstawą systemu społecznego i gospodarczego jest niewolnictwo. Nieśmiałe dyskusje nad emancypacją niewolników nie przyczyniły się do zmiany tego stanu rzeczy. Patrick Cleburne, południowy zwolennik uzbrajania niewolników, dobrze oddawał południowy dylemat: *Nasz kraj ma już pewnych przyjaciół w Anglii i Francji, a istnieją silne powody, by skłonić te narody do uznania nas i udzielenia nam pomocy. Nie mogą jednak nam pomóc, nie wspierając jednocześnie niewolnictwa, a uczynienie tego byłoby sprzeczne z polityką, którą prowadzą od ostatniego ćwierćwiecza. Anglia wydała*

eprasa.pl 3678871f04



Droga do wolności – ucieczka niewolników według Eastmana Johnsona, 1862, źródło: domena publiczna

setki milionów, aby wyzwolić swoich niewolników w Indiach Zachodnich i położyć kres handlowi niewolnikami. Czy mogłaby teraz, zachowując konsekwencję, wydawać swoje środki na przywrócenie niewolnictwa w tym kraju? Poparcie świata o wiele łatwiej zyskał Abraham Lincoln, który w 1 stycznia 1863 roku ogłosił proklamację emancypacji. Wbrew mitowi, nie znosiła ona niewolnictwa w całej Ameryce, a jedynie na terenach zbuntowanych. Część stanów niewolniczych z różnych powodów poparła Unię. Dopiero w styczniu 1865 roku, pod sam koniec wojny secesyjnej ogłoszono całkowitą abolicję.

Tymczasem na Południu dopiero pod sam koniec wojny, 13 marca 1865 roku zezwolono na rekrutację niewolników, którzy za swą służbę mieli uzyskać wolność. Nie mogło to wiele zmienić, ponieważ już niecały miesiąc później w Appomatox skapitulowała armia generała Lee, co stanowiło faktyczny koniec krwawego konfliktu. Konfederacja została pokonana i poddana dwunastoletniej okupacji wojskowej i tzw. rekonstrukcji, której celem miała być ponowna integracja południowych stanów z Unią. Zakończył się czas Starego Południa, które mimo niemrawych prób, nie zdecydowało się na społeczną modernizację.

Na marne poszedł więc dramatyczny apel Claiburne'a, który przekonywał, że: *W obliczu wyboru między utratą niepodległości a utratą niewolnictwa zakładamy, że każdy patriota bez wahania wyrzeknie się tego drugiego – zrezygnuje z posiadania czarnoskórego niewolnika, zamiast samemu stać się niewolnikiem.* ■



MICHAŁ RASTASZAŃSKI
Historyk, amerykanista, specjalista od dziejów wojskowości w XVIII, XIX i XX wieku. Doktorant w Szkole Doktorskiej Nauk Humanistycznych UW.

eprasa.pl 3678871f04

TEKST:
KATARZYNA GEORGIEV



Clark Gable i Vivien Leigh w *Przeminęło z wiatrem*, 1939, źródło: domena publiczna

HOLLYWOOD TWORZY MĘŻCZYZNĘ

CZYLI STO LAT ATRAKCYJNOŚCI NA EKRANIE

eprasa.pl 3678871f04

Czy prawdziwy mężczyzna zaczyna się od metra osiemdziesiąt wzrostu, ma sześciopak na klacie i jest twardy jak skała? A może wręcz przeciwnie – powinien umieć okazywać emocje, nie wstydzić się łez, podchodzić do relacji w sposób romantyczny? Jednoznacznej odpowiedzi – jak można się spodziewać – wcale nie ma. Ideał atrakcyjnego mężczyzny nie jest stały. Film, telewizja, muzyka czy też reklama od ponad stu lat współtworzą wyobrażenia o tym, jaki powinien być ten perfekcyjny facet. Co więcej, każda epoka promowała inny model męskości.

Kino nie tylko odzwierciedlało społeczne oczekiwania, ale również miało swój udział w ich kształtowaniu. Wpływ na to miała bez wątpienia reklama, powiązana z przemysłem filmowym. Twórcy jednak starali się nadążać za tym, co działo się na świecie. Z tego powodu zmieniające się wzorce odpowiadały potrzebom swoich czasów: wojnom, rewolucji seksualnej, emancypacji kobiet czy rozwojowi mediów. Dlatego w jednej dekadzie na ekranach wolano widzieć szarmanckich amantów, a w innej skrytych twardzieli w skórzanych kurtkach. Zresztą ci bohaterowie szybko przenosili się z ekranów do rzeczywistości. Zafascynowani widzowie naśladowali ubiór, zachowanie, sposób układania włosów czy nawet mówienia, byleby upodobnić się do gwiazd. A to wszystko zaczęło się już na początku rozwoju kina. Przenieśmy się zatem o sto lat wstecz wprost do Hollywood, by spojrzeć szerzej na to, jaki wzór męskości propagowano w Ameryce na przestrzeni dekad.

Najpierw był amant

Przed II wojną kino wkraczało dopiero na salony, jako nowe medium. Popularność amantów w okresie międzywojennym nie była przypadkiem. Kino miało oferować widzom ucieczkę od codzienności i ekonomicznych



Humphrey Bogart, 1940, źródło: domena publiczna

trudności. Eleganccy bohaterowie żyli w świecie luksusu, egzotycznych podróży i wielkich romansów. Byli to mężczyźni podbijający serca nie tylko swoich filmowych partnerek, ale również widowni, zwłaszcza jej żeńskiej części. Osiągali to, kreując obraz bohaterów romantycznych, uwodzicielskich, czyniących wszystko, byleby ich zaloty osiągnęły swój skutek. W końcu której to z kobiet nie zaimponowałby elegancki gentleman, w idealnie skrojonym fraku, roztaczający wokół siebie nutkę tajemnicy? Ich atrakcyjność nie opierała się na muskularnej sylwetce – ba! – często byli to mężczyźni raczej szczupli, lub nawet drobni. Ich magnetyczną siłą miały być charyzma, maniery albo reprezentowany status.

Miano amanta wszechczasów przypadło aktorowi Rudolphowi Valentino. Zmysły rozpalała jego rola w „Szejku" z 1921 roku, gdzie odgrywał tytułowego bohatera. Tropikalna sceneria, seksapil Włocha oraz sceny miłosne rozgrzewały publikę. Podobnym fenomenem, jeśli chodzi o wykreowanie wizerunku amanta, pozostaje Clark Gable. Trudno zapomnieć o jego spektakularnym występie w „Przeminęło z wiatrem". Z jednej strony aktor w roli Rhetta Butlera to bezczelny uwodziciel, a z drugiej romantyczny i oddany kochanek. Próby okiełznania przez niego upartej Scarlett O'Hary do teraz wzbudzają kobiecy zachwyt oraz męskie uznanie.

Clark Gable rzutem na taśmę wstrzelił się w modę na filmowych amantów, bo film miał premierę w 1939 roku. Po niej będziemy mieć do czynienia już z innym rodzajem bohatera. Postacią, która zawisła gdzieś „pomiędzy", pozostaje Rick Blaine z „Casablanki", grany przez Humphreya Bogarta. Da się go określić amantem, ale już właściwie nieco innego typu. Blaine stanowił pomost między

eprasa.pl 3678871f04

starym a nowym ideałem męskości. Wciąż był charyzmatyczny i atrakcyjny, ale jego największym atutem nie pozostawał już urok osobisty. W czasach wojennej niepewności bardziej ceniono odpowiedzialność, zdolność do podejmowania trudnych decyzji oraz stawianie dobra innych ponad własne szczęście.

Potem przyszedł twardziel

Od mężczyzn nie oczekiwano już elegancji i nienagannych manier. Kino szybko dostrzegło tę zmianę i zaczęło kreować nowy wzorzec atrakcyjnego mężczyzny. Jedną z twarzy tej przemiany był właśnie wcześniej wspomniany Humphrey Bogart. Jego bohaterowie byli doświadczeni przez życie, zdystansowani i skłonni do ukrywania emocji. Siłę czerpali z charakteru, a nie z romantycznych gestów. Taki obraz męskości odpowiadał społeczeństwu, które próbowało odnaleźć się w rzeczywistości naznaczonej wojenną traumą.

Jeszcze bardziej wyrazistym symbolem tradycyjnej męskości stał się John Wayne. Aktor zasłynął rolami nieustraszonych kowbojów i żołnierzy, którzy nie wahali się stanąć w obronie słabszych. Jego ekranowy wizerunek opierał się na sile, honorze i niezłomności. To właśnie dzięki takim postaciom utrwaliło się przekonanie, że prawdziwy mężczyzna powinien być przede wszystkim obrońcą rodziny, społeczności i ojczyzny.

Nieprzypadkowo największą popularnością cieszyły się wówczas westerny oraz filmy wojenne. Gatunki te stały się prawdziwą kuźnią tradycyjnych wzorców męskości. Ich bohaterowie działali zgodnie z jasno określonym kodeksem wartości oraz potrafili brać odpowiedzialność za innych. Przez wiele kolejnych dekad właśnie taki obraz mężczyzny pozostawał punktem odniesienia dla kultury popularnej. Takie rozumienie męskości wspierało również powrót społeczeństwa do tradycyjnych ról, zwłaszcza widoczny w Stanach Zjednoczonych. Ludzie, pragnący zachować stabilność w trudnych czasach, zwrócili się ku konserwatyzmowi. Mężczyzna miał pełnić rolę głowy rodziny – żywić ją, zarobić na wszelakie potrzeby, ale też decydować o jej losie. Od tego wizerunku zaczęło odchodzić kolejne pokolenie, urodzone już po wojnie, przez co nieznaczone jej traumą.



Ikony westernu, John Wayne i Grant Withers w *Wojnach drapieżców*, 1943, źródło: domena publiczna

A później wszystko rzucił i odjechał motocyklem

Rewolucja seksualna, pojawienie się hippisów, narodziny kultury młodzieżowej – to wszystko sprawiło, że atrakcyjność mężczyzny przestała być utożsamiana wyłącznie z dojrzałością, stabilnością i odpowiedzialnością. Coraz większą popularność zdobywali bohaterowie niepokorni, impulsywni oraz kontestujący społeczne normy. Symbolem tej zmiany stał się James Dean. Choć jego kariera trwała zaledwie kilka lat, to stworzył on wizerunek młodego buntownika, który do dziś pozostaje jednym z najbardziej rozpoznawalnych archetypów męskości. Bohaterowie grani przez Deana byli wrażliwi, zagubieni, a przy tym pełni wewnętrznych konfliktów. Ich atrakcyjność wynikała właśnie z autentyczności oraz niezgody na narzucane role społeczne.

Podobną rewolucję wywołał Marlon Brando. W filmie „Dziki" pojawił się na ekranie w skórzanej kurtce, siedząc na motocyklu i emanując nonszalancją. Ten obraz szybko stał się ikoną popkultury. Mężczyzna nie musiał już być wzorem cnót i odpowiedzialności. Mógł być nieprzewidywalny, niezależny, a nawet niebezpieczny. Co więcej – społeczeństwo dojrzało do tego, by traktować bohaterów nawet w kategoriach seks–symbolu! Sprzyjało temu wprowadzenie na rynek USA tabletek

eprasa.pl 3678871f04

Muzycy tacy jak Elvis Presley prezentowali nowy typ męskiej atrakcyjności – bardziej zmysłowy, spontaniczny i swobodny. Jego odważne ruchy biodrami przeszły do historii, a fanki nieraz omdlewały z podekscytowania na koncertach! Wizerunek grzecznego dżentelmena ustępował miejsca młodemu buntownikowi, który sam wyznaczał zasady.

antykoncepcyjnych Envoid w 1956 roku. Młodzi chętnie zdejmowali jarzmo pruderii, wprowadzając coraz szerzej do dyskursu publicznego tematy powiązane z erotyką.

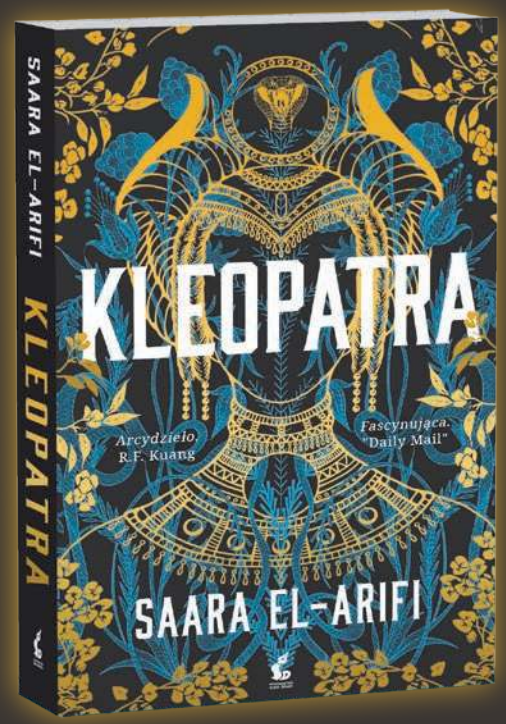
Ogromny wpływ na tę przemianę miał również rozwój rock and rolla. Muzycy tacy jak Elvis Presley prezentowali nowy typ męskiej atrakcyjności – bardziej zmysłowy, spontaniczny i swobodny. Jego odważne ruchy biodrami przeszły do historii, a fanki nieraz omdlewały z podekscytowania na koncertach! Wizerunek grzecznego dżentelmena ustępował miejsca młodemu buntownikowi, który sam wyznaczał zasady. W efekcie atrakcyjny mężczyzna nie musiał już być wyłącznie bohaterem i opiekunem.

Więcej mięśni, więcej męskości!

Zdawać by się mogło, że pojawienie się buntowników o gołębich sercach, będzie wstępem do tworzenia modelu męskości opartego na większej wrażliwości. Jak się prawdopodobnie spodziewacie, nie do końca tak było. Przed kamerami rozgościli się umięśnieni herosi. Fizyczna siła – niemal nadludzka sprawność – stała się wyznacznikiem atrakcyjności. Sięgnijmy pamięcią do filmów z końca lat 70. i 80. To wtedy Sylvester Stallone dwukrotnie podbił ekrany kin, zapisując się wśród panteonu rozpoznawalnych aktorów. To w końcu czasy historii o niepozornym bokserze Rockym z Filadelfii, nagrodzonej trzema Oscarami. Również to początek kolejnej popularnej serii – tym razem o byłym komandosie, Johnie Jamesie Rambo.

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA POLECA

Hipnotyzująca
i wciągająca reinterpretacja
ikonicznej królowej stworzona
przez autorkę bestsellera
„The Sunday Times ”



DLA FANÓW *KIRKE* I *ARIADNY*

Urzekająca, błyskotliwa, przewrotna – El-Arifi stworzyła arcydzieło.

R.F. Kuang

www.soniadraga.pl
WydawnictwoSoniaDraga
wydawnictwosoniadraga

eprasa.pl 35738711



Elvis Presley promujący *Jailhouse Rock* w 1957 roku, źródło: domena publiczna



Sylvester Stallone jako John Rambo, w filmie *Rambo III*, 1988, źródło: Wikimedia Commons

Rywalizować z tym artystą, pod względem tężyzny fizycznej w tamtym okresie, mógłby jedynie Arnold Schwarzenegger. Jego rozbudowana muskulatura robiła wrażenie niemal na wszystkich. Widzowie mogli ją oglądać w kultowym „Terminatorze", ale też w „Predatorze" i „Konanie Barbarzyńcy". Co znamienne – ci bohaterowie często okazują się pozbawieni emocji. Żelazna twarz, zimna krew i pistolet w kaburze. Ewentualnie karabin przewieszony przez ramię. To pod wieloma względami pielęgnowanie wizerunku typowego macho.

Popularności tego modelu męskości dałoby się upatrywać w rozwoju siłowni oraz kulturystyki, jako zjawiska masowego. Zadbane, umięśnione ciało miało w końcu nie tylko się dobrze prezentować, ale też świadczyć o charakterze osoby ćwiczącej. Ta w końcu, by osiągnąć pożądane efekty, miałaby wykazać się determinacją, samokontrolą, dyscypliną czy też – ogólnie rzecz biorąc – niesamowitą wytrzymałością psychiczną.

Druga strona medalu pozostaje – a jakże! – związana z sytuacją polityczną na świecie. Lata 80. to końcówka zimnej wojny. Skończyła się ona sukcesem Amerykanów, prześcigających ZSRR na wielu płaszczyznach, chociażby w wyścigu zbrojnym lub podboju kosmosu. Ukazanie umięśnionego, często bezlitosnego, mężczyzny pokazywało wyraźnie całemu światu, kto posiada rzeczywistą dominację. Było to też potencjalną przestrogą, by uważać na to, z kim się zadziera.

Macho idzie do kosmetyczki?

Prawdopodobnie komandosowi Rambo w głowie nie mieściłaby się metroseksualność, która przyszła wraz z latami 90. A to nic innego jak określenie na mężczyzn, pielęgnujących swój wygląd i dbających o siebie. Co może brzmieć obecnie absurdalnie – dbanie o siebie długo było kojarzone jako typowo kobiece, przez co wzbudzało niechęć wśród „typowych" mężczyzn. Popularność metroseksualności wzrosła dzięki mediom i marketingowi, które promowały męską pielęgnację i modę. Firmy dostrzegły w mężczyznach nową grupę konsumentów, do której zaczęto kierować produkty kosmetyczne, odzieżowe oraz lifestylowe. W reklamach coraz częściej pojawiali się zadbani, atrakcyjni mężczyźni, którzy nie bali się korzystać z kremów do twarzy, odwiedzać salonów fryzjerskich czy interesować się aktualnymi trendami. Wizerunek mężczyzny zaczął oddalać się od surowego, nieprzystępnego twardziela i otwierać na nowe sposoby wyrażania siebie.

eprasa.pl 3678871f04

Z tą przemianą, objawiającą się zmianą nawyków wśród omawianej w tym tekście płci, szło też kładzenie nacisku na inne cechy charakteru. Zdecydowanie zyskiwało na tym okazywanie wrażliwości, empatyczne podejście, a nawet delikatność! Facet miał być subtelny, potrafić swobodnie rozmawiać o emocjach. Do tej pory było to kojarzone stereotypowo z kobietami. Stąd duży krok do przodu, gdyż ten model był wspierany nie tylko poprzez reklamy, ale też dołączyło do tego kino.

Coraz większą popularność zdobywali bohaterowie, którzy nie byli jedynie niepokonanymi wojownikami, lecz także ludźmi przeżywającymi emocjonalne rozterki. W filmie „Buntownik z wyboru" główny bohater musi zmierzyć się z własnymi traumami i nauczyć się otwartości wobec innych. Z kolei w „Jerry Maguire" męskość zostaje ukazana poprzez zdolność do budowania relacji i okazywania uczuć, a nie dominację czy siłę fizyczną. Nawet bohaterowie popularnego serialu „Friends" często rozmawiali o emocjach, problemach uczuciowych i własnych słabościach, co jeszcze dekadę wcześniej rzadko pojawiało się w przedstawianiu mężczyzn. Wymownie o kryzysie męskiej tożsamości wypowiada się David Fincher w „Podziemnym kręgu" z 1999 roku (do filmów eksplorujących ten temat przynależy też kolejny ikoniczny obraz – „American Psycho", mający premierę zaledwie rok później). Z racji jednak, że wiemy, jak brzmi pierwsza zasada fight clubu, przejdźmy bezpiecznie dalej.

Kto dziś jest „prawdziwym" facetem?

Ćwierćwiecze nowego millennium pokazało, że trudno o wyłonienie dominującego wzorca. W końcu obok superbohaterów funkcjonują inteligentni outsiderzy, romantycy czy mężczyźni śmiało eksponujący emocje. Jest to orzeźwiające – wiele różnych „ideałów" zwiększa szansę na znalezienie postaci, z którą dałoby radę się utożsamić. Ryan Gosling często daje się poznać w filmach jako romantyczny bohater, Timothée Chalamet reprezentuje odejście od wzorca muskularnego macho, a całość wieńczą ciągle obecni herosi (tym razem przybierają oni formę postaci z uniwersum Marvela). Na tę wielorakość wpływ zdaje się mieć rozwój mediów społecznościowych i platform streamingowych. Użytkownik Internetu ma szansę eksplorować wiele wzorców męskości – czy to poprzez scrollowanie Instagrama, czy przeskakiwanie pomiędzy wykupionymi subskrypcjami, w poszukiwaniu perfekcyjnego filmu na wieczór. Trudniejszą stroną tego medalu jest fakt, że przez to męskie ciało coraz częściej staje się obiektem spojrzenia i oceny, co przez wiele dekad dotyczyło głównie kobiet.

Ciekawa rzecz wydarzyła się przy okazji tegorocznej premiery „Wichrowych wzgórz" Emerald Fennell. Margot Robbie partnerował na planie Jacob Elordi. Cała reinterpretacja emanowała nieposkromioną namiętnością, a ponowne odczytanie powieści Emily Brontë na pierwszy plan przesunęło erotyczny wymiar relacji zakochanych. Skupiono się na tym, by uwypuklić w tym aspekcie postać… Heathcliffa. Można śmiało powiedzieć, że widzowie mieli do czynienia z wyraźną seksualizacją męskiego ciała (Robbie nie pojawia się odsłonięta na ekranie). Być może stanowi to przykład female gaze, osobistej wizji reżyserki, lub stanie się współczesnym precedensem do szukania coraz częściej tego typu rozwiązań.

Jedno jest pewne – historia atrakcyjnego mężczyzny jest historią przemian społecznych. Staje się ona wypadkową wydarzeń, oczekiwań ludzi i – pewnie częściej, niż moglibyśmy przypuszczać – przypadku. Możliwe, że za dwadzieścia lat widownia będzie pragnąć uleglejszych, introwertycznych bohaterów. Będzie zachwycać się przygodami mężczyzny, który to może spełnia się w stereotypowo kobiecych obszarach. Z drugiej strony takie same są szanse na to, że będziemy oczekiwać od kina rozrywki, a tę dadzą nam nadludzcy bohaterowie. Pewne natomiast jest to, że film – tak jak w przeszłości – albo będzie się starał zadowalać widzów, albo zapewniać im ucieczkę przed rzeczywistością. ■

Ćwierćwiecze nowego millennium pokazało, że trudno o wyłonienie dominującego wzorca. W końcu obok superbohaterów funkcjonują inteligentni outsiderzy, romantycy czy mężczyźni śmiało eksponujący emocje. Jest to orzeźwiające – wiele różnych „ideałów", zwiększa szansę na znalezienie postaci, z którą dałoby radę się utożsamić.



KATARZYNA GEORGIEV
dziennikarka i publicystka, zajmująca się głównie tematami związanymi z kulturą. Absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej Uniwersytetu Gdańskiego, a obecnie studentka wiedzy o filmie i kulturze audiowizualnej na tej samej uczelni.

eprasa.pl 3678871f04

TEKST:
ADAM PODLEWSKI



AMERYKAŃSKI KOSZMAR

ADOLF HITLER BOMBARDUJE NOWY JORK

eprasa.pl 3678871f04



Sterowiec USS Akron przelatujący nad dolnym Manhattanem, 1931–1933, źródło: domena publiczna

Program „Amerikabomber" był jednym z najbardziej ambitnych, a zarazem najmniej realnych projektów lotniczych III Rzeszy. Jego podstawowym celem było stworzenie bombowca strategicznego zdolnego do wykonania lotu z Europy nad kontynent północnoamerykański, przeprowadzenia nalotu na wybrane cele w Stanach Zjednoczonych i powrotu do baz znajdujących się na terenach kontrolowanych przez Niemcy.

Pamiętam, jak kazał sobie wyświetlać w Kancelarii Rzeszy filmy z płonącym Londynem, morzem ognia nad Warszawą, eksplodującymi konwojami morskimi i jaka go wtedy za każdym razem oganiała pożądliwość. Nigdy jednak nie widziałem go tak pobudzonego, jak pod koniec wojny, gdy ogarnięty czymś w rodzaju delirium odmalowywał przed sobą i nami upadek Nowego Jorku w huraganie płomieni. Opisywał, jak drapacze chmur przemieniają się w ogromne, płonące pochodnie, jak przewalają się na siebie nawzajem, jak na ciemnym niebie unosi się odblask eksplodującego miasta, i mówił, jakby wracając z ekstazy do rzeczywistości, że Saur powinien natychmiast zrealizować opracowany przez Messerschmitta projekt czterosilnikowego bombowca. Przy jego zasięgu moglibyśmy wziąć na Ameryce tysiąckrotny odwet za zniszczenie naszych miast – Albert Speer, *Dzienniki ze Spandau*, Warszawa 2010, s. 94.

Jeśli wierzyć wspomnieniom Alberta Speera, Adolf Hitler wielokrotnie dzielił się ze współpracownikami swoją wizją zniszczenia amerykańskich miast, zwłaszcza Nowego Jorku. Podobno te, snute już w końcowym okresie wojny, marzenia miały skłaniać wodza III Rzeszy do utrzymania drogiego i mało realistycznego w wykonaniu programu ciężkich, czterosilnikowych bombowców dalekiego zasięgu, mogących dosięgnąć wschodnie wybrzeże Ameryki z baz w Europie.

Czy jednak ów snuty na jawie sen Hitlera miał jakiekolwiek szanse na spełnienie? W tym krótkim tekście przyjrzymy się jednemu z najdziwniejszych „amerykańskich snów", śnionych przez wroga tego kraju – wyzwaniu rzuconemu nie tylko technologii, ale samej geografii, największej sojuszniczce zachodniego supermocarstwa.

Plan na niemożliwe

Program „Amerikabomber" był jednym z najbardziej ambitnych, a zarazem najmniej realnych projektów lotniczych III Rzeszy. Jego podstawowym celem było stworzenie bombowca strategicznego zdolnego do wykonania lotu z Europy nad kontynent północnoamerykański, przeprowadzenia nalotu na wybrane cele w Stanach Zjednoczonych i powrotu do baz znajdujących się na terenach kontrolowanych przez Niemcy. Pomysł narodził się jeszcze przed przystąpieniem USA do wojny, jednak nabrał znaczenia po grudniu 1941 roku, kiedy Stany Zjednoczone stały się pełnoskalowym uczestnikiem konfliktu.

Założenia programu wynikały przede wszystkim z przekonania, że amerykański przemysł stanowi największe zagrożenie dla niemieckich

eprasa.pl 3678871f04

szans na zwycięstwo. Produkcja uzbrojenia, samolotów, okrętów i pojazdów w Stanach Zjednoczonych osiągała rozmiary nieosiągalne dla gospodarki III Rzeszy. Niemieckie dowództwo liczyło, że nawet pojedyncze uderzenia na cele przemysłowe lub symboliczne – przede wszystkim Nowy Jork, Waszyngton czy zakłady zbrojeniowe na wschodnim wybrzeżu – wywołają efekt psychologiczny, zmuszą Amerykanów do skierowania znacznych sił do obrony własnego terytorium oraz osłabią ich zaangażowanie w działania wojenne w Europie.

Wymagania techniczne były niezwykle wygórowane. Nowa maszyna miała dysponować zasięgiem przekraczającym 10–12 tysięcy kilometrów, osiągać wysoką prędkość przelotową i przenosić od kilku do kilkunastu ton bomb. Konstruktorzy musieli pogodzić ogromny zapas paliwa z odpowiednim udźwigiem oraz zapewnić samolotowi możliwość lotu przez kilkanaście, a nawet ponad dwadzieścia godzin bez międzylądowania. Dodatkowym problemem była konieczność utrzymania odpowiedniej wysokości lotu oraz zapewnienia załodze warunków umożliwiających wykonanie niezwykle długiej misji.



Albert Speer, minister uzbrojenia i amunicji III Rzeszy, 1933, źródło: domena publiczna

Amerykański kandydat

Do programu zgłoszono kilka projektów. Najbardziej znanym był czterosilnikowy Messerschmitt Me 264. Równolegle rozwijano konstrukcje firm Junkers i Focke–Wulf, w tym sześciosilnikowego Ju 390 oraz nigdy nieskończony prototyp także sześciosilnikowego Ta 400. Wszystkie charakteryzowały się ogromnymi rozmiarami, znaczną masą startową oraz skomplikowaną konstrukcją, która przekraczała możliwości niemieckiego przemysłu znajdującego się pod coraz silniejszymi alianckimi bombardowaniami.

Program od początku napotykał liczne trudności. Niemcy cierpieli na niedobór odpowiednio mocnych i niezawodnych silników lotniczych, brakowało aluminium, paliwa oraz wykwalifikowanych pracowników. Priorytet otrzymywały myśliwce przechwytujące i samoloty bezpośrednio wspierające działania frontowe, dlatego projekty strategicznych bombowców nie mogły liczyć na odpowiednie finansowanie. Dodatkowo Luftwaffe nigdy nie wypracowała doktryny prowadzenia dalekosiężnych nalotów strategicznych na wzór brytyjskiego RAF–u czy amerykańskich Sił Powietrznych.

Wokół programu narosło wiele legend. Jedna z nich mówi o rzekomym locie rozpoznawczym Ju 390 nad wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Dotychczas nie odnaleziono jednak przekonujących dowodów potwierdzających wykonanie takiej misji, dlatego większość historyków traktuje tę historię z dużą ostrożnością.

Patrząc na osiągi (faktyczne lub szacowane) proponowanych konstrukcji… nie zachwycały one. Najbliższy masowej (tzn. jak na niemieckie, a nie alianckie warunki) produkcji samolot Messerschmitta miał maksymalną masę startową około 56 000 kilogramów, prędkość około 550 km/godz. (przy ograniczonej masie), a zasilany był przez cztery czternastocylindrowe silniki gwiazdowe BMW o mocy startowej 1,300 kW (1,700 KM). Takie warunki techniczne nie zapewniały mu przewagi nawet nad Superfortecą, Boeingiem B–29, a tej przecież Amerykanie wyprodukowali łącznie prawie 4000 (przy 3 prototypach Me 264). Uzbrojenie defensywne bombowca było słabsze niż alianckich odpowiedników, a technologie wspierające konstrukcję (zautomatyzowany system celowniczy, hermetyczna kabina)

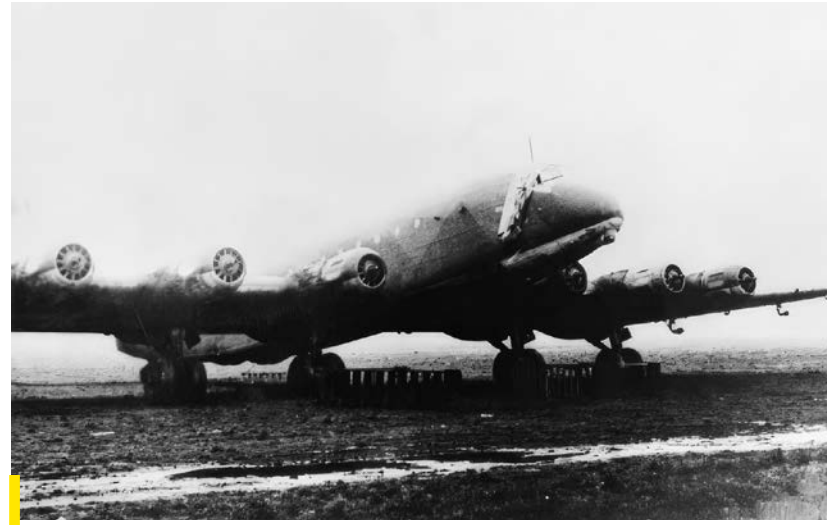


Messerschmitt Me 264, źródło: Bundesarchiv, Bild 146-1989-039-16A / CC-BY-SA 3.0

eprasa.pl 3678871f04

niemożliwe do wprowadzenia w wymarzonym samolocie Hitlera.

To wszystko nie brzmiało obiecująco nawet w operacyjnej próżni, a dodajmy, że III Rzesza nie wypracowała systemu eskorty dalekosiężnych bombowców (amerykańskie Superfortece latały bez eskorty tylko w końcowej fazie walk z Japonią, w sytuacji powietrznej dominacji Aliantów), a po 6 czerwca 1944 roku nawet kwestia bezpiecznych lotnisk dla bombowców Osi była problematyczna. Te jednak wyzwania można było ominąć, używając, dosłownie, kosmicznej technologii.



Junkers Ju 390 (ze zdemontowanymi śmigłami), źródło: domena publiczna

Srebrny ptak

Oddzielnym zagadnieniem był czysto teoretyczny projekt rakietoplanu – suborbitalnego statku zdolnego do lotu dosłownie wokół ziemskiego globu. Silbervogel („Srebrny Ptak") był jednym z najbardziej śmiałych projektów lotniczo–rakietowych opracowanych w III Rzeszy. Jego autorem był austriacki inżynier Eugen Sänger, który wraz z matematyczką i fizyczką Irene Bredt przedstawił w 1941 roku koncepcję samolotu zdolnego do wykonywania lotów suborbitalnych. Podstawowym założeniem programu było skonstruowanie rakietowego bombowca startującego z bardzo długiej szyny przy użyciu rakiet pomocniczych. Po osiągnięciu prędkości około 1800 km/godz. maszyna miała uruchomić własny silnik rakietowy i rozpędzić się do prędkości przekraczającej 20 tys. km/godz. Następnie samolot wznosiłby się na wysokość około 140 kilometrów, czyli znacznie powyżej pułapu klasycznych samolotów, lecz poniżej stabilnej orbity okołoziemskiej.

Najbardziej nowatorskim elementem projektu był sposób lotu. Silbervogel nie miał poruszać się po orbicie, lecz wykonywać tzw. lot skokowy. Wchodząc ponownie w górne warstwy atmosfery, maszyna odbijałaby się od nich niczym płaski kamień rzucony po powierzchni wody. Każde takie „odbicie" pozwalałoby jej pokonać kolejne tysiące kilometrów przy stosunkowo niewielkiej utracie energii. Dzięki temu bombowiec mógłby przelecieć nad Atlantykiem, zrzucić bomby na cele w Stanach Zjednoczonych, a następnie kontynuować lot i wylądować na terytorium kontrolowanym przez Rzeszę lub zaprzyjaźnione kraje, choćby na którymś z zajętych przez Japończyków terytorium pacyficznym.

Niemcy cierpieli na niedobór odpowiednio mocnych i niezawodnych silników lotniczych, brakowało aluminium, paliwa oraz wykwalifikowanych pracowników. Priorytet otrzymywały myśliwce przechwytujące i samoloty bezpośrednio wspierające działania frontowe, dlatego projekty strategicznych bombowców nie mogły liczyć na odpowiednie finansowanie.

Projekt pierwotnie przewidywał przewożenie około dziesięciu ton ładunku bombowego. Głównym celem rozważanych misji był Nowy Jork oraz inne ośrodki przemysłowe na wschodnim wybrzeżu USA. W odróżnieniu od programu Amerikabomber, zakładającego budowę klasycznych ciężkich bombowców, Silbervogel miał wykorzystywać ogromną prędkość i bardzo wysoką trajektorię lotu, praktycznie uniemożliwiające jego przechwycenie przez ówczesne myśliwce i artylerię przeciwlotniczą.

Mimo swojej śmiałości projekt napotykał niemal nieprzezwyciężalne problemy techniczne. Niemiecki

eprasa.pl 3678871f04

przemysł nie dysponował materiałami odpornymi na temperatury powstające podczas wielokrotnego wejścia w atmosferę. Trudności sprawiały również konstrukcja silnika rakietowego o odpowiednim ciągu, zapewnienie stabilności lotu przy prędkościach hipersonicznych oraz opracowanie skutecznej ochrony termicznej kadłuba. Równie problematyczne było precyzyjne celowanie podczas lotu z tak ogromną prędkością.

W miarę pogarszania się sytuacji wojennej III Rzeszy projekt uznano za zbyt kosztowny i odległy od praktycznej realizacji. Niemcy skoncentrowali swoje wysiłki na produkcji broni, którą można było wykorzystać szybciej, przede wszystkim rakiet V–2 i jej wersji rozwojowych (w tym rakietowego dwustopniowego kombajnu A–9/A–10, czyli Aggregate–9/Aggregate–10, który w teorii był zdolny przenieść ładunek przez Atlantyk) oraz samolotów odrzutowych.

Po zakończeniu wojny dokumentacja Eugena Sängera wzbudziła ogromne zainteresowanie zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Związku Radzieckim. Analizy jego obliczeń wywarły wpływ na rozwój badań nad lotami hipersonicznymi, pojazdami wielokrotnego użytku oraz przyszłymi promami kosmicznymi, choć jest to już temat za zupełnie inną opowieść.



Współczesna wizualizacja rakietoplanu Silbervogel na podstawie koncepcji Eugena Sängera i Irene Bredt, źródło: domena publiczna

Ostatecznie żaden z projektowanych samolotów nie wszedł do produkcji seryjnej ani nie przeprowadził bojowego nalotu na Amerykę. „Amerikabomber" pozostał przykładem ogromnych ambicji technologicznych III Rzeszy, które zderzyły się z realiami wojny totalnej, ograniczeniami przemysłowymi i błędnymi założeniami strategicznymi. Program pokazuje, jak dalece niemieckie kierownictwo polityczne i wojskowe było gotowe inwestować w kosztowne przedsięwzięcia o niewielkich szansach powodzenia, podczas gdy sytuacja na frontach stawała się z każdym miesiącem coraz bardziej niekorzystna.

Oddzielnym zagadnieniem był czysto teoretyczny projekt rakietoplanu – suborbitalnego statku zdolnego do lotu dosłownie wokół ziemskiego globu. Silbervogel („Srebrny Ptak") był jednym z najbardziej śmiałych projektów lotniczo-rakietowych opracowanych w III Rzeszy.

Porażka 2.0

Wedle anegdoty, zapytany o to dlaczego nie wspiera rozwoju programu ciężkich bombowców, Herman Goering odpowiedział: Wódz nie zapyta mnie, jak wielkie posiadamy bombowce, ale ile ich mamy. Dodajmy, że rozmowa ta miała mieć miejsce na długo przed rozwojem koncepcji nalotów na Amerykę, a jako skwitowanie klęski tak zwanego Uralbomber, czyli samolotu, który miał bombardować zaplecze przemysłowe Związku Sowieckiego.

Program Uralbomber był młodszym (i mniejszym) bratem bombowca amerykańskiego. Stanowił pierwszą poważną niemiecką koncepcją budowy bombowca strategicznego dalekiego zasięgu. Powstał jeszcze przed wybuchem II wojny światowej z inicjatywy generała Walthera Wevera, szefa Sztabu Generalnego Luftwaffe. Wever uważał, że przyszłe konflikty będą rozstrzygane nie tylko na polu bitwy, lecz również poprzez

eprasa.pl 3678871f04

Wedle anegdoty, zapytany o to dlaczego nie wspiera rozwoju programu ciężkich bombowców, Herman Goering odpowiedział: *Wódz nie zapyta mnie, jak wielkie posiadamy bombowce, ale ile ich mamy.*

niszczenie zaplecza przemysłowego przeciwnika. Z tego powodu postulował stworzenie ciężkich bombowców zdolnych do atakowania najważniejszych ośrodków gospodarczych Związku Radzieckiego, w tym tych położonych za Uralem.

Nazwa programu nie oznaczała planów bombardowania samych gór Ural, lecz zakładała możliwość prowadzenia nalotów na zakłady przemysłowe ewakuowane lub zbudowane we wschodniej części ZSRR. Już w połowie lat trzydziestych niemieccy sztabowcy zdawali sobie sprawę, że w przypadku wojny Sowieci mogą przenieść znaczną część produkcji zbrojeniowej daleko od zachodnich granic państwa. Bombowiec dalekiego zasięgu miał uniemożliwić przeciwnikowi odbudowę potencjału przemysłowego nawet po utracie europejskiej części kraju.

Na wymagania programu odpowiedziały dwie największe niemieckie wytwórnie lotnicze. Firma Dornier opracowała czterosilnikowy bombowiec Do 19, natomiast Junkers przygotował konkurencyjny projekt Ju 89. Obie konstrukcje miały przenosić znaczny ładunek bomb na odległość kilku tysięcy kilometrów i pozostawać w powietrzu przez wiele godzin. Były to pierwsze niemieckie samoloty projektowane zgodnie z założeniami lotnictwa strategicznego, a nie wyłącznie jako wsparcie wojsk lądowych.



Silnik BMW 801, źródło: domena publiczna



Generał Walther Wever, jeden z niewielu adwokatów bombardowań strategicznych w III Rzeszy, źródło: domena publiczna

Program napotkał jednak poważne trudności. Niemiecki przemysł lotniczy nie dysponował jeszcze wystarczająco mocnymi i niezawodnymi silnikami, a ciężkie bombowce okazały się kosztowne zarówno w produkcji, jak i eksploatacji. Dodatkowo ich osiągi nie spełniały wszystkich oczekiwań Luftwaffe. W tym samym czasie coraz większy wpływ na rozwój niemieckiego lotnictwa zdobywali zwolennicy lotnictwa taktycznego, przede wszystkim przyszły dowódca Luftwaffe Hermann Göring oraz generał Albert Kesselring. Uważali oni, że szybkie bombowce średnie i samoloty nurkujące będą znacznie skuteczniej wspierały działania wojsk pancernych i piechoty.

Decydującym momentem okazała się tragiczna śmierć generała Walthera Wevera w katastrofie lotniczej 3 czerwca 1936 roku. Wraz z odejściem głównego orędownika lotnictwa strategicznego program Uralbomber stopniowo tracił znaczenie. Już w 1937 roku prace nad Do 19 i Ju 89 zostały praktycznie zakończone, a prototypy wykorzystano jedynie do badań lub przebudowano na samoloty transportowe.

eprasa.pl 3678871f04

Rezygnacja z programu miała dalekosiężne konsekwencje. Luftwaffe weszła do II wojny światowej bez ciężkich bombowców strategicznych, opierając się niemal wyłącznie na bombowcach średnich, takich jak Heinkel He 111, Dornier Do 17 czy Junkers Ju 88 (spełniających wymogi programów zwanych „Schenllbomber" i „Bomber B"). Samoloty te doskonale sprawdzały się podczas kampanii błyskawicznych, lecz nie były zdolne do prowadzenia długotrwałej wojny przemysłowej przeciwko Wielkiej Brytanii ani Związkowi Radzieckiemu.

Po rozpoczęciu wojny Niemcy wielokrotnie powracali do idei bombowca strategicznego, czego efektem były późniejsze projekty pośrednie, takie jak dziwaczny, hybrydowy (cztery silniki w dwóch gondolach) Heinkel He 177 czy próba dostosowana do zadań bombowych maszyny pasażerskiej Focke–Wulf Fw 200. Z gruzów bombowca uralskiego powstała koncepcja Amerikabomber, nigdy jednak nie udało się nadrobić czasu straconego po zarzuceniu wcześniejszych prac.



Focke-Wulf Fw 200 Condor, źródło: domena publiczna

Strategiczny imposybilizm

Pewnej nocy minister Speer przynosi mi zlecenie od Führera, które mam wykonać. Streszczając, mówi: – Führer planuje atak na przemysł zbrojeniowy na Uralu i przewiduje dzięki tym działaniom roczny przestój w produkcji, zwłaszcza czołgów. W tym roku będzie okazja, żeby to wykorzystać. Pana zadaniem jest zorganizowanie wszystkiego, nie może pan latać, Führer powtórzył to wyraźnie. (…) Zadaję kilka zasadniczych pytań natury technicznej. Pytam typ samolotów, którymi ma zostać przeprowadzony atak, oraz rodzaj bomb. Jeśli do ataku ma dojść wkrótce, w grę wchodzi tylko Heinkel 177. którego próby, mające na celu sprawdzenie przydatności do takich zadań, nie zostały jeszcze całkowicie zakończone. (…) Takie są moje zastrzeżenia, jeśli Führer nadal będzie obstawał przy tym, że mam przejąć tę misje, to moje obiekcje, że



Heinkel He 177 przechwycony, przemalowany i użytkowany przez aliantów w 1944 roku, źródło: domena publiczna

eprasa.pl 3678871f04

Siedem miesięcy po inauguracji Jägernotprogramm, programu produkcji tanich myśliwców obronnych, który zaangażował praktycznie wszystkie dostępne dla niemieckiego lotnictwa zasoby, wódz III Rzeszy usiłował dokonać strategicznej podniebnej ofensywy dalekiego zasięgu, używając niedostosowanych do tego maszyn. Oczywiście, z katastrofalnym skutkiem.

posiadam doświadczenie w zupełnie innej dziedzinie, będą mu już znane (Hans–Ulrich Rudel, *Pilot Sztukasa. Mój dziennik bojowy*, Poznań 2013, s. 191–192).

Tymi słowami najlepszy niemiecki as bombowy, ale także uzdolniony (i powszechnie posądzany o megalomanię) pamiętnikarz opisuje rozmowę z Albertem Speerem z lutego 1945. W momencie, gdy wojna jest już właściwie przegrana, cytując slogan rozpropagowany przez polską organizację małego sabotażu: *Deutschland liegt an allen Fronten* (Niemcy leżą na wszystkich frontach, jak żartobliwie przerabiano hasło: *Deutschland siegt an allen Fronten* – Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach), Hitler miał przypomnieć sobie o wadze bombardowań strategicznych. Siedem miesięcy po inauguracji Jägernotprogramm, programu produkcji tanich myśliwców obronnych, który zaangażował praktycznie wszystkie dostępne dla niemieckiego lotnictwa zasoby, wódz III Rzeszy usiłował dokonać strategicznej podniebnej ofensywy dalekiego zasięgu, używając niedostosowanych do tego maszyn. Oczywiście, z katastrofalnym skutkiem.

Czy jednak mogło być inaczej? Jak wspomnieliśmy, żadna konstrukcja niemieckiego bombowca ciężkiego o zdolnościach transatlantyckich nie była gotowa do produkcji seryjnej. Ewentualne jej rozpoczęcie wymagałaby zaangażowania zasobów nie tylko na same płatowce, ale też dostosowanie przemysłu, zoptymalizowanego do produkcji bombowców lekkich i myśliwców. Samo dostarczenie silników dla cztero– i sześciosilnikowych behemotów obciążyłoby przemysł niemiecki ponad miarę. Z tego zdawali sobie niemal wszyscy, do tego stopnia, że wśród pilotów myśliwców broniących upadającej Rzeszy istniał nieoficjalny system liczenia zwycięstw powietrznych, w których „viermoty", ciężkie maszyny czterosilnikowe aliantów były liczone jako cztery oddzielne zwycięstwa. Każdy z czterech silników BMW 801 mógł zasilić jednego Me 264 lub cztery Fw 190, potrzebne do ochrony przemysłu myśliwce.

W opinii większości analityków, nagłe przerzucenie zasobów III Rzeszy na produkcję ciężkich bombowców, nawet już w roku 1943, nie przedłużyłoby, ale wręcz skróciło wojnę, dzięki jeszcze szybszemu załamaniu się lotnictwa myśliwskiego oraz lotnictwa wsparcia frontowego.



Dalekosiężne bombardowania strategiczne udały się w praktyce tylko Stanom Zjednoczonym – na zdjęciu B29 zrzucające bomby nad Japonią. Źródło: domena publiczna

Sen Hitlera o bombardowaniu Nowego Jorku, choć oparty na możliwych do wyobrażania założeniach, był w istocie niewiele bliższy realizacji niż programy superbroni. Ciężkie bombowce dalekiego zasięgu (których program poniósł także spektakularną porażkę w Japonii i we Włoszech, o czym może opowiemy przy innej okazji) okazał się funkcją nie technicznej wiedzy, ale możliwości przemysłu mocarstw. I w tej paradoksalnej perspektywie objawia się po raz kolejny siła Stanów Zjednoczonych, ojczyzny B17, B24, B29 i innych ciężkich samolotów, wygrywających wojnę po równi w przestworzach, jak i na fabrycznych taśmach. ■



ADAM PODLEWSKI
Historyk, filozof. Autor licznych opowiadań i powieści historycznych „Honor i zbrodnia", „Zakon Świętego Brutusa", „Dzień sznura" oraz „Marymonckie młyny". Edukator w Centralnym Przystanku Historia IPN

eprasa.pl 3678871f04

TEKST: MAŁGORZATA GIERMAZ



45–karatowy niebieski diament Hope, którego ostatnim właścicielem był Harry Winston. W obawie przed rzuconą na kamień klątwą przekazał go Smithsonian Institute w Waszyngtonie. Zdjęcie z 1974 roku, źródło: domena publiczna

AMERYKAŃSKI KRÓL DIAMENTÓW

W POSZUKIWANIU HARRY'EGO WINSTONA

eprasa.pl 3678871f04

Czy kamienie szlachetne mogą stać się pasją życia? Harry Winston, najsłynniejszy amerykański jubiler i gemmolog, udowodnił, że jest to możliwe.

Geniusz od kołyski

Na świecie jest prawdziwą ikoną jubilerstwa, ale w Polsce nie jest aż tak rozpoznawalny. Nawet kilkadziesiąt lat po śmierci o Harrym Winstonie – zamkniętym w sobie znawcy minerałów z największą kolekcją kolorowych diamentów na koncie, pasjonacie, dla którego najważniejsza w życiu stała się praca, i człowieku, który nie umiał porozumieć się z rodziną – wciąż dużo się mówi. Wymyślona przez niego biżuteria osiąga rekordowo wysokie ceny na aukcjach, o wypożyczane na godziny naszyjniki, pierścionki, bransolety, brosze i kolczyki zabiegają gwiazdy prezentujące ozdoby na czerwonym dywanie. Po biżuterię Harry'ego Winstona sięga Meryl Streep, Hellen Mirren i Jennifer Lawrence, a Lauren Weisberger – autorka kultowej książki *Diabeł ubiera się u Prady* – nazwała jedną z powieści imieniem jubilera. Jedno nie ulega wątpliwości: na świecie nie ma nikogo, kto znałby się na kamieniach lepiej od Harry'ego Winstona.



Zanim został cenionym na świecie jubilerem, Harry Winston szlifował kamienie. Jednym z pierwszych minerałów, którego obróbką się zajął, był kupiony za 25 centów szmaragd. Na zdjęciu: nieszlifowany szmaragd, źródło: domena publiczna

Od czasu kiedy Harry Winston unowocześnił produkcję biżuterii, spopularyzował szlif szmaragdowy, wymyślił nową oprawę biżuterii, i masowo zaczął umieszczać w niej diamenty, nie było jubilera, który budziłby aż tak wielkie emocje.

Zanim stał się najbardziej tajemniczym jubilerem świata i osiągnął finansową niezależność, borykał się z biedą, usiłował przekonać ojca, że lepiej zna się na biznesie, a gdy pierwsze zarobione pieniądze przeznaczył na prowadzenie jednoosobowej działalności, nikt nie wieszczył mu sukcesu. Dopiero po latach Harry Winston zrozumiał, że jego największą miłością była dawna biżuteria, na której nikt w Ameryce się nie znał. Tak dorobił się fortuny i stał się właścicielem jednej z największych kolekcji kamieni szlachetnych. Niezależnie od krążących wokół Winstona plotek, nie można odmówić mu talentu i pasji. Jednak jubiler miał tajemnice, z których nie zwierzał się nikomu.

Po biżuterię Harry'ego Winstona sięga Meryl Streep, Hellen Mirren i Jennifer Lawrence, a Lauren Weisberger – autorka kultowej książki *Diabeł ubiera się u Prady* – nazwała jedną z powieści imieniem jubilera.

Urodził się 1 marca 1896 roku w West Side w Nowym Jorku, ale

eprasa.pl 3678871f04

choć od dziecka miał amerykańskie obywatelstwo, mógł też pochwalić się przodkami z Ukrainy. Ojciec Harry'ego Winstona, Jacob, pochodził ze wschodniej Europy i do wszystkiego w życiu doszedł sam. Tego samego uczył syna. Najbardziej zależało mu, aby Winston zdobył gruntowne wykształcenie i rozwinął otwarty przez niego salon jubilerski. O powstaniu nowej firmy nie było mowy. W sklepie Jacoba brakowało rąk do pracy, i mimo iż oferowana biżuteria powstawała ze znacznie tańszych kamieni niż diamenty, ojciec przyszłego gemmologa nie narzekał na brak zajęć.

Jacob Winston był dla Harry'ego autorytetem. Młodszy z Winstonów przez całe dzieciństwo obserwował pracę ojca i w ten sposób nauczył się jubilerskiego fachu. Jacob został pierwszym i jedynym nauczycielem Harry'ego, ale nie przewidział, że syn stanie się od niego dużo lepszym biznesmenem.

W wieku 12 lat, Harry dał się poznać jako sprawny szlifierz kolorowych kamieni. Gdy pewnego dnia za 25 centów kupił w lombardzie szmaragd i zapowiedział, że go oszlifuje i odsprzeda z zyskiem, mało kto wierzył Winstonowi. Właściciel sklepu nie przewidział, że nastolatek mówił poważnie. Na obróbce kamienia Winston wzbogacił się o 800 dolarów, ale bardziej od pieniędzy dla gemmologa liczył się fakt, że okazał się lepszy od ojca w rozpoznawaniu i szlifowaniu kamieni.



Portret Arabelli Huntington. Marzeniem Harry'ego Winstona było zainteresowanie dawną biżuterią bogatych Amerykanek. Swój plan zrealizował dzięki pożyczonym z banków pieniądzom, które przeznaczył na zakup biżuterii Arabelli. Źródło zdjęcia: domena publiczna

American dream?

Rok później Winstonowie przeprowadzili się do Los Angeles. Początkowo Harry Winston był zachwycony, lecz szybko przekonał się, że duża liczba sklepów stanowi dla małego butiku przy Figueroa Street ogromną konkurencję.

Ze względu na pogarszający się stan zdrowia ojca, Harry przejął po Jacobie zarządzanie sklepem. Odtąd oferował właścicielom pól naftowych, którzy z zapartym tchem go słuchali, dobrej jakości kamienie. Dzięki temu Winston stał się pewnym siebie sprzedawcą i w 1920 roku z zarobionymi 2000 dolarów w Kalifornii, postanowił podbić Nowy Jork. Sądził, że z jego talentem i umiejętnościami błyskawicznie osiągnie sukces, jednak tym razem musiał uzbroić się w cierpliwość.

Winston oznajmił Ednie, że rodzina znajduje się u niego na czwartym miejscu, tuż za pracą, kamieniami szlachetnymi i spotkaniami z klientami.

The Premier Diamond Company, jednoosobowa działalność Winstona, znajdowała się przy Piątej Alei 535 i poza dobrym adresem nie mogła poszczycić się sukcesami. Roczna działalność nie uczyniła z Harry'ego „króla diamentów", ale jubiler należał do osób zdeterminowanych. Uznał, że nie będzie rywalizował z wielkimi domami jubilerskimi i zajmie się

eprasa.pl 3678871f04

poszukiwaniem znacznie tańszych i wiekowych ozdób. Niestety tego typu biżuteria sporo kosztowała, a rozpoczynający swoją karierę Winston nie miał majątku, którym mógłby swobodnie dysponować, ale wtedy jubiler przypomniał sobie o możliwości pożyczenia z banku pieniędzy.

Początkowo Harry Winston spotykał się z częstymi odmowami, dyrektorzy placówek nie podzielali jego entuzjazmu, co, zważywszy na niski wzrost (jubiler mierzył zaledwie 155 cm) i niechlujny wygląd, nikogo nie dziwiło. Po kolejnej odmowie Winston założył swój jedyny garnitur i przyszedł do banku z „siwowłosym, dystyngowanym dżentelmenem", który pełnił rolę wabika. Harry nigdy nie wyjawił, kim był mężczyzna, być może przyszedł na spotkanie z ojcem, ale faktem jest, że sprawiał wrażenie znacznie dojrzalszego biznesmena. To wtedy podpisał pierwszą w życiu umowę z bankiem i odkupił od Arabelli Huntington, wdowie po magnacie kolejowym Henrym E. Huntingtonie, kolekcję biżuterii wartą 1,2 mln dolarów. Wśród ozdób, które Winston nabył od Arabelli znalazły się wykonane na zamówienie klejnoty Cartiera. Po tej transakcji, Winston znalazł się wśród nowojorskiej elity, o czym od dawna marzył. Odtąd oferowane przez niego kamienie zaczęły trafiać do bogatych Amerykanek.



Uważany za doskonałego biznesmena Harry Winston nie obawiał się wypożyczać na ważne uroczystości i plany filmowe swojej biżuterii. Z jego usług korzystały m.in. Jennifer Jones (na zdjęciu) czy Marilyn Monroe. Źródło: domena publiczna

Za szklanymi drzwiami

Pod koniec lat 20. XX wieku Harry Winston poznał w pociągu do Atlanty Ednę Fleischman. Piękna, eteryczna i świetnie wykształcona dziewczyna podbiła serce jubilera, dla którego nie liczyło się nic poza pracą. Winston oznajmił Ednie, że rodzina znajduje się u niego na czwartym miejscu, tuż za pracą, kamieniami szlachetnymi i spotkaniami z klientami. Projektant biżuterii nie znosił rozmów o niczym, dlatego często ucinał dyskusje w pół słowa. Całe godziny spędzał za to w biurze, do którego nikt nie miał dostępu. Bywało, że Winston nie wracał na noc do domu, bo miał do obgadania z Henrym Oppenheimerem ważną, niecierpiącą zwłoki sprawę. Dostawca najlepszych na świecie diamentów i dyrektor De Beers bywał stałym gościem Winstona, rzadko zadawał pytania i niczemu się nie dziwił. Był jednym z niewielu ludzi, którzy nie kwestionowali zachowań jubilera, za co Winston był mu wdzięczny i z tego powodu uznał za przyjaciela.

Edna Fleischman szybko zrozumiała, że Winston nie żartował. Oprócz domowych obowiązków zaangażowała się więc w pomoc Winstonowi. Gdy tylko mogła pozowała do zdjęć i podsuwała mężowi ciekawe pomysły na reklamy. Kiedy gemmolog wracał z biura, w domu panowała cisza. Harry nie lubił ludzi, a za najwierniejszych towarzyszy uważał kamienie szlachetne. Do gabinetu Winstona nie wolno było wchodzić obcym. Nawet dzieci, Ronald i Bruce musiały czekać na zaproszenie ojca.

Gdy chłopcy podrośli, jubiler zachęcał ich do pracy – Ron i Bruce z ochotą



Wielką wielbicielką talentu Harry'ego Winstona była aktorka Katharine Hepburn (na zdjęciu). Źródło: domena publiczna

wracali po szkole do sklepu, gdzie pod czujnym okiem Harry'ego polerowali ladę, badali i wyceniali kamienie oraz obsługiwali klientów. Wydawać by się mogło, że mieli zapewnioną przyszłość, jednak gdy Bruce zaczął opuszczać się w nauce, wagarować i umawiać z podejrzanymi kolegami, którzy sprzedawali alkohol i narkotyki, Winston stracił do młodszego syna cierpliwość i wydziedziczył go, a cały majątek przepisał na starszego o kilka lat Ronalda. Podczas gdy Bruce uciekał z domu i włóczył z kolegami, których Harry nie tolerował, a zaniepokojona Edna dzwoniła na policję, Ron prowadził nudne, przewidywalne życie. Jego jedyną ekstrawagancję stanowiły wycieczki do Japonii i spędzanie czasu na łonie przyrody. Ron był z wykształcenia chemikiem, ale praca u boku ojca sprawiła, że porzucił laboratorium na rzecz gabinetu wypełnionego antykami. Kiedy Harry Winston zmarł, Ron przez chwilę pomagał bratu i spłacał jego długi, ale kiedy Bruce zaczął udawać przed sądem pokrzywdzonego i wniósł sprawę o podział majątku, starszy brat szybko zerwał z nim kontakt.

eprasa.pl 3678871f04

Bliskie kontakty z rodziną nie należały do mocnych stron Harry'ego Winstona, który często się obrażał i bywał gościem we własnym domu. Zdecydowanie lepiej szło mu zarabianie pieniędzy i rozbudowa jubilerskiego imperium.

Człowiek sukcesu

W 1935 roku Harry Winston był na tyle bogaty, że mógł pozwolić sobie na kupno jednego z najsłynniejszych diamentów świata. Ważący 726 karatów Jonker został odkryty w Afryce przez kolekcjonera kamieni szlachetnych Johannesa Jacobusa Jonkera, którzy przez blisko dwie dekady szukał minerałów. W czasach gdy Winston kupił kamień, ten był czwartym największym diamentem na świecie. Wszystko co posiadał jubiler musiało być największe, najwspanialsze i najlepsze, nie inaczej było z diamentami. Oczarowany Jonkerem Harry Winston wprawił w zdumienie pracowników, gdy oznajmił im, że zamierza wysłać do Nowego Jorku przesyłkę, za której nadanie zapłacił 64 centy. Powiedział: „Jeśli nie można ufać poczcie Stanów Zjednoczonych, komu można zaufać?".

W latach 40. XX wieku Winston nieustannie pomnażał fortunę i nabywał coraz rzadsze kamienie: pochodzące z Indii szafiry, birmańskie rubiny w kolorze gołębiej krwi i intensywnie zielone kolumbijskie szmaragdy. Był w swoim żywiole, kiedy negocjował ceny za kolorowe diamenty – wysoko cenił zwłaszcza niebieskie, różowe i żółte kamienie o wyrazistych barwach. To do niego należał 34–karatowy szmaragd Stotesbury i diament Briolette of India, który kilkakrotnie kupował i sprzedawał. Dla nikogo w branży jubilerskiej nie było zaskoczeniem, gdy Winston został obwołany królem diamentów. Harry był dumny z przezwiska nadanego mu przez prasę, ale największą reklamę zrobiły mu aktorki, które wypożyczały biżuterię na gale na czerwonym dywanie. Pierwsza z tego typu usług skorzystała Jennifer Jones, po niej na uginające



Harry Winston miał ogromną kolekcję kamieni szlachetnych. Do jego ulubionych minerałów zaliczał się znaleziony w Indiach diament Briolette of India, który w przeszłości należał m.in. do Eleonory Akwitańskiej. Na zdjęciu: nagrobek Eleonory z jej podobizną.. Źródło: domena publiczna

się od lśniących kamieni kolie, pierścienie i długie wiszące kolczyki skusiła się Marilyn Monroe. Po udziale w filmie „Mężczyźni wolą blondynki", w którym zaśpiewała legendarną dziś piosenkę, w której wymieniła nazwy największych firm jubilerskich, do Harry'ego Winstona zaczęły ustawiać się kolejki chętnych gotowych na zakup biżuterii.

W dużej mierze przyczyniła się do tego wymyślona przez niego oprawa „Winston Cluster", która pozwoliła na umieszczenie obok siebie dużych kamieni. Symetryczne wzory zastąpiono znacznie bardziej naturalnymi motywami, a zamiast klasycznej oprawy



Flagowy salon Harry'ego Winstona na Piątej Alei w Nowym Jorku.
Źródło zdjęcia: domena publiczna

eprasa.pl 3678871f04

Tiffany estetykę pochodzącą z XIX wieku i eksponującą cały kamień, Winston stawiał na dużo większe minerały flankowane dwoma bagietami. Najczęstszym wyborem Amerykanek stawały się białe kamienie, które w przeciwieństwie do kolorowych diamentów pasowały do wszystkiego. Ale zdarzały się klientki, które miały znacznie lepszy gust od jubilera.

Jedną z takich osób była Wallis Simpson. Amerykańska celebrytka, dwukrotna rozwódka i żona króla Edwarda VIII uwielbiała luksus i wykonywaną na zamówienie biżuterię. Mimo przeciętnego wyglądu, Simpson wysoko ceniła ozdoby z ametystami, turkusami, szafirami i szmaragdami, które podkreślały jej ciemnoniebieskie spojrzenie. Ukochanym jubilerem kobiety był wprawdzie Cartier, lecz wkrótce zachwyciła się też klejnotami Harry'ego Winstona. Jeszcze zanim się poznali, Wallis Simpson wysłała Winstonowi liścik z prośbą o stworzenie czegoś wyjątkowego. Zachwycona klasycznym kompletem biżuterii projektu Winstona, Simpson później często nabywała dobrej jakości kamienie i własnoręcznie projektowała biżuterię.

W 1949 roku jubiler po raz kolejny stał się jedną z najważniejszych osób w branży. To wtedy Winston zaprezentował na wystawie „Court of Jewels" większość bezcennych minerałów. Już samo wejście na ekspozycję robiło wrażenie – umieszczone w gablotach kamienie szlachetne były ogromne, a diamentowe oprawy często oślepiały kolekcjonerów. Wystawa okazała się sporym sukcesem. Na biletowaną imprezę, z której zyski wsparły organizacje charytatywne, przyszły prawdziwe tłumy.

Gdy w 1952 roku tygodnik „Life" uznał Harry'ego Winstona za największego żyjącego jubilera wszech czasów, nie było w tych słowach cienia przesady. W gazecie napisano, że jubiler posiadał drugą najbardziej znaną kolekcję diamentów (pierwsze miejsce przyznano brytyjskiej rodzinie królewskiej, z którą jubiler rywalizował na polu kolekcjonerskim), a na potwierdzenie tych słów dziennikarze zaprezentowali kilka zdjęć z otwartej kilka lat wcześniej wystawy.



W latach 60. XX wieku Harry Winston oszlifował ponad 600–karatowy diament Jonker. Jeden z większych kamieni sprezentował Jacqueline Kennedy jej drugi mąż grecki miliarder Arystoteles Onasis. Źródło zdjęcia: domena publiczna

Sześć lat później, Winston podarował Smithsonian Institution w Waszyngtonie, którego był honorowym członkiem, największy na świecie niebieski diament Hope. Odkryty w Indiach i skradziony z posągu bogini Sity ważący 45 karatów minerał w przeszłości należał m.in. do Marii Antoniny, Ludwika XVI i amerykańskiej milionerki Evelyn McWalsh, od której jubiler odkupił diament. Winston dość szybko przekonał się, że kamień był wyjątkowy, ale ze względu na ciążącą klątwę (diament miał ponad 20 właścicieli i tylko dwóch nigdy nie uległo wypadkowi) postanowił umieścić go w Waszyngtonie.

Spełniony sen

W latach 60. XX wieku o Winstonie znów zrobiło się głośno. Nie dość, że przeniósł salon na Piątą Aleję, co było jego marzeniem, to jeszcze oszlifował 241–karatowy kamień, z którego powstał późniejszy diament Taylor–Burton. Podobno zachwycona minerałem aktorka Elisabeth Taylor poleciła Richardowi Burtonowi kupić kamień, zanim rozmyśli się i zrezygnuje ze ślubu.

Dwa lata później, w 1968 roku, Winston po raz kolejny zszedł do szlifierni, gdzie przed kamerami i na oczach tłumu widzów rozłupał na kilka części 601–karatowy i wydobyty w Afryce diament Lesotho. Pod wpływem impulsu zdecydował, że z gigantycznego kamienia powstanie 18 mniejszych diamentów. Jeden z kamieni stał się później własnością Jacqueline Kennedy.

8 grudnia 1978 roku Harry Winston, jeden z najsłynniejszych gemmologów i jubilerów świata, zmarł w wieku 82 lat. Zanim przekazał firmę starszemu synowi, nawet po przejściu na emeryturę osobiście zjawiał się w sklepie, pilnował dostaw i dbał, aby wykonana z kamieni biżuteria świetnie prezentowała się w sklepie. Mimo coraz większej konkurencji na rynku, Harry Winston nie przestał tworzyć luksusowych klejnotów, których siła tkwiła w prostocie. Uważał, że klasyka nie zestarzeje się nigdy, i właśnie tę wiedzę przekazał Ronowi Winstonowi.

Dzięki Winstonowi Amerykanie zrozumieli, czym jest dawna biżuteria. Pokochali bezcenne kamienie i docenili proste, niewyszukane ozdoby. Harry Winston sprawił, że diament stał się ulubionym kamieniem szlachetnym Zachodu. I właśnie to uczyniło z niego króla diamentów. Nieśmiertelnego jubilera, w którego biżuterii zakochali się Amerykanie. ■



MAŁGORZATA GIERMAZ
Absolwentka historii sztuki oraz ochrony dóbr kultury i środowiska, współpracuje z wieloma historycznymi czasopismami. Interesuje się epoką elżbietańską, psychologią sztuki, odzyskiwaniem zagrabionych arcydzieł oraz fałszerstwami.

eprasa.pl 3678871f04



LITTLE BIGHORN

LEGENDA I RZECZYWISTOŚĆ

W niedzielne popołudnie 25 czerwca 1876 r. nad rzeką Litlle Bighorn na Greasy Grass w Montanie rozegrała się nieoczekiwana bitwa, która przeszła do legendy USA.

TEKST: AGNIESZKA SZAJEWSKA

eprasa.pl 3678871f04



Charles Marion Russell: *Ostatni bój Custera*, 1903, źródło: domena publiczna

Wyniszczająca Stany Zjednoczone wojna secesyjna dla plemion indiańskich żyjących na Wielkich Równinach okazała się szczęśliwym czasem oddechu od prześladowań. Sytuacja zdawała się stabilizować. Rząd wycofywał oddziały z zachodnich rubieży, aby wykorzystywać je w bratobójczej walce.

Minęło równo 150 lat od tamtych wydarzeń szczegółowo opisanych w licznych źródłach i relacjach. Oddział 7 Regimentu Kawalerii US Army, biorący udział w ataku na wioskę Indian u boku ppłk. George'a Amstronga Custera przestał istnieć. Zginęli wszyscy, którzy bili się bezpośrednio u boku dowódcy. Pozostały ich listy, meldunki oraz relacje dziennikarzy. Prasa żywo interesowała się wielką wyprawą przeciwko „dzikim Indianom". Custer zabrał na wyprawę kilku korespondentów, jak również sam pisał artykuły do prasy, relacjonując przebieg kampanii przeciwko rdzennym mieszkańcom Ameryki, do której zorganizowania walnie się przyczynił.

Poza tym świadkami wydarzeń byli Amerykanie walczący w oddziałach, które Custer podzielił zadaniami i nie znajdowały się one w dolinie Little Bighorn podczas głównego ataku. Prowadzili je ppłk Myles Keogh, mjr Marcus Reno, kpt. Frederick Benteen i por. James Calhoun, uczestniczący w bitwie. Łącznie przeżyło około 350 uczestników walk po stronie amerykańskiej. Chociaż swoje ocalenie zawdzięczali z pewnością bardziej szczęściu niż swoim dowódcom, to jednak nieprawdą jest, że jedynymi ocalałymi byli zwiadowca – szeregowy Charles Adolphus Windolph i koń o imieniu Komancz.

Zacznijmy jednak od początku, a więc od pytania, jak do tego wszystkiego doszło? Wyniszczająca Stany Zjednoczone wojna secesyjna dla plemion indiańskich żyjących na Wielkich Równinach okazała się szczęśliwym czasem oddechu od prześladowań. Sytuacja zdawała się stabilizować. Rząd wycofywał oddziały z zachodnich rubieży, aby wykorzystywać je w bratobójczej walce. W 1865 r. wojna się kończy, a w 1868 r. zwycięski generał Ulysses Grant (już jako prezydent) wdraża tzw. Pokojową politykę wobec rdzennej ludności Ameryki. Jej celem jest pozbawienie Indian ziem i suwerenności, zamknięcie ich w rezerwatach i de facto eksterminacja. Na żyzne ziemie zachodnie nieustannie napływają pionierzy, którzy kupują ziemię nie od Indian, ale od rządu USA, lub czasem nawet dostają ją za darmo w celach osadniczych. Jednocześnie trwa też, wspierana przez władze akcja tępienia bizonów, na których opiera się wyżywienie i poniekąd cała gospodarka Indian. Myśliwi dostają zapłatę za języki i skóry tych zwierząt. Mięso nie jest skupowane. Dlaczego? Skóry i języki łatwo przetransportować w dużej ilości, można więc zabić więcej zwierząt podczas jednej wyprawy. W 2. połowie. XIX w. stada bizonów topnieją do punktu niemal całkowitego wyginięcia. Plemiona migrują w poszukiwaniu żywności i wkraczają na łowiska swoich sąsiadów, co prowadzi do licznych konfliktów między Indianami. Niebawem jednak plemiona zaczynają się jednoczyć, dostrzegając, że mają przed sobą większego wroga niż siebie nawzajem. Zawierają sojusze zwyczajnie, żeby przetrwać, a także po to, aby być partnerem do rozmów dla białych Amerykanów. Plemiona Dakotów występują jako jeden naród i stają się partnerem do rozmów dla rządu USA. W lipcu 1868 r. w forcie Laramie został podpisany układ potwierdzający prawa Indian do terenów na północ od rzeki North Platte i na wschód od szczytów Big Horn. Traktat zakończył wojnę z wodzem Czerwoną Chmurą

eprasa.pl 3678871f04

i ustanowił Wielki Rezerwat Siuksów. Rząd federalny chciał w ten sposób zabezpieczyć budowę kolei Union Pacific, ale również Indianie widzieli w tym szansę na pokój i zabezpieczenie łowisk. Nie minął nawet rok, a już pojawiły się problemy z utrzymaniem granic. Prawdziwym dramatem dla Indian okazało się jednak odkrycie w Górach Czarnych złota.

I tu po raz pierwszy pojawia się postać George'a A. Custera. Jego ambicja była równie wielka, co militarna niekompetencja. Custer nie był nawet prawdziwym generałem. Pod koniec wojny secesyjnej zdobył tzw. awans w systemie „brevet", co pozwalało mu

I tu po raz pierwszy pojawia się postać George'a A. Custera. Jego ambicja była równie wielka, co militarna niekompetencja. Custer nie był nawet prawdziwym generałem. Pod koniec wojny secesyjnej zdobył tzw. awans w systemie „brevet", co pozwalało mu nosić tytuł majora-generała. Nie wiązało się to jednak z realnym zaszeregowaniem generalskim.



Generał-major George Armstrong Custer, fotografia z 1865 roku. Źródło: domena publiczna

nosić tytuł majora–generała. Nie wiązało się to jednak z realnym zaszeregowaniem generalskim. Jeżeli więc obejmował dowództwo, było to związane z konkretną misją. Realnie natomiast pobierał żołd podpułkownika. Umiał jednak zagrać tytularnym mianem generała i dzięki wyprawie do Gór Czarnych chciał zrobić dalszą karierę jako „pogromca dzikich Indian".

W 1874 r. wdarł się od północy do Black Hill razem z wojskiem, grupą geologów i dziennikarzy oraz Urvillem i Fryderykiem Grantami – bratem i synem urzędującego prezydenta. Wśród żurnalistów był między innymi Polak z Podola – Syguard Wiśniewski, którego relacje dowodzą, iż Custer umiał zrobić z siebie gwiazdę. Naukowcy oczywiście znaleźli drogocenny kruszec, a prasa rozgłosiło ten fakt po całym kraju. Wybuchła „gorączka złota". Tabuny poszukiwaczy zapuszczały się na terytorium indiańskie, a drogę Custera przez Góry Czarne Indianie nazwali Szlakiem Złodziei.

Rząd oczywiście w zaistniałej sytuacji chciał przejąć cenne tereny, które wcześniej obiecał Indianom jako ich nietykalną własność „dopóki trawa będzie zielona". Wodzowie jednak odmówili. W tej sytuacji Biuro do Spraw Indian poleciło zawiadomić głównych

eprasa.pl 3678871f04



Wódz Siedzący Byk, fotografia z 1884 roku. Źródło: domena publiczna

Nieliczni ocaleni trafili do obozu wodza Hunkpapów – Siedzącego Byka, znajdującej się w owej chwili na rzeką Rosebud. Był to człowiek cieszący się powszechnym szacunkiem, rozważny dowódca, uznawany przez swoich za wizjonera.

wodzów Dakotów Siedzącego Byka i Szalonego Konia oraz ich zwolenników, aby stawili się w wyznaczonych agencjach do końca stycznia 1876 r. De facto oznaczało to wypowiedzenie wojny. Zima była bardzo sroga. Plemiona, nawet gdyby były skłonne stawić się wyznaczonych miejscach, nie miały takiej szansy. Późną i zimną wiosną 1976 r. oddziały USA pod wodzą gen. George'a Crooka ruszyły więc, aby „poskromić zbuntowanych Indian". Pierwszą ofiarą „niebieskich kurtek" (jak nazywano amerykańskich żołnierzy) padł obóz Czejenów wodza Dwa Księżyce. Taktyka wojska, jeśli można to tak nazwać, polegała na tym, że żołnierze mieli napadać na wioski i wycinać ludność. Nieliczni ocaleni trafili do obozu wodza Hunkpapów – Siedzącego Byka, znajdującej się w owej chwili na rzeką Rosebud. Był to człowiek cieszący się powszechnym szacunkiem, rozważny dowódca, uznawany przez swoich za wizjonera. Na marginesie, podobno też tworzył i śpiewał piękne pieśni. Wróćmy jednak do historii kampanii przeciw Indianom. Po swojej stronie Siedzący Byk miał między innymi wodzów: Szalonego Konia – przywódcę Oglalów (Lakota), Małego Psa (Oglala), Galla – wodza wojennego swojego plemienia i Dwie Tarcze, również z Hunkpapów oraz Tępego Noża (Czejen). Podstawowym zadaniem, jakie postawili sobie Dakotowie, była ochrona rodzin. Trzeba było więc odciągnąć od wiosek wojsko gen. Crooka. Do tego zadania znakomicie nadawał się wódz Szalony Koń. Doświadczony w wojnie u boku Czerwonej Chmury, odważny i nieustępliwy zaskoczył jankesów 17 czerwca 1876 r. nad Powder Creek. Oglalowie ostrzeliwali wojsko amerykańskie ze wzgórz, z których nie dali się wyprzeć. Żołnierze nie umieli zorientować się w sytuacji, nie wiedzieli, gdzie jest wróg. Zapanował chaos. Gen. George Crooka uratował oddział kawalerii przybyły w ostatniej chwili, osłaniający jego odwrót do

eprasa.pl 3678871f04

bazy na strumieniem Gose. Telegramy od przełożonych, ponaglające go do ponownego wymarszu nie odniosły oczekiwanych rezultatów. Crook był w całkowitej psychicznej rozsypce. Kilka dni wcześniej próbował zaciągnąć nowych zwiadowców, ponieważ gubił się w terenie – bez powodzenia. Jego oddziały błąkały się po okolicy w deszczu i błocie. Porażka w starciu z nieprzewidywalnym przeciwnikiem zablokowała go zupełnie. Indianie wiedzieli również, że nie połączy sił z oddziałami gen. Alfreda Terry'ego, którego mianowano dowódcą głównym drugiej kolumny uderzeniowej, chociaż bardziej był prawnikiem niż wojskowym.

Tymczasem Szalony Koń dołączył do Siedzącego Byka i innych wodzów nad rzeką Little Bighorn, gdzie na przełomie maja i czerwca tworzyła się wspólna wioska i odbywał się wypas koni.

Pierwsze natarcie miał poprowadzić mjr Reno. Przeprawił się przez bród Little Bighorn dość daleko od wioski i zarządził szarżę, która miała zaskoczyć osadę. Kawalerzyści galopowali 2 mile, wzbijając tumany kurzu, aż zaczęli tracić szyk, a już na pewno nie widzieli przed sobą wroga. Zaalarmowani Indianie zaczęli strzelać do żołnierzy z poziomu namiotów, zza drzew i wysokich traw.

I tu na arenie pojawia się powtórnie ppłk. Custer, który podlegał gen. Terry'emu. Wprawdzie prezydent Grant doskonale zdawał sobie sprawę z charakteru i umiejętności Custera, lecz zgodził się na jego uczestnictwo w wyprawie, pod warunkiem że nie obejmie dowództwa. Tymczasem los chciał inaczej. Terry, podobnie jak pozostali dowódcy amerykańscy w kampanii



Teren bitwy nad Little Bighorn. Miejsce, gdzie odnaleziono ciało Custera zostało oznaczone kamieniem z czarną tarczą. Źródło: domena publiczna

eprasa.pl 3678871f04

o Black Hill, miał problemy logistyczne. Co chwilę błądził. Tabory poruszały się powoli ze względu na deszczową pogodę i nieznajomość terenu, a zaopatrzenie transportowane rzekami również nie do końca zdało egzamin. W tej sytuacji ppłk. Custer dostał pod komendę 7 Pułk Kawalerii. Ponieważ był już wcześniej w tej okolicy, i jak sam twierdził (dlatego nie możemy tego oczywiście zweryfikować) w liście do żony Elżbiety, doskonale znał okolicę, jechał na czele wojska, które beztrosko szło zwartą kolumną i gotowało po drodze cieple posiłki. Nawet tuż przed bitwą nad Little Bighorn Custer zarządził popas z ogniskami i gorącą kawą, zaś atak zaplanował po godzinie czternastej, jakby chciał poczekać aż Indianie wyśpią się po święcie, które obchodzili hucznie poprzedniego wieczoru. Z jakiego powodu liczył na zaskoczenie Indian, pozostaje zagadką.

Plemiona Dakotów i ich sprzymierzeńców z innych szczepów rozbili wioskę liczącą kilkaset tipi. Osada rozciągała się na prawie 5 km. Po jednej stronie była rwąca rzeka porośnięta drzewami, a za nią wzgórza o stromym brzegu. Po drugiej stronie wznosiły się porośnięte bujną trawą wzgórza. W bitwie wzięło udział ok. 1200 wojowników spośród rdzennej ludności obozującej nad Little Big-Horn, a nie byli to wszyscy mężczyźni zdolni do walki. Gdyby policzyć wszystkich, mogłoby się uzbierać 2 tysiące mężczyzn pod bronią. Mimo to zwiadowcy „niebieskich kurtek", nie potrafili zlokalizować wioski indiańskiej i błąkali się po rozległym terytorium między rzekami Rosebud, Powder, Little Missoure i Yellowstone. Częściowo może to być usprawiedliwione ukształtowaniem terenu. Wojsko poruszało się wolniej, niż przewidywano.

Zwiadowcy Custera z plemion Wron i Arikarów, mimo iż nie do końca rozpoznali teren przed bitwą (lub nie dość klarownie przekazali zebrane informacje, a może po prostu nikt ich nie słuchał), wiedzieli, iż wioska jest zbyt liczna, by ją zaatakować z dobrym rezultatem. Dakotowie, Czejenowie i Arapaho spotkali się i sprzymierzyli. Tymczasem Custer miał do dyspozycji zaledwie 610 ludzi. Ponadto rozkazy były inne. Miał czekać na oddział piechoty pułk. Johna Gibbona oraz na głównodowodzącego Terry'ego. Gdyby jednak tak postąpił, straciłby inicjatywę w dowodzeniu. Wydał więc rozkaz kpt. Benteenowi, aby wraz z taborami McDougalla pozostał w odwodzie. Dzięki temu oddziały Custera mogły poruszać się szybciej i wyprzedził oddziały pozostałych o 2 dni drogi.



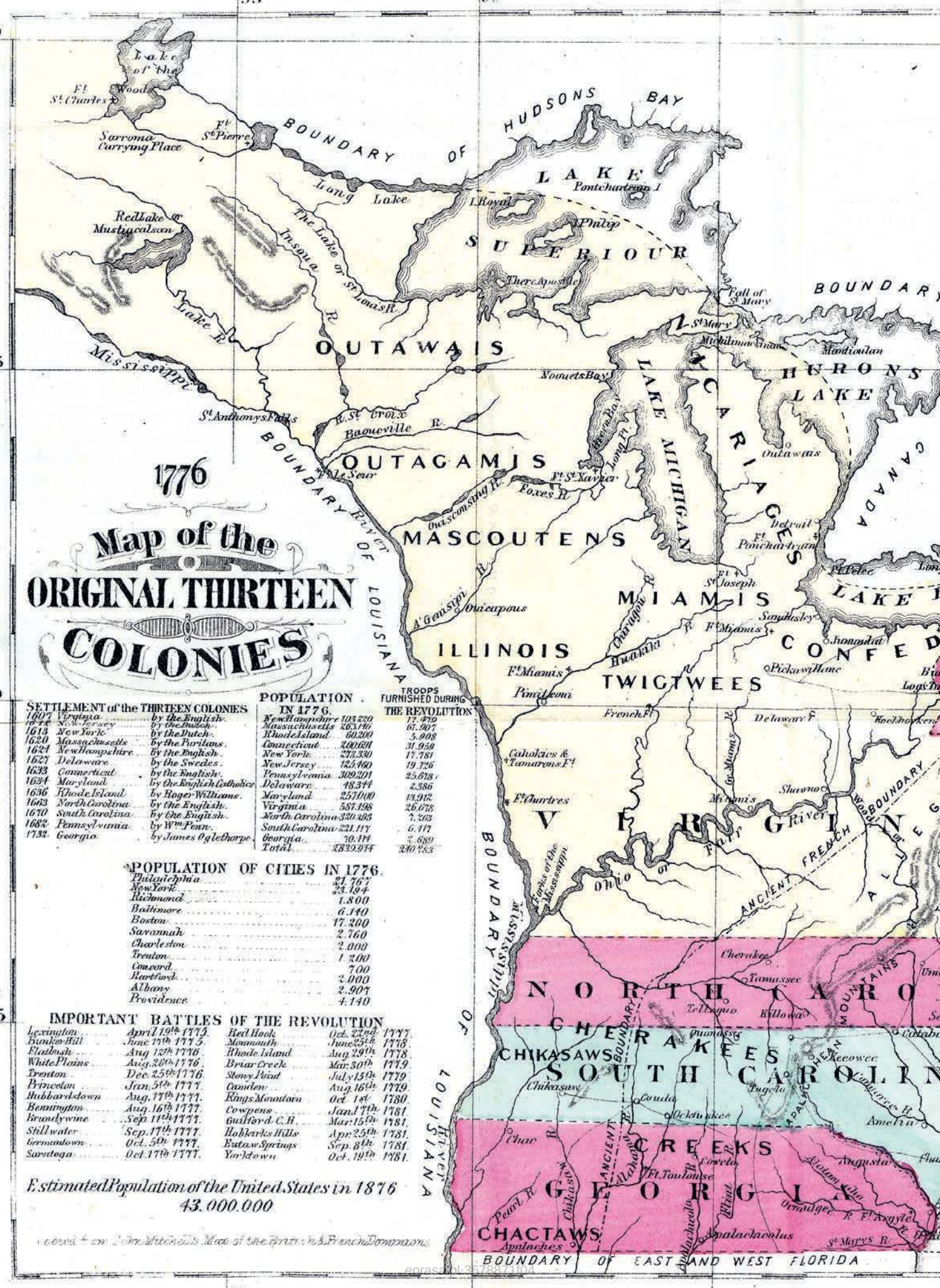
Korczak Ziółkowski, rzeźbiarz polskiego pochodzenia, który rozpoczął trwające do dziś prace nad monumentalną wykutą w skale rzeźbą Szalonego Konia. Źródło: domena publiczna

Zwiadowcy odnalazłszy wioskę Indian, odradzali swojemu dowódcy pochopną decyzję o ataku na o wiele liczniejszego przeciwnika. Gdy ten odmówił, jego ulubiony przewodnik – Krwawy Nóż – stwierdził, że to zapewne ostatni dzień jego życia. Niestety marzenia o chwale na miarę Cezara pogromcy barbarzyńców i plany kampanii prezydenckiej Custera wygrały z rozsądkiem.

W zasadzie wszystkie rozkazy wydane tego dnia przez „Długowłosego" (jak nazywali Custera Indianie) były błędem. Podzielił on swoje i tak mało liczne oddziały na mniejsze formacje.

Pierwsze natarcie miał poprowadzić mjr Reno. Przeprawił się przez bród Little Bighorn dość daleko od wioski i zarządził szarżę, która miała zaskoczyć osadę. Kawalerzyści galopowali 2 mile, wzbijając tumany kurzu, aż zaczęli tracić szyk, a już na pewno nie widzieli przed sobą wroga. Zaalarmowani Indianie zaczęli strzelać do żołnierzy z poziomu namiotów, zza drzew i wysokich traw. W tej sytuacji mjr Reno rozkazał zsiąść z koni i ukryć się w zagajniku przed wioską. Przeciwników było coraz więcej i oddział Reno został zepchnięty w stronę rzeki w niekorzystne dla siebie miejsce. Ponadto pomoc Custera, który obiecał, że ruszy w ślad za swoimi wiernymi żołnierzami nie pojawiała się. W rzeczywistości głównodowodzący oszukał swojego podwładnego. Nigdy nie zamierzał pojawić się w tym miejscu. Jego celem pozostawało oskrzydlenie Indian i wtargnięcie do wioski.

eprasa.pl 3678871f04



SETTLEMENT of the THIRTEEN COLONIES		
1607	Virginia	by the English.
1614	New York	by the Dutch.
1620	Massachusetts	by the Puritans.
1624	New Hampshire	by the English.
1627	Delaware	by the Swedes.
1633	Connecticut	by the English.
1634	Maryland	by the English Catholics.
1636	Rhode Island	by Roger Williams.
1663	North Carolina	by the English.
1670	South Carolina	by the English.
1682	Pennsylvania	by Wm Penn.
1732	Georgia	by James Oglethorpe.

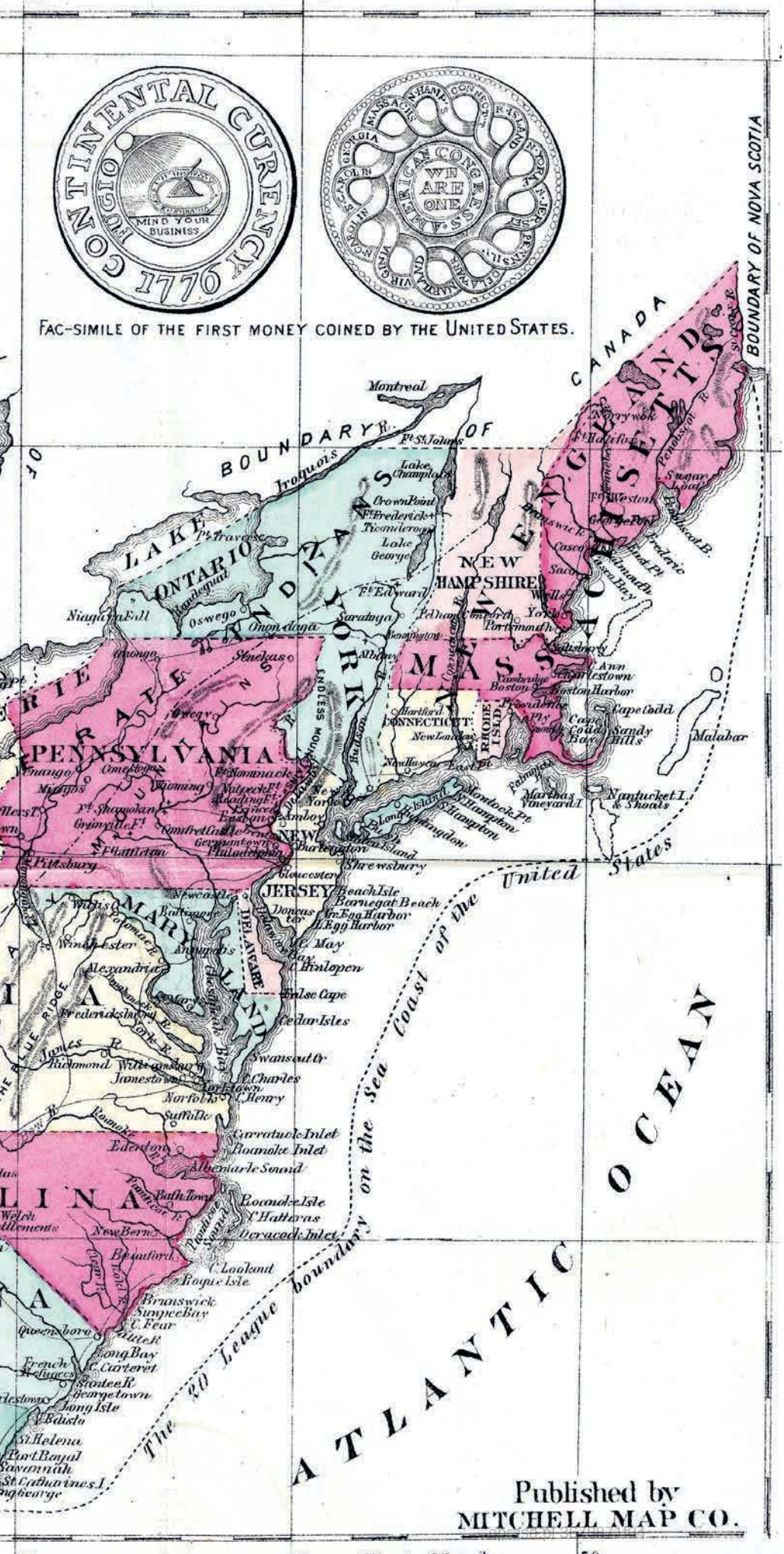
POPULATION IN 1776.		TROOPS FURNISHED DURING THE REVOLUTION
New Hampshire	103.320	12.496
Massachusetts	268.140	67.907
Rhode Island	60.200	5.908
Connecticut	200.691	31.959
New York	273.330	17.781
New Jersey	125.460	19.726
Pennsylvania	309.201	25.678
Delaware	18.344	2.386
Maryland	257.000	13.912
Virginia	567.198	26.678
North Carolina	320.485	7.263
South Carolina	221.117	6.417
Georgia	70.414	3.089
Total	2839.914	240.783

POPULATION OF CITIES IN 1776.	
Philadelphia	21.767
New York	23.194
Richmond	1.800
Baltimore	6.140
Boston	17.200
Savannah	2.760
Charleston	2.000
Trenton	1.200
Coneord	700
Hartford	2.000
Albany	2.907
Providence	4.140

IMPORTANT BATTLES OF THE REVOLUTION			
Lexington	April 19th 1775.	Red Hook	Oct. 22nd 1777.
Bunkers Hill	June 17th 1775.	Monmouth	June 25th 1778.
Flatbush	Aug 12th 1776.	Rhode Island	Aug 29th 1778.
White Plains	Aug. 26th 1776.	Briar Creek	Mar. 30th 1779.
Trenton	Dec. 25th 1776.	Stony Point	July 15th 1779.
Princeton	Jan. 5th 1777.	Camden	Aug. 16th 1779.
Hubbardstown	Aug. 17th 1777.	Kings Mountain	Oct 1st 1780.
Bennington	Aug. 16th 1777.	Cowpens	Jan 17th 1781.
Brandywine	Sep. 11th 1777.	Guilford C.H.	Mar. 15th 1781.
Still water	Sep. 17th 1777.	Hobkirks Hills	Apr. 25th 1781.
Germantown	Oct. 5th 1777.	Eutaw Springs	Sep. 8th 1781.
Saratoga	Oct. 17th 1777.	Yorktown	Oct. 19th 1781.

Estimated Population of the United States in 1876
43.000.000

Copied from John Mitchell's Map of the British & French Dominions



Mapa Trzynastu Kolonii w przedzień podpisania Deklaracji Niepodległości, sporządzona na okazję stulecia państwowości USA. Źródło: James D. McCabe, *Our Country and its Resources*, Philadelphia 1876.

Reno zarządził odwrót. Kawalerzyści wskakiwali na konie i uciekali przez szeroki rwący nurt z powrotem na drugi brzeg rzeki, gdzie brzeg był za wysoki nawet dla koni. Dowódca stracił połowę swoich ludzi. Udało im się wdrapać na wzgórze i spotkać z oddziałami Benteena, który akurat dostał rozkaz dołączenia do Custera i przywiezienia juków (prawdopodobnie chodziło o dostarczenie amunicji). Niestety „generał" nie napisał w rozkazie, gdzie mają się stawić jego podkomendni, a posłaniec z meldunkiem – niejaki John Martin (Martini) – był niedawnym emigrantem z Włoch, niezbyt dobrze mówiącym po angielsku.

W tej sytuacji Benteen stwierdził, że nie rozumie rozkazu i został na wzgórzu. Tymczasem Custer zjeżdżał właśnie ciasną przełęczą w dół płytkiego wąwozu Medicine Trail Coulee w stronę rzeki. Jego kawalerzyści byli ustawieni w wąskiej kolumnie, co już na początku miało im utrudnić walkę. Wcześniej generał prawie godzinę strawił na samodzielne poszukiwanie właściwego podjazdu na wioskę. Dogodne zejście wypatrzył ze szczytu wzgórz. Tu zaznaczę, że wzdłuż szczytów kawalerzyści byli doskonale widoczni, zwłaszcza ci na białych koniach. Być może Custerowi byłoby łatwiej, gdyby nadal miał przy sobie indiańskich zwiadowców, ale wysłał ich, żeby ukradli sobie konie na przeciwniku. Zajęli się więc tą rozrywką i w rezultacie bliżej im było do majora Reno niż do Custera, który postawił sobie za utopijny cel wyciągnięcie wojowników z wioski i zajęcie jej. Do walki z Custerem ruszyli wodzowie Szalony Koń i Deszcz w Twarz, natomiast Siedzący Byk – wówczas człowiek po czterdziestce – został w środku wioski i miał przeszkodzić generałowi w zrealizowaniu jego planu. Po prostu nie dopuścił, żeby wojownicy opuścili wioskę, pozostawiając rodziny bezbronne.

Custer ruszył na czele dwóch kompanii Yatesa ku północy, a kpt. Calhoun z dwiema kompaniami szedł wzgórzami na północny zachód. Żołnierze zostali wystrzelani z karabinów przez konnych strzelców i z łuków (Indianie strzelali z wysokich traw). Bitwa zakończyła się około godziny 17.00.

Wojownicy indiańscy, chociaż posługiwali się łukami, w większości posiadali również broń palną: nowoczesne karabiny Henry'ego, karabiny Spencera i wielostrzałowe winchestery. Tymczasem 7 Pułk Kawalerii był uzbrojony w jednostrzałowe karabiny Springfielda. Ponadto żołnierze nie mogli przeładować broni, jadąc konno. Nie umieli też strzelać, jadąc. Większość posiadała klasyczne przeszkolenie, wedle podręczników rodem jeszcze z wojen napoleońskich. Tymczasem przeciwnik nie ustawiał się w równych szeregach do salwy. Indianie strzelali z ukrycia i potrafili trafiać w ruchomy cel, jadąc konno (praktykowali to podczas polowań).

Prawdopodobnie Indianie nie zdawali sobie od razu sprawy, z kim walczyli. Nie mogli też znaleźć ciała amerykańskiego dowódcy, a to dlatego, że „Długie Włosy" Custer akurat postanowił się obciąć. Dodatkowo generał walczył w samej koszuli i skórzanych spodniach. Nie nosił dystynkcji. Podobno zidentyfikowali go dzięki pomocy siostrzeńca Siedzącego Byka, który widział podpułkownika w jednym z fortów. Amerykanie zaś znaleźli „generała" dopiero 28 czerwca. Zespół, do którego należeli kapitan Otho E. Michaelis i pułk Edward S. Godfrey pod dowództwem gen. Alfreda Terry'ego i mjr. Marcusa Reno, dokonał identyfikacji i tymczasowego pochówku. Następnie ciało zostało ekshumowane i przeniesione na cmentarz wojskowy West Point. Custer odniósł dwie rany. Został postrzelony w głowę i pierś. Od podobnych postrzałów zginął później wódz Siedzący Byk (rana w głowę i tył pleców) zastrzelony przez indiańską policję przed swoją chatą w rezerwacie Standing Rock. Było to jednak wiele lat później, po wyprawie do Kanady



i występach w rewii Buffalo Billa. Szalony Koń wcześniej zgodził się na życie w rezerwacie. Zmarł w wyniku pchnięcia bagnetem podczas próby aresztowania go. Legendarni wodzowie i ich ludy zostali zmiażdżeni pod naporem przybyszów.

Do dziś kwestia poszanowania praw rdzennych mieszkańców USA

eprasa.pl 3678871f04



Rzeźba Szalonego Konia w Górach Czarnych w Dakocie Południowej. Stan z 2020 roku. Źródło: domena publiczna

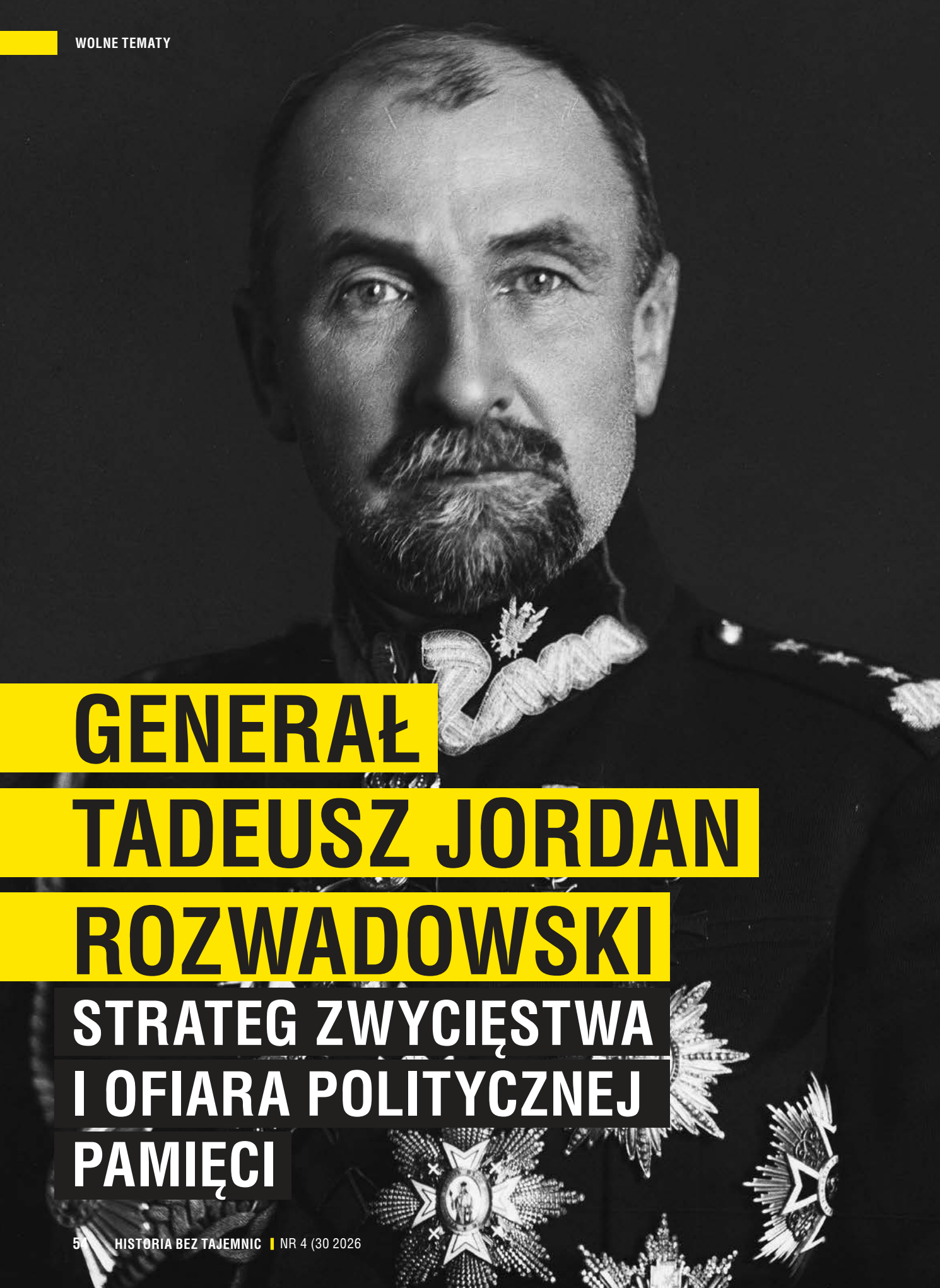
pozostaje dyskusyjna, ale pamięć o dwóch wielkich wodzach trwa. Jest tu nawet pewien akcent polski. Syn emigrantów, rzeźbiarz Korczak Ziółkowski jest autorem popiersia Siedzącego Byka umieszczonego w miejscu jego pochówku oraz monumentalnej wykutej w skale rzeźby Szalonego Konia. Nad projektem pracowała również żona Ziółkowskiego Ruth, a po jego śmierci ich dzieci.

Rzeźba wykuta w skale ma naprawdę imponujące rozmiary: głowa Szalonego Konia mierzy prawie 27 m, ramię – ok. 80 m, a palec ponad 9 m, zaś głowa konia – 67 m, a jego grzywa ma długość ok. 19 m. Wznosi się ponad rozległym płaskowyżem, przypominając, że Góry Czarne nie są na sprzedaż. ■



AGNIESZKA SZAJEWSKA
Historyk, edukator, redaktor i autorka tekstów z zakresu historii, psychologii, socjologii społecznej.

eprasa.pl 3678871f04



GENERAŁ TADEUSZ JORDAN ROZWADOWSKI

STRATEG ZWYCIĘSTWA I OFIARA POLITYCZNEJ PAMIĘCI

TEKST: KRZYSZTOF DROZDOWSKI

W historii II Rzeczypospolitej są postacie, które łatwo wpisać w szkolny kanon. Są też takie, które przez lata pozostawały w cieniu, choć ich życiorysy mogłyby stać się osią niejednej opowieści o narodzinach państwa, wojnie, polityce, honorze i pamięci. Do tej drugiej grupy należy generał broni Tadeusz Jordan Rozwadowski – oficer armii austro-węgierskiej, wybitny artylerzysta, organizator Wojska Polskiego, obrońca Lwowa, szef Sztabu Generalnego w najtrudniejszych dniach wojny z bolszewikami, współtwórca zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej, a zarazem człowiek, którego późniejszy los został dramatycznie naznaczony konfliktem z Józefem Piłsudskim i przewrotem majowym.

Rodzina, szkoła, armia

Tadeusz Samuel Szymon Jordan Rozwadowski herbu Trąby urodził się w Babinie koło Kałusza, na terenie dawnej Galicji. W źródłach pojawiają się dwie daty jego urodzenia: 19 albo 20 maja 1866 roku. Przyszedł na świat w rodzinie o silnych tradycjach wojskowych i patriotycznych. W przekazach biograficznych przypomina się, że jego przodkowie walczyli między innymi pod Wiedniem, w insurekcji kościuszkowskiej, powstaniu listopadowym i powstaniu styczniowym.

To dziedzictwo było ważne, ale nie wystarczało, by zrobić karierę w skomplikowanym świecie armii Habsburgów. Rozwadowski musiał udowodnić talent, pracowitość i lojalność wobec służby, w której formalnie reprezentował monarchię austro-węgierską, choć duchowo pozostawał Polakiem. Kształcił się w szkołach wojskowych, między innymi w szkole kadetów kawalerii w Hranicach na Morawach, a następnie w Wojskowej Akademii Technicznej w Wiedniu. Po jej ukończeniu w 1886 roku otrzymał stopień podporucznika. Dalsza edukacja w Szkole Wojennej w Wiedniu otworzyła mu drogę do służby sztabowej.

Już w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku pełnił funkcje w sztabach w Mariborze i Budapeszcie. W 1896 roku został attaché wojskowym przy poselstwie austro-węgierskim w Bukareszcie. Nie była to wyłącznie funkcja reprezentacyjna. W Rumunii rozwijał współpracę wojskową i dyplomatyczną, poznawał realia polityki międzynarodowej oraz budował kontakty, które po latach miały okazać się przydatne dla odradzającej się Polski.



Józef Piłsudski z Tadeuszem Rozwadowskim i Kazimierzem Sosnkowskim, 1923, źródło: NAC

eprasa.pl 3678871f04

Był człowiekiem dobrze wykształconym, znającym języki, swobodnie poruszającym się w świecie dyplomacji i armii. Znał polski, francuski, niemiecki, czeski i rosyjski, a z czasem także nauczył się rumuńskiego. Łączył cechy oficera liniowego, sztabowca i dyplomaty. To połączenie w polskich warunkach początku XX wieku było niezwykle cenne.

Artylerzysta nowoczesnej wojny

Zanim Rozwadowski stał się jednym z najważniejszych generałów odrodzonego Wojska Polskiego, zdobył renomę jako specjalista od artylerii. Był oficerem, który myślał o wojnie przyszłości. Interesowały go technika, tempo działania, koordynacja ognia i ruchu. Przypisuje mu się między innymi prace nad przyrządami celowniczymi oraz nad nowym rodzajem pocisku artyleryjskiego, określanego jako granato-szrapnel, o działaniu zbliżonym do późniejszych pocisków odłamkowo-burzących.

Najgłośniejszym przykładem jego nowoczesnego podejścia była jednak taktyka ruchomej zasłony ogniowej. W czasie I wojny światowej, podczas bitwy pod Gorlicami w maju 1915 roku, Rozwadowski zaproponował, aby zamiast wielogodzinnego, wyniszczającego ostrzału zastosować



Feldmarschalleutnant armii Austro-Węgier Tadeusz Rozwadowski w 1918 roku, źródło: domena publiczna

precyzyjny ogień przesuwający się tuż przed nacierającą piechotą. W praktyce oznaczało to, że artyleria nie tylko niszczyła pozycje przeciwnika, ale osłaniała ruch własnych oddziałów. Ogień miał iść przed piechurami niczym ściana wybuchów. Ten sposób działania wszedł później do regulaminów wielu armii jako wał ogniowy.

W czasie Wielkiej Wojny dosłużył się w armii austro-węgierskiej wysokich stanowisk. Dowodził między innymi 12. Brygadą Artylerii Polowej, a później 43. Dywizją Piechoty. Jednocześnie nie ukrywał krytycznego stosunku do brutalności austriackiej polityki wobec ludności Galicji. Konflikty z przełożonymi sprawiły, że w 1916 roku został przeniesiony na emeryturę wojskową. W jego przypadku emerytura nie oznaczała jednak końca służby. Przeciwnie, najważniejsza część jego wojskowego życia dopiero się zaczynała.

Oficer niepodległej Polski

Gdy w 1918 roku załamywały się imperia, a Polska odzyskiwała niepodległość, Rozwadowski należał do tych oficerów, których doświadczenie było bezcenne. Odrodzone państwo potrzebowało nie tylko entuzjazmu, ale także organizacji. Potrzebowało struktur, regulaminów, sztabów, kadr, zaplecza, dyscypliny i myślenia strategicznego.

W 1918 roku Rozwadowski został szefem Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Zajął się organizacją armii, opracowaniem schematu władz wojskowych, tworzeniem podstaw marynarki wojennej, kawalerii i straży granicznej. Była to praca mniej efektowna niż dowodzenie na polu bitwy, ale dla odradzającego się państwa absolutnie fundamentalna. Zwłaszcza w obliczu ciągłego zagrożenia na niemal wszystkich granicach. Bez organizacji nawet największy zapał ochotników nie wystarczał.

Szybko ujawniły się jednak różnice między nim a Józefem Piłsudskim. Spór dotyczył sposobu budowania armii. Rozwadowski, wychowany w kulturze regularnych sztabów i wielkiej armii europejskiej, reprezentował podejście instytucjonalne. Piłsudski miał za sobą doświadczenie konspiracji, Legionów, walki politycznej i nieufność wobec części dawnych kadr zaborczych. Obaj byli Polakami i obaj myśleli o państwie, ale ich drogi do silnej armii nie były identyczne.

Był oficerem, który myślał o wojnie przyszłości. Interesowały go technika, tempo działania, koordynacja ognia i ruchu. Przypisuje mu się między innymi prace nad przyrządami celowniczymi oraz nad nowym rodzajem pocisku artyleryjskiego, określanego jako granato-szrapnel, o działaniu zbliżonym do późniejszych pocisków odłamkowo-burzących.

eprasa.pl 3678871f04

Gdy wybuchły walki o Lwów i Galicję Wschodnią, objął dowództwo Armii „Wschód". W mieście, które stało się symbolem polsko-ukraińskiego konfliktu, Rozwadowski wykazał się energią, stanowczością i zdolnością do organizowania rozproszonych sił. Potrafił przekształcać oddziały ochotnicze w regularne formacje. Nie był generałem salonowym. Gdy sytuacja tego wymagała, znajdował się blisko żołnierzy.

Później wysłano go do Paryża jako szefa Polskiej Misji Wojskowej. Tam zabiegał o broń, pomoc wojskową i polityczne wsparcie dla Polski. Odegrał także rolę w trakcie konferencji w Spa, gdzie jako jedyny z przedstawicieli Polski oficjalnie zaprotestował przeciwko postanowieniom konferencji, w której za cenę mediacji ze strony państw ententy Polska miała iść na zdecydowane ustępstwa.

Lato 1920 roku: państwo nad przepaścią

Latem 1920 roku Polska znalazła się w sytuacji dramatycznej. Armia Czerwona parła na zachód. Wydawało się, że upadek Warszawy może być kwestią dni. W Europie z niepokojem obserwowano ofensywę bolszewików, ale realna pomoc Zachodu była ograniczona. W kraju ścierały się lęk, mobilizacja, chaos, nadzieja i polityczne napięcia.

Właśnie w tym momencie Rozwadowski objął funkcję szefa Sztabu Generalnego. Był to wybór logiczny: miał doświadczenie sztabowe, znał wielką wojnę, rozumiał znaczenie artylerii, manewru i koordynacji działań. Zajął się reorganizacją wojska do walki z bolszewikami, a następnie opracował plan kontrnatarcia i koncepcję Bitwy Warszawskiej, której został głównym koordynatorem.

W tym miejscu zaczyna się jeden z najgorętszych sporów polskiej historiografii: kto był właściwym autorem planu Bitwy Warszawskiej? Piłsudski? Rozwadowski? Sztab Generalny? A może francuski generał Maxime Weygand? Odpowiedź najuczciwsza brzmi: zwycięstwo było wynikiem połączenia decyzji polityczno-wojskowych Naczelnego Wodza, pracy polskiego sztabu, energii dowódców armii i wykonania przez żołnierzy. Ale w tej układance Rozwadowski był postacią absolutnie kluczową.

Dokumenty wskazują, że rozkaz operacyjny nr 8358/III, dotyczący



Józef Piłsudski w otoczeniu oficerów podczas walk polsko-ukraińskich, Tadeusz Rozwadowski piąty z lewej, 1918, źródło: NAC

eprasa.pl 3678871f04

przegrupowania wojsk, został doprecyzowany przez szefa sztabu, generała Rozwadowskiego. Według relacji oficera sztabowego Bronisława Regulskiego dokument ten został opracowany na podstawie decyzji marszałka Piłsudskiego przez Sztab Generalny pod szefostwem Rozwadowskiego. To ważne, bo pozwala uniknąć publicystycznego uproszczenia. Rozwadowski nie działał w próżni i nie był samotnym autorem całej wojny. Był jednak człowiekiem, który przekładał koncepcję na realny plan, rozkazy, przegrupowania i koordynację działań.

Sam generał po latach wspominał, że przygotował dla Naczelnego Wodza referat i że po dyskusji Piłsudski zgodził się na „zarządzenie odwrotu ku Wiśle" oraz przesunięcie rezerwy ku Dęblinowi i nad dolny Wieprz. Ten cytat często przywołują zwolennicy tezy o dominującej roli Rozwadowskiego. Trzeba jednak czytać go ostrożnie. Generał nie napisał wprost: „to ja wymyśliłem Bitwę Warszawską". Pokazał raczej, że był jednym z głównych autorów wojskowej koncepcji i że jego rozmowy z Piłsudskim miały istotne znaczenie.

Rozkaz nr 10 000

Szczególne miejsce w dyskusji zajmuje rozkaz operacyjny specjalny nr 10 000 z 10 sierpnia 1920 roku. Zachowany rękopis znajduje się w zbiorach Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce. Opis archiwalny podaje, że dokument został napisany ręką generała Rozwadowskiego, zawiera jego poprawki i szkice sytuacyjne oraz podpisy dowódców, między innymi Józefa Piłsudskiego, Maxime'a Weyganda, Włodzimierza Zagórskiego, Edwarda Śmigłego-Rydza i Tadeusza Kutrzeby.

Rozkaz nr 10 000 nie był zwykłym powtórzeniem wcześniejszych ustaleń. Miał charakter wariantowej modyfikacji planu. Rozwadowski obawiał się, że przeciwnik poznał polskie zamiary, dlatego należało wprowadzić zmiany i wzmocnić północny odcinek obrony, zwłaszcza 5 Armię generała Władysława Sikorskiego.



Włodzimierz Zagórski, Władysław Sikorski i Tadeusz Rozwadowski podczas balu lotników, 1925, źródło: NAC

Rozwadowski po zwycięstwie nie prowadził głośnej kampanii o uznanie swoich zasług. Po pokonaniu Armii Czerwonej większość przypisywała triumf marszałkowi Piłsudskiemu, a Rozwadowski tego nie dementował.

Plan przewidywał nie tylko obronę, ale również późniejsze działania ofensywne 5 Armii. Miało to prowadzić do uderzenia na północne skrzydło przeciwnika, podczas gdy od południa wychodziło natarcie znad Wieprza. W ten sposób powstawała koncepcja podwójnego oskrzydlenia, określana niekiedy jako manewr kanneński.

To właśnie ta cecha Rozwadowskiego wydaje się najważniejsza: potrafił myśleć wariantowo. Nie był zakładnikiem jednego planu. Rozumiał, że wojna jest ruchem, zmianą, reakcją na przeciwnika. Jeśli pojawiały się sygnały, że bolszewicy mogą znać polskie zamiary, należało nie trwać przy pierwotnym schemacie, lecz go zmodyfikować. Taka elastyczność odróżnia dobrego sztabowca od urzędnika w mundurze.

Kto wygrał Bitwę Warszawską?

Pytanie „kto wygrał Bitwę Warszawską?" samo w sobie jest pułapką. Wielkie bitwy rzadko wygrywa jeden człowiek. Piłsudski jako Naczelny Wódz ponosił odpowiedzialność polityczną i wojskową. Rozwadowski jako szef Sztabu Generalnego odpowiadał za planowanie, dopracowanie i koordynację. Sikorski dowodził 5 Armią, której działania nad Wkrą okazały się

eprasa.pl 3678871f04

niezwykle ważne. Dowódcy niższych szczebli wykonywali zadania w warunkach chaosu, zmęczenia i niepewności. Żołnierze zatrzymali bolszewików własną krwią.

Mimo to przez dziesięciolecia w pamięci społecznej zwycięstwo przypisywano niemal wyłącznie Piłsudskiemu. Rozwadowski pojawiał się w tle jako szef sztabu, pomocnik, wykonawca. Trzeba jednak zachować proporcje. Odbieranie Piłsudskiemu jakiejkolwiek roli byłoby tak samo ahistoryczne, jak wymazywanie Rozwadowskiego. Bitwa Warszawska była zwycięstwem państwa, armii, społeczeństwa i sztabu. Była również zwycięstwem tych, którzy potrafili w krytycznym momencie odłożyć na bok część sporów i działać.

Rozwadowski po zwycięstwie nie prowadził głośnej kampanii o uznanie swoich zasług. Po pokonaniu Armii Czerwonej większość przypisywała triumf marszałkowi Piłsudskiemu, a Rozwadowski tego nie dementował. Można to odczytywać jako przejaw lojalności wobec państwa, wojskowej dyscypliny albo zwykłej niechęci do publicznego sporu w chwili, gdy Polska nadal potrzebowała jedności.

Po zwycięstwie: reforma kawalerii i myślenie o przyszłej wojnie

Po Bitwie Warszawskiej Rozwadowski objął dowództwo Frontu Południowego, a następnie odegrał rolę w dalszych działaniach przeciwko bolszewikom. W kolejnych latach zajmował się między innymi kawalerią. W 1921 roku został szefem Generalnego Inspektoratu Jazdy. Skupił się na szkoleniu, organizacji i modernizacji tej formacji.

Warto tu podkreślić rzecz pozornie paradoksalną. Rozwadowski, często kojarzony z kawalerią i tradycją postulował rozwój broni pancernej, myślał o szybkiej mobilizacji i o specjalnych formacjach zdolnych reagować na nagłe zagrożenie. W 1928 roku napisał referat „Problem dzisiejszej obrony Państwa", nazywany jego wojskowym testamentem. Postulował w nim utworzenie armii wysokiego pogotowia, wyposażonej między innymi w lotnictwo, kawalerię oraz samodzielne grupy broni pancernej i samochodowej.

Brzmi to niezwykle nowocześnie. Polska armia międzywojenna często bywa przedstawiana jako formacja zapatrzona w przeszłość, zbyt ufna w kawalerię, zbyt słabo przygotowana na wojnę manewrową. Tymczasem Rozwadowski widział nadciągające zagrożenia i rozumiał, że przyszła wojna będzie wymagała szybkości, techniki i elastycznych formacji.

Maj 1926 roku: generał przeciw buntowi

Najtragiczniejszy rozdział w życiu Rozwadowskiego rozpoczął się w maju 1926 roku. Gdy Józef Piłsudski wystąpił zbrojnie przeciwko legalnym władzom Rzeczypospolitej, Rozwadowski stanął po stronie prezydenta Stanisława



Tadeusz Rozwadowski w cywilnym ubraniu z płk Izydorem Modelskim, 1921–1927, źródło: NAC

eprasa.pl 3678871f04



Pogrzeb generała Rozwadowskiego w Warszawie, 1928, źródło: NAC

Wojciechowskiego i rządu. Nie była to decyzja wyłącznie polityczna. Dla generała wychowanego w kulcie dyscypliny, hierarchii i państwa bunt wojskowy pozostawał buntem, nawet jeśli prowadził go człowiek o wielkich zasługach.

Po rozpoczęciu zamachu majowego Rozwadowski zarządził przeniesienie dowództwa do Belwederu. Zwolenników Piłsudskiego traktował jako buntowników. Gdy część oddziałów przeszła na stronę marszałka, a sytuacja w stolicy stawała się coraz bardziej dramatyczna, dowództwo rządowe wycofało się do Wilanowa. 15 maja prezydent Wojciechowski podał się do dymisji i walki zostały przerwane.

Rozwadowski zdał dowództwo i został internowany. Początkowo można było oczekiwać, że konflikt zakończy się honorowo. Sam Piłsudski w rozkazie po przewrocie sugerował, że racje i ofiary były po obu stronach. W praktyce jednak wobec części przeciwników politycznych i wojskowych nowej władzy wyciągnięto konsekwencje.

Generałom Tadeuszowi Rozwadowskiemu, Włodzimierzowi Zagórskiemu, Juliuszowi Malczewskiemu i Bolesławowi Jaźwińskiemu postawiono zarzuty kryminalne. Przewieziono ich najpierw do Wojskowego Więzienia Śledczego przy ulicy Dzikiej w Warszawie, a następnie do więzienia na Antokolu w Wilnie. Rozwadowski, jeden z organizatorów Wojska Polskiego i współtwórca zwycięstwa nad bolszewikami, znalazł się w celi.

Więzienie, choroba, podejrzenia

Warunki uwięzienia generała były ciężkie. Według relacji uwięzionych cele w wileńskim więzieniu były zniszczone i nieogrzewane. Pomimo braku dowodów przeciwko Rozwadowskiemu odraczano termin rozprawy i przedstawienie zarzutów. W październiku 1926 roku Wojskowy Sąd Okręgowy uznał bezzasadność aresztu z powodu braku dowodów, ale na wniosek prokuratora generał pozostał w więzieniu ze względu na „interes wojska pierwszorzędnej wagi". W kwietniu 1927 roku przeniesiono go w stan spoczynku. Zwolniono go jednakże dopiero 18 maja 1927 roku.

Pobyt w więzieniu zrujnował jego zdrowie. Najbardziej bolesne dla generała było uwięzienie obok pospolitych przestępców. Dla oficera tej miary był to cios w żołnierski honor.

Po wyjściu z więzienia Rozwadowski cierpiał na silne bóle brzucha, krwawienia i torsje. Lekarze nie potrafili ustalić przyczyny. Wokół jego choroby i śmierci narosły podejrzenia o otrucie. Część badaczy wskazywała na możliwość zatrucia arszenikiem, między innymi przez farbę użytą w celi. Nie ma jednakże jednoznacznego dowodu potwierdzającego otrucie. Faktem jest natomiast, że generał

eprasa.pl 3678871f04

zmarł w okolicznościach, które budziły i nadal budzą pytania.

Tadeusz Jordan Rozwadowski zmarł 18 października 1928 roku w Warszawie. Zgodnie ze swoją wolą został pochowany na Cmentarzu Obrońców Lwowa, wśród żołnierzy, z którymi walczył. Po II wojnie światowej, gdy cmentarz był dewastowany przez władze ówczesnej Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, szczątki generała zostały przeniesione. Z powodu śmierci świadków okoliczności i miejsce pochówku tych szczątków pozostają nieznane, choć podejrzenia padają na Cmentarz Łyczakowski.

Opinie o generale

Oceny Rozwadowskiego były i są silnie związane z polityką pamięci. Dla środowisk piłsudczykowskich przez lata pozostawał postacią niewygodną. Przypominał, że zwycięstwo 1920 roku nie było dziełem jednego człowieka. Przypominał także o tym, że w maju 1926 roku część oficerów broniła legalnych władz państwa przed wojskowym buntem.

Współczesne opinie są znacznie bardziej przychylne. Szczególnie przejmujące słowa padły nad jego grobem. Były legionista, ksiądz Józef Panaś, nazwał go „prawdziwie chrześcijańskim, wielkim wodzem". W tym krótkim określeniu mieści się coś więcej niż żałobna retoryka. Panaś zwracał uwagę nie tylko na talent wojskowy, ale także na charakter: zdolność zwyciężania bez pychy i przegrywania bez nienawiści.

To być może najlepszy klucz do zrozumienia Rozwadowskiego. Nie był człowiekiem bez ambicji. Nie był też świętym z obrazka. Był zawodowym żołnierzem, arystokratą, oficerem starej szkoły, człowiekiem honoru, czasem zapewne trudnym, świadomym swojej wartości. Ale w momentach najważniejszych potrafił podporządkować ambicję służbie.

Dlaczego został zapomniany?

Zapomnienie Rozwadowskiego nie było przypadkowe. Po przewrocie majowym nie pasował do oficjalnej opowieści obozu rządzącego. Był generałem, który w 1926 roku stanął po stronie przegranych, a wcześniej mógł być postrzegany jako konkurent w narracji o zwycięstwie nad bolszewikami. Po II wojnie światowej komunistyczna historiografia również nie miała powodów, by szczególnie eksponować oficera II Rzeczypospolitej, arystokratę, antybolszewickiego dowódcę i człowieka



eprasa.pl 3678871f04



Tablica pamiątkowa ku czci Tadeusza Rozwadowskiego na fasadzie Konkatedry Matki Bożej Zwycięskiej w Warszawie, źródło: Wikimedia Commons

Rozwadowski zdał dowództwo i został internowany. Początkowo można było oczekiwać, że konflikt zakończy się honorowo. Sam Piłsudski w rozkazie po przewrocie sugerował, że racje i ofiary były po obu stronach. W praktyce jednak wobec części przeciwników politycznych i wojskowych nowej władzy wyciągnięto konsekwencje.

związanego z walką o granice państwa. Dopiero od końca lat osiemdziesiątych XX wieku zaczęto stopniowo przywracać pamięć o generale.

Dziś Rozwadowski wraca do debaty publicznej. Ukazują się nowe opracowania, organizowane są konferencje, powstają audycje, artykuły i inicjatywy upamiętniające. Nie chodzi jednak o to, by tworzyć nowy kult jednostki i zastępować jedną legendę drugą. Chodzi raczej o to, by polska pamięć historyczna była pełniejsza.

Największą krzywdą, jaką można dziś wyrządzić Rozwadowskiemu, byłoby zamienienie go w anty-Piłsudskiego. Jego biografia nie potrzebuje takiego uproszczenia. Był postacią wystarczająco wielką samodzielnie. Nie trzeba pomniejszać Piłsudskiego, by docenić Rozwadowskiego. Nie trzeba też przemilczać konfliktu między nimi, by zachować powagę historii.

Prawda jest bardziej skomplikowana i przez to ciekawsza. Piłsudski był Naczelnym Wodzem, politykiem i symbolem odrodzonej Polski. Rozwadowski był wybitnym szefem sztabu, strategiem, organizatorem i dowódcą, bez którego polskie zwycięstwo 1920 roku byłoby trudne do wyobrażenia. Obaj należeli do tej samej historii, choć po 1926 roku znaleźli się po przeciwnych stronach dramatycznego sporu o państwo.

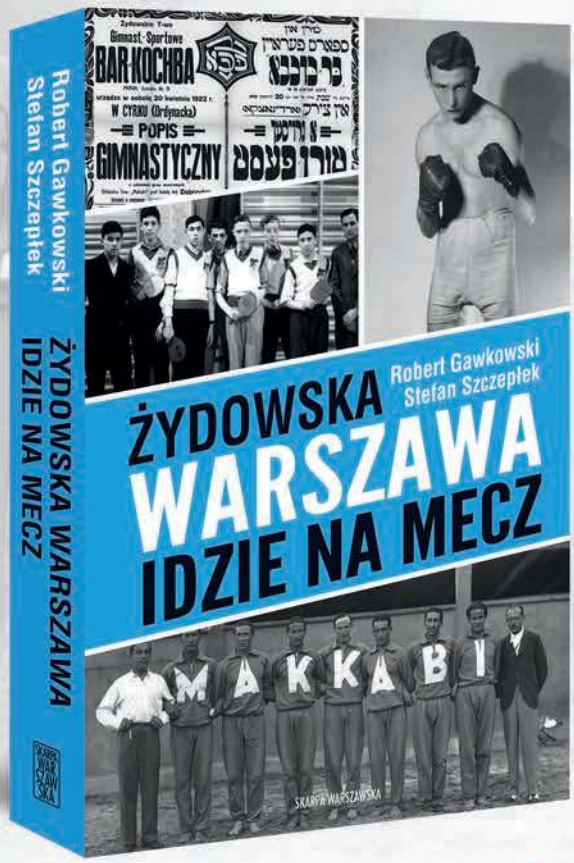
Rozwadowski był żołnierzem państwa, które dopiero uczyło się oddychać wolnością. I może właśnie dlatego jego historia powinna być opowiadana częściej – bez przesady, bez propagandy, ale z należnym szacunkiem. ■



KRZYSZTOF DROZDOWSKI Prezes Fundacji Historycznej im. Mariana Rejewskiego, członek Stowarzyszenia Historyków Wojskowości. Autor 40 publikacji naukowych oraz popularnonaukowych i ponad 300 artykułów prasowych z tematyki historii XX wieku. Popularyzator historii, prowadzący kanał Ukryte Historie na platformie YouTube. Fot.: Tomasz Bogucki

eprasa.pl 3678871f04

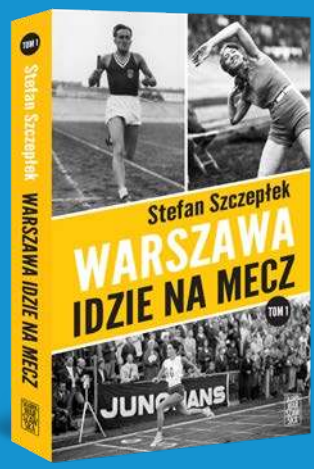
To jest książka o sporcie w świecie, którego już nie ma. Został rozstrzelany w ulicznych łapankach, wydany na śmierć przez szmalcowników, zamordowany w warszawskim getcie, zagazowany w Treblince, spalony w krematoriach Auschwitz.



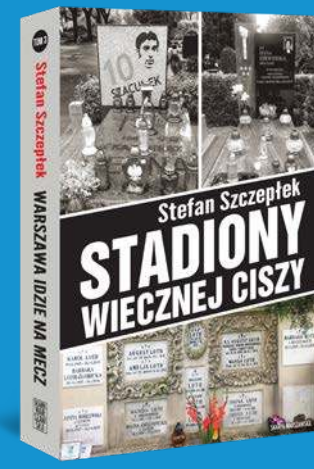
Historia żydowskiego sportu w Warszawie to niewiele ponad dwadzieścia lat między wojnami. Tylko tyle, ale to życie ponad 350 tysięcy ludzi, którzy mieszkali obok nas, wspólnie z Polakami budowali miasto i razem go bronili. W czasach pokoju walczyli o sportowe zwycięstwa, godność i honor, później – o życie. Najpierw w Makabi, Hakoahu, Hagiborze, Hasmonei, Bar Kochbie, potem na rozmaitych frontach...

Sport był dla nich rozrywką, ale i koniecznością. Skakali z radości po każdej strzelonej bramce, ale musieli rozwijać mięśnie, aby móc się bronić. Nawet jeśli tego nie chcieli, stawali się tułaczami, po których nie zostają materialne pamiątki. Tylko pamięć, jak w tej książce.

POLECAMY RÓWNIEŻ:







SKARPA WARSZAWSKA

KUP KSIĄŻKI NA: inbook.pl

eprasa.pl 3678871f04

TEKST:
KRZYSZTOF BOCHUS



Adolf Hitler, 1937, źródło: domena publiczna

„DZIENNIKI HITLERA”

DZIENNIKARSKIE OSZUSTWO STULECIA

...epresa.pl 15/3571/0...

Gdy wiosną 1983 niemiecki tygodnik „Stern” ogłosił, że wszedł w posiadanie prywatnych dzienników Adolfa Hitlera, wydawało się, że mamy do czynienia z niebywałą sensacją. Osobiste zapiski ukazywać bowiem miały nie tylko wewnętrzne motywacje i myśli Führera. Odsłaniały także nieznane dotychczas kulisy wielkiej polityki, rzucając nowe światło na historię II wojny światowej.

Człowiek, który przyniósł „odkrycie”

Centralną postacią tej historii był dziennikarz Gerd Heidemann, pracownik magazynu „Stern”, znany wcześniej z reportaży o nazistowskiej przeszłości i uznany badacz dokumentów z okresu III Rzeszy. To on przekonywał redakcję, że natrafił na niezwykłe znalezisko: prywatne dzienniki Hitlera, które miały zostać uratowane z katastrofy lotniczej pod koniec wojny i na dekady zniknąć w prywatnych zbiorach.

Heidemann opowiadał o tajemniczych pośrednikach, ukrytych magazynach i wieloletnim milczeniu świadków. Jego narracja była spójna, pełna szczegółów i – co kluczowe – idealnie wpisywała się w oczekiwania redakcji i rynku. W świecie dziennikarstwa, gdzie czas i ekskluzywność decydują o przewadze konkurencyjnej, taka historia była zbyt dobra, by ją zignorować.

Heidemann twierdził, że zakupił ponad 60 tomów rzekomych pamiętników Hitlera, płacąc za nie łącznie miliony marek. Sprzedawcą miał być Konrad Kujau, handlarz, zbieracz i miłośnik militariów.

Po wielu wewnętrznych naradach kierownictwo „Sterna” postanowiło legitymizować wersję Heidemanna i uznać ją za prawdziwą. 25 kwietnia 1983 roku tygodnik oficjalnie ogłosił odnalezienie zapisków, wzbudzając sensację na skalę globalną. Dalej wydarzenia potoczyły się już błyskawicznie. Magazyn rozpoczął przygotowania do cyklicznego druku odnalezionych dzienników na swoich łamach. Szybko i z sukcesem sprzedał też prawa do publikacji m.in. brytyjskiemu „The Sunday Times”.

Konrad Kujau – fałszerz (prawie) doskonały

Największe zainteresowanie mediów i opinii społecznej budził oczywiście partner Heidemanna – Konrad Kujau. Od tej postaci zależała przecież cała wiarygodność legendy z odnalezieniem zapisków Hitlera.

Młodzieńcze lata Kujau spędził na terytorium NRD, by w 1957 roku podjąć decyzję o ucieczce do Niemiec Zachodnich. Życie w RFN nie potoczyło się jednak bezproblemowo – jego zaangażowanie w podejrzane i nielegalne interesy poskutkowało kilkoma wyrokami odsiadki.

Co ciekawe, nawet te mało chwalebne epizody z życia Kujaua nie deprecjonowały w oczach „Sterna” opowiadanej przez niego historii o pochodzeniu



Konrad Kujau w swojej galerii w Stuttgarcie, 1992, fot. Telephil, źródło: Wikimedia Commons

eprasa.pl 3678871f04

odnalezionych dzienników. Skupiono się bowiem na handlowym emploi Kujau, znanego handlarza pamiątek nazistowskich. Któż bowiem miałby trafić na zaginione w czasie zapiski Hitlera, jeśli nie handlarz, który od lat eksplorował rynek i poszukiwał niezmordowanie na całym terenie podzielonych Niemiec artefaktów z czasów III Rzeszy? Wszyscy chcieli uwierzyć w tę legendę – a Konrad Kujau pasował do niej idealnie.

Pod koniec lat 60., skupił się on bowiem na handlu pamiątkami z okresu nazistowskiego. Towar, w tym broszury i mundury, sprowadzał w dużej mierze z Niemiec Wschodnich. Wbrew oficjalnej propagandzie to NRD było bowiem prawdziwym rezerwuarem dawnych hitlerowców, krajem, w którym nigdy nie przeprowadzono prawdziwej denazyfikacji. Wystarczyło tylko wiernie służyć nowej, socjalistycznej władzy, aby uniknąć kłopotliwych pytań o przeszłość w służbie brunatnego reżimu. Było to tym łatwiejsze, że system scentralizowanej władzy w NRD z gensekiem jako nowym Führerem bardziej przypominał czasy tysiącletniej Rzeszy niż liberalna demokracja zachodnia, ukształtowana w ówczesnej Republice Federalnej.

Po jakimś czasie rozzuchwalony powodzeniem Kujau wpadł na pomysł, jak podnieść wartość oferowanych przez siebie pamiątek nazistowskich – bez kłopotliwego przemycania ich zza wschodniej granicy. Patent Kujaua był równie bezczelny, co genialny w swojej prostocie. Aby zwiększyć zyski i uwiarygodnić ofertę, postanowił samodzielnie fabrykować certyfikaty autentyczności. Co ciekawe, jako rzekomego wystawcę tych dokumentów wskazywał samego Rudolfa Hessa. Klientom Kujaua trudno było podważyć autentyczność certyfikatów, wystawianych rzekomo przez dawnego zastępcę Führera, gdyż ten skazany w procesie norymberskim, odsiadywał właśnie wyrok dożywocia w więzieniu Spandau.



Okładka „Stern" z 28 kwietnia 1983 roku, ogłaszająca odnalezienie „dzienników Hitlera", źródło: Wikimedia Commons

Szybko okazało się, że Kujau posiada też rzadki talent do kopiowania pisma odręcznego oraz stylu malarskiego Adolfa Hitlera. Te umiejętności natychmiast przekuł w dochodowy biznes. Jego głównym klientem stał się zbieracz nazistowskich artefaktów Fritz Steifel, który zakupił od fałszerza dziesiątki obrazów, rysunków, a także rzekome autografy listów, wierszy czy przemówień. Kujau niezmiennie zapewniał o autentyczności dzieł, podpierając się podrobionymi kwitami od Hessa.

Narodziny „sensacji stulecia"

Wszystkie te działania były zaledwie rozgrzewką przed stworzeniem życiowego projektu oszusta. W 1978 roku Kujau przystąpił do spisania pierwszego tomu osobistych dzienników Führera. Po ukończeniu pierwszego brulionu machina ruszyła na dobre i fałszerz zaczął masowo produkować kolejne zeszyty.

O swoim rzekomym „epokowym odkryciu" i dotarciu do zaginionego skarbu III Rzeszy poinformował zaufanego klienta, Fritza Steifela. Poruszony tą sensacją kolekcjoner przekazał wiadomość dalej – do Gerda Heidemanna. Dziennikarz opiniotwórczego tygodnika „Stern", który prywatnie również pasjonował się zbieraniem nazistowskich pamiątek, zwęszył temat życia. To właśnie Heidemann stał się głównym pośrednikiem, odkupującym od

Heidemann opowiadał o tajemniczych pośrednikach, ukrytych magazynach i wieloletnim milczeniu świadków. Jego narracja była spójna, pełna szczegółów i – co kluczowe – idealnie wpisywała się w oczekiwania redakcji i rynku. W świecie dziennikarstwa, gdzie czas i ekskluzywność decydują o przewadze konkurencyjnej, taka historia była zbyt dobra, by ją zignorować.

eprasa.pl 3678871f04

Kujaua kolejne tomy na potrzeby swojej redakcji.

Mistyfikacja opierała się na zręcznie spreparowanej historii o cudownym ocaleniu dokumentów. Według wersji Kujaua, dziesiątki tomów osobistych zapisków oraz prywatne rzeczy dyktatora miały znajdować się na pokładzie samolotu, który 21 kwietnia 1945 roku rozbił się w pobliżu Drezna. Katastrofę tę, jak wmawiano kupcom, notesy przetrwały w nienaruszonym stanie, by po latach stać się fundamentem oszustwa, które wstrząsnęło światem mediów.

Patent Kujaua był równie bezczelny, co genialny w swojej prostocie. Aby zwiększyć zyski i uwiarygodnić ofertę, postanowił samodzielnie fabrykować certyfikaty autentyczności. Co ciekawe, jako rzekomego wystawcę tych dokumentów wskazywał samego Rudolfa Hessa.

Moda na III Rzeszę

To właśnie ten szerszy kontekst oraz sprytnie uwiarygodniony przez fałszerza ciąg zdarzeń spowodowały, że redakcja renomowanego „Sterna" zdecydowała się na „transakcję stulecia" – i zakup praw do publikacji rzekomych dzienników Hitlera. Wydawnictwo zapłaciło łącznie 9,34 miliona marek zachodnioniemieckich. Kwota była ogromna, co samo w sobie miało stanowić dowód autentyczności materiału.

Aby zrozumieć, dlaczego ta mistyfikacja była w ogóle możliwa, trzeba cofnąć się do klimatu intelektualnego przełomu lat 70. i 80. XX wieku. Podzieloną Europę przegradzała żelazna kurtyna. Republika Federalna Niemiec stanowiła znowu integralną część Zachodu i jego forpocztę w zimnowojennej krucjacie przeciwko ZSRR.

W konsekwencji tej zmiany w społeczeństwach zachodnich, zwłaszcza w RFN, zrodził się ogromny głód „nowych rewelacji". Archiwa były stopniowo otwierane, a badacze odkrywali kolejne tajemnice i dokumenty III Rzeszy. Pojawiły się publikacje takich historyków, jak Brytyjczyk David Irving, który w swoich publikacjach relatywizował lub umniejszał zbrodnie nazistów, kreśląc zaskakująco pozytywny, wręcz „ludzki" charakter takich przywódców jak Hitler, Goering czy Goebbels.

Wszystko, co mogło rzucić świeże światło na nazistowskie elity, sprzedawało się znakomicie – zarówno w prasie, jak i w wydawnictwach książkowych. W tym kontekście szczególnie kusząca była wizja prywatnych zapisków nazistowskich przywódców. Dzienniki Hitlera byłyby bowiem nie tylko źródłem historycznym, ale wręcz psychologicznym kluczem do zrozumienia mechanizmów totalitaryzmu.

To właśnie ta mieszanka zmian geopolitycznych, naukowej ciekawości i medialnej żądzy sensacji stworzyła podatny grunt pod jedną z największych mistyfikacji XX wieku.

Jest faktem, że dzienniki od początku wzbudzały kontrowersje. Wstępne analizy niektórych renomowanych ekspertów i historyków, takich jak niemiecki historyk Eberhard Jäckel i brytyjski profesor Hugh Trevor-Roper, potwierdzały autentyczność zapisów. Nie brakowało jednak także



Generał Hans Baur, który miał uratować dzienniki Hitlera, fotografia z ok. 1930 roku, źródło: domena publiczna



Rudolf Hess, fotografia z 1933 roku, źródło: NAC

eprasa.pl 3678871f04

głosów przeciwnych. Niektórzy ze znawców tematu twierdzili, że Hitler, od kiedy cierpiał na chorobę Parkinsona, preferował dyktowanie zamiast własnoręcznego pisania. Kilku adiutantów kanclerza zaprzeczało prowadzeniu przez niego jakichkolwiek dzienników. Mimo tych ostrzegawczych znaków kierownictwo gazety brnęło ku katastrofie, uznając dzienniki za prawdziwe.

W atmosferze ogromnego zainteresowania rozpoczęto przygotowania do publikacji. Gdy informacja trafiła do mediów, wybuchła globalna sensacja. Gazety, stacje telewizyjne i historycy zaczęli komentować „najważniejsze odkrycie od czasu zakończenia wojny".

„Codzienność wodza" czyli banalizacja zła

Fragmenty rzekomych dzienników sugerowały, że Hitler prowadził notatki o charakterze prywatnym, zawierające często treści wręcz banalne. W oczach opinii publicznej miało to rzekomo „uczłowieczać potwora" – choć w rzeczywistości był to pierwszy sygnał ostrzegawczy dla wielu badaczy.

Często przytaczane były fragmenty, w których Hitler miał wyrażać zmęczenie wojną i własną rolą w wydarzeniach historycznych. W jednym z publikowanych przez media streszczeń pojawiały się słowa:

„Czasami mam wrażenie, że historia pędzi szybciej niż ja sam. Decyzje, które podejmuję, już nie należą do mnie".



Autentyczny podpis Adolfa Hitlera, źródło: domena publiczna



Flasyfikat podpisu Adolfa Hitlera autorstwa Konrada Kujau, źródło: domena publiczna



Litery F i H w alfabecie gotyckim (górny rząd), których Kujau przez pomyłkę użył na okładkach dzienników zamiast liter A i H (dolny rząd), źródło: domena publiczna

Szczególnie nośne medialnie były fragmenty dotyczące życia prywatnego. W publikacjach sugerowano, że Hitler pisał o relacjach z otoczeniem, w tym z Evą Braun, oraz o atmosferze w kręgu najbliższych współpracowników.

W jednym z cytowanych wówczas fragmentów pojawiło się zdanie:

„W Berghofie znów cisza. Eva śmieje się zbyt głośno, a ja wolę milczenie. Milczenie jest jedyną rzeczą, która nie kłamie".

Najbardziej kontrowersyjne „fragmenty" dotyczyły jednak wojny i decyzji politycznych. W medialnych streszczeniach pojawiały się rzekome zapiski, w których Hitler miał opisywać własne działania w sposób pozbawiony oficjalnej retoryki propagandowej.

Cytowano wpisy w rodzaju: „Generałowie żądają więcej ludzi. Ja żądam wyniku. Jeśli nie oni, to kto?" „Każda decyzja ma swoją cenę. Ale historia i tak nie pyta o cenę, tylko o zwycięzców".

Szybko okazało się, że Kujau posiada też rzadki talent do kopiowania pisma odręcznego oraz stylu malarskiego Adolfa Hitlera. Te umiejętności natychmiast przekuł w dochodowy biznes.

Taka piękna katastrofa

Euforia nie trwała długo. Pierwsze wydanie „Sterna" z dziennikami ukazało się 28 kwietnia 1983 r. – zawierało ono formalne potwierdzenie odkrycia i pierwsze fragmenty sfałszowanych pamiętników. Potem opublikowano jeszcze jeden numer. Zanim na maszynach w drukarni pojawił się kolejny, było już po sprawie.

W wyniku śledztwa przeprowadzonego przez władze federalne

eprasa.pl 3678871f04

i niezależnych ekspertów okazało się bowiem, że dokumenty zostały spreparowane przez Konrada Kujaua. Trzy z siedmiu tomów zostały poddane specjalistycznym badaniom w Federalnym Urzędzie Policji Kryminalnej w Wiesbaden oraz w Berlińskim Federalnym Urzędzie Badań Materiałowych. Wyszło na jaw, że okładki zeszytów, papier i kleje zawierały materiały wyprodukowane już po II wojnie światowej. Także użyty atrament nie odpowiadał technologiom używanym w latach 40. XX wieku. Fachowe analizy potwierdzały fałszerstwo. Jeszcze bardziej problematyczna okazała się warstwa językowa. Styl rzekomych zapisków był zaskakująco literacki, miejscami współczesny, a przede wszystkim niespójny z tym, co o sposobie wypowiedzi Adolfa Hitlera wiedziano z innych źródeł, choćby od świadków jego słynnych „rozmów przy stole" w Berghofie.

Co gorsza, wyszło na jaw, że „Stern", wiedząc o tych wątpliwościach, zataił raport o fałszerstwie. Opublikowano tylko tę część ekspertyz, które wydawała się potwierdzać autentyczność dzienników.

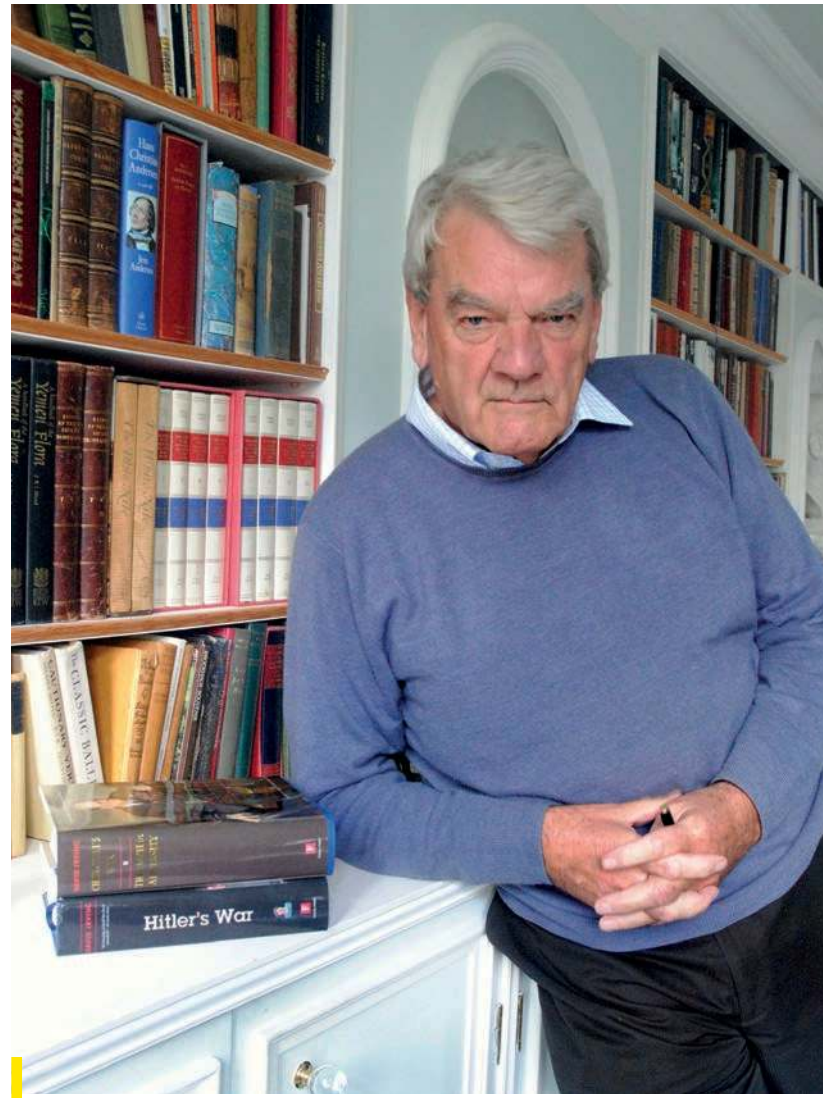
W dniu 5 maja 1983 roku niemiecka Federalna Policja Kryminalna ogłosiła, że dzienniki są sfałszowane. I to był koniec szopki z dziennikami Hitlera.

Zamiast epilogu

W maju 1983 roku Konrad Kujau został aresztowany przy granicy austriackiej. Skazano go na cztery lata i sześć miesięcy pozbawienia wolności za oszustwa i fałszowanie dokumentów. W 1988 roku zwolniono go warunkowo z więzienia po wykryciu nowotworu. Drugi z bohaterów afery, dziennikarz Gerd Heidemann został skazany na cztery lata i osiem miesięcy pozbawienia wolności za oszustwa. Skompromitowany „Stern" musiał wycofać publikacje i publicznie przyznać się do błędu.

Kujau był utalentowanym imitatorem stylu i materiałów, ale jego celem nie była naukowa rekonstrukcja historii – lecz zysk. Co istotne, nie działał sam. Heidemann, przekonany o autentyczności materiałów lub świadomie ignorujący wątpliwości, pośredniczył w ich sprzedaży i negocjacjach finansowych. Ten mechanizm nie był więc dziełem jednego fałszerza – ale całego łańcucha ludzi, którzy z różnych powodów – ambicji, chciwości lub chęci poklasku, zakłamywali rzeczywistość.

Z dzisiejszej perspektywy „dzienniki Hitlera" pozostają jednym z najbardziej spektakularnych fałszerstw XX wieku, a cała afera stanowi przestrogę, ukazując, jak pragnienie odkrycia „nieznanej prawdy" może prowadzić do stworzenia całkowitej fikcji. ■



Dawid Irving, historyk oskarżany o relatywizowanie zbrodni III Rzeszy i negacjonizm Hololcaustu, a jednocześnie jeden z pierwszych krytyków autentyczności Dzienników Hitlera, 2012, fot. Allan Warren, źródło: Wikimedia Commons



KRZYSZTOF BOCHUS
Dziennikarz, wykładowca akademicki, publikował m.in. we „Wprost", „Focusie" w „Przeglądzie Tygodniowym". Autor książek „Klątwa Lucyfera", Wachmistrz", „1920. Nadzieja umiera ostatnia". Ekspert w dziedzinie zaginionych dzieł sztuki.

eprasa.pl 3678871f04



Wykopaliska archelogiczne prowadzone w ramach odbudowy Pałaców Saskiego i Brühla, fot. T. Tołłoczko / Pałac Saski sp. z o.o.

SEZON NA „WYKOPKI”

ODBUDOWA PAŁACU BRÜHLA

TEKST: MACIEJ SPRZĘGAJ

Lato to nie tylko sezon odpoczynku i korzystania z dobrej pogody. Dla niektórych to okres wytężonej pracy. Archeolodzy czekają na długie letnie dni i przewidywalną pogodę ciepłych miesięcy, aby rozpocząć albo kontynuować te najbardziej skomplikowane prace wykopaliskowe. Tak samo, jak czas jesienno-zimowy nie stanowi przeszkody dla prac przygotowawczych, badań archiwalnych, selekcji materiału ikonograficznego i dokumentacji budowlanej, pozostała część roku umożliwia skonfrontowanie gromadzonej wiedzy teoretycznej z rzeczywistością.

Choć kwerendy źródłowe, prace biblioteczne i archiwalne wokół Osi Saskiej budzą respekt swoim ambitnym zakresem, same nie starczą do wykonania dzieła restauracji utraconych obiektów. Standardy opisu budowy, remontów i modyfikacji budynków w latach 30. XX wieku, nie mówiąc już o czasach wcześniejszych, były inne, ale przede wszystkim wojenna pożoga pochłonęła wiele kluczowych dokumentów. Teorie trzeba w końcu skonfrontować z praktyką. Odbywa się to teraz, właściwie na naszych oczach.

Obecnie trwa drugi sezon badań archeologicznych prowadzonych w ramach odbudowy Pałaców Saskiego i Brühla oraz kamienic przy ul. Królewskiej w Warszawie. Prace mają kluczowe znaczenie dla całego przedsięwzięcia, ponieważ pozwalają uporządkować, zweryfikować informacje pochodzące z archiwalnych planów, fotografii i dokumentów oraz uzupełnić je o dane pozyskane bezpośrednio z reliktów zachowanej zabudowy. Dzięki temu możliwe jest odtworzenie historycznych obiektów zgodnie z ich wyglądem z 31 sierpnia 1939 roku, z dokładnością sięgającą pojedynczych centymetrów, co będzie miało kluczowe znaczenie podczas fazy fizycznej odbudowy utraconych w wojennej zawierusze obiektów.

Sprzyjająca pogoda umożliwiła archeologom przebadanie już ponad 50% obszaru zaplanowanego na sezon 2026. Badania prowadzone są pod stałym nadzorem saperskim i obejmują południowo-zachodnią część dziedzińca Pałacu Brühla, południową oficynę, fragment korpusu głównego pałacu, teren modernistycznego pawilonu Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz tzw. Ogród Becka. Są to pierwsze badania archeologiczne prowadzone w tych miejscach od zakończenia II wojny światowej.

Największą wartością prowadzonych prac jest możliwość pozyskania informacji bezpośrednio z zachowanych elementów budowli. Odkrywane fragmenty murów, sztukaterii, elewacji czy posadzek pozwalają określić rzeczywiste wymiary poszczególnych elementów oraz rodzaje użytych materiałów.

W latach trzydziestych XX wieku Pałac Brühla został przebudowany na siedzibę Ministerstwa Spraw Zagranicznych według projektu Bohdana Pniewskiego, wizjonera i skandalisty polskiego modernizmu w architekturze. Wówczas powstał nowoczesny pawilon, którego dolna kondygnacja pełniła funkcję mieszkalną dla ministra Józefa Becka i jego rodziny, natomiast górna przeznaczona była do celów reprezentacyjnych. Zachowało się jednak niewiele materiałów archiwalnych dotyczących tego obiektu, dlatego badania archeologiczne mają zasadnicze znaczenie dla wiernego odtworzenia



Fragment dekoracji wykonanej z płyt kamiennych odnaleziony przez archeologów, fot. T. Tołłoczko / Pałac Saski sp. z o.o.

eprasa.pl 3678871f04

jego bryły i detali architektonicznych.

Największą wartością prowadzonych prac jest możliwość pozyskania informacji bezpośrednio z zachowanych elementów budowli. Odkrywane fragmenty murów, sztukaterii, elewacji czy posadzek pozwalają określić rzeczywiste wymiary poszczególnych elementów oraz rodzaje użytych materiałów. Dzięki temu projektanci mogą weryfikować wcześniejsze hipotezy oparte wyłącznie na fotografiach lub planach, które często były niekompletne albo zniszczone podczas wojny.

Do tej pory archeolodzy odnaleźli ponad 1200 zabytków ruchomych. Szczególnie cenne są fragmenty elementów architektonicznych, sztukaterii oraz tynków. Jest ich niemal czterysta. Pozwalają ustalić technikę wykonania dekoracji oraz rodzaje materiałów wykorzystanych podczas budowy i przebudów pałacu. Odkryto również ponad dwieście fragmentów szkła – głównie butelki, słoiki i szkło stołowe – a także blisko sto fragmentów ceramiki, wśród których znalazły się płytki podłogowe firmy Dziewulski i Lange S.A. Potwierdzają one informacje o materiałach zastosowanych podczas modernizacji pałacu w okresie międzywojennym i uzupełniają naszą wiedzę o tym procesie.



Pozostałości budynków i posadzki odkryte w trakcie wykopalisk, fot. T. Tołłoczko / Pałac Saski sp. z o.o.



Telefon odnaleziony w trakcie wykopalisk, fot. T. Tołłoczko / Pałac Saski sp. z o.o.

Inwentarz znalezisk obejmuje ponadto fragmenty metali, porcelany, kafli piecowych, elementy drewniane, próbki gleby, kości zwierzęce oraz muszle ostryg. Niektóre z drewnianych elementów, między innymi fragmenty futryn i framug, mogą pomóc przy odtwarzaniu stolarki okiennej i drzwiowej, oczywiście z uwzględnieniem współczesnych wymagań technicznych i przeciwpożarowych.

Szczególnie interesujące okazały się badania tzw. kamienicy narożnej u zbiegu ulic Wierzbowej i Fredry. Zachowane fundamenty umożliwiły wykonanie dokładnych pomiarów,

eprasa.pl 3678871f04

W wielu miejscach zachowały się również granitowe płyty posadzkowe. Jednym z najciekawszych odkryć był fragment geometrycznej dekoracji wykonanej z czarnych płyt kamiennych, ułożonych w okrąg z promieniście rozchodzącymi się liniami.

które wykazały, że elewacja od strony ulicy Wierzbowej była niemal metr dłuższa, niż wynikało z archiwalnych materiałów. Odkrycie to wymusiło korektę cyfrowego modelu GIS inwestycji oraz dokumentacji projektowej. Nawet niewielkie różnice w wymiarach przekładają się bowiem na rozmieszczenie okien, podział elewacji i wygląd całego budynku.

Na dziedzińcach Pałacu Brühla archeolodzy natrafili przede wszystkim na betonową wylewkę wykonaną podczas przebudowy z lat 1932–1934. W kilku miejscach zachowały się również granitowe płyty posadzkowe. Jednym z najciekawszych odkryć był fragment geometrycznej dekoracji wykonanej z czarnych płyt kamiennych, ułożonych w okrąg z promieniście rozchodzącymi się liniami. Motyw ten stanowił element kompozycji dziedzińca zaprojektowanej przez Bohdana Pniewskiego i znajduje analogie we wnętrzach pałacu.

Na północnym dziedzińcu odkryto szereg konstrukcji z okresu funkcjonowania Ministerstwa Spraw



Widok na teren wykopalisk z lotu ptaka, fot. T. Tołłoczko / Pałac Saski sp. z o.o.

eprasa.pl 3678871f04

Na północnym dziedzińcu odkryto szereg konstrukcji z okresu funkcjonowania Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Zachowały się betonowe posadzki, pomieszczenia wyłożone płytkami ceramicznymi, kanały służące prawdopodobnie do naprawy samochodów oraz metalowe drabinki prowadzące do ich wnętrza. Znaleziono również pozostałości łazienek z ubikacjami i prysznicami, szyb windy oraz relikty starszych, nawet osiemnastowiecznych konstrukcji.

Zagranicznych. Zachowały się betonowe posadzki, pomieszczenia wyłożone płytkami ceramicznymi, kanały służące prawdopodobnie do naprawy samochodów oraz metalowe drabinki prowadzące do ich wnętrza. Znaleziono również pozostałości łazienek z ubikacjami i prysznicami, szyb windy oraz relikty starszych, nawet osiemnastowiecznych konstrukcji. Wszystko wskazuje na to, że w tej części znajdowały się ministerialne garaże i zaplecze techniczne.

Prace prowadzone są również na terenie tzw. Ogrodu Becka. Odkryto tam



Prace geodezyjne, fot. T. Tołłoczko / Pałac Saski sp. z o.o.

eprasa.pl 3678871f04



Pozostałości budynków i posadzek odsłonięte przez archeologów, fot. T. Tołoczko / Pałac Saski sp. z o.o.

eprasa.pl 3678871f04

oryginalne betonowe cokoły ogrodzenia, niecki fontann, podstawę latarni oraz elementy dawnego systemu odprowadzania wody, w tym XIX-wieczną studnię służącą do gromadzenia wód opadowych. Znaleziska te pozwolą odtworzyć ogród zgodnie z jego wyglądem z końca sierpnia 1939 roku. Rozpoczęto także badania modernistycznego pawilonu, gdzie odsłonięto fragment schodów stanowiących ważny punkt odniesienia dla przyszłej rekonstrukcji.

Badania archeologiczne będą kontynuowane przez kolejne miesiące. Łączna powierzchnia drugiego sezonu badań to osiem tysięcy metrów kwadratowych terenu. Archeolodzy schodzą stopniowo przez kolejne warstwy

Prace prowadzone są również na terenie tzw. Ogrodu Becka. Odkryto tam oryginalne betonowe cokoły ogrodzenia, niecki fontann, podstawę latarni oraz elementy dawnego systemu odprowadzania wody, w tym XIX-wieczną studnię służącą do gromadzenia wód opadowych. Znaleziska te pozwolą odtworzyć ogród zgodnie z jego wyglądem z końca sierpnia 1939 roku.



Pałac Brühla, początek XX wieku, źródło: Polona

eprasa.pl 3678871f04



Wnętrze westybulu Pałacu Brühla, 1938, źródło: Fotopolska

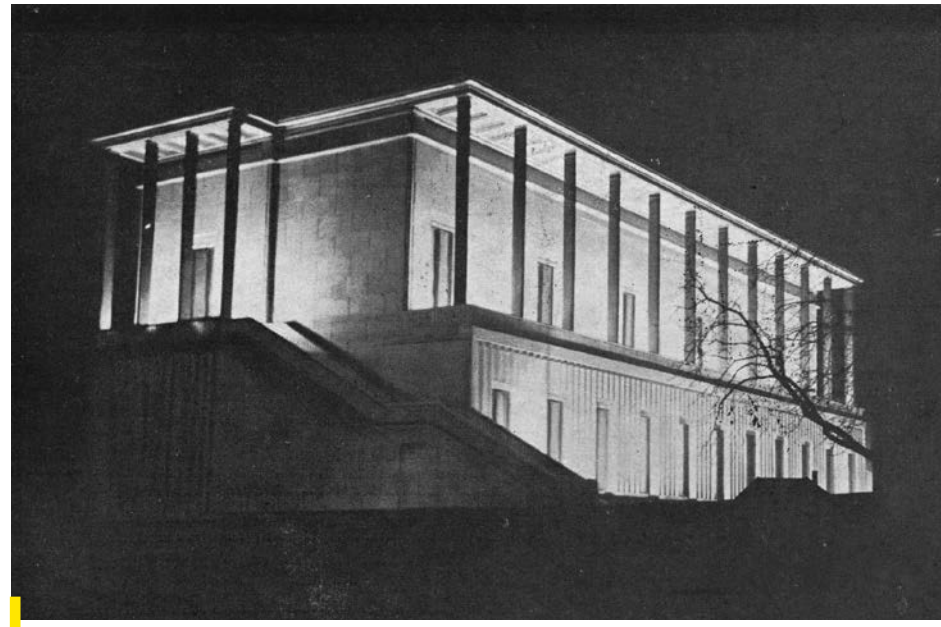
projektowych i zapewnić możliwie najwierniejsze odtworzenie architektury. Każde nowe odkrycie uzupełnia cyfrowy model inwestycji, umożliwiając projektantom coraz dokładniejsze odwzorowanie dawnego zespołu Pałacu Saskiego, Pałacu Brühla oraz towarzyszącej im zabudowy.

Cechą wyjątkową prowadzonych obecnie prac jest ich względna otwartość dla obserwatorów. Oczywiście spacerowicze nie mogą wejść na teren aktywnych wykopalisk, ale wszyscy chętni Warszawiacy mogą śledzić postępy prac przez umieszczone w ogrodzeniu terenu odbudowy wizjery. Co ciekawe, w tym sezonie badań archeologom towarzyszą również studenci kierunków związanych z archeologią i ochroną zabytków. Samo prowadzenie prac archeologicznych w centrum miasta stanowi ewenement na skalę europejską – roboty te praktycznie nie przeszkadzają w wykorzystaniu Ogrodu Saskiego jako przestrzeni rekreacji i miejsca spotkań z kulturą. Jak się okazuje, nasze warszawskie zielone serce jest także wyjątkowym miejscem spotkań z żywą nauką. ■

kulturowe – od pozostałości z okresu międzywojennego, przez XIX wiek, aż do reliktów osiemnastowiecznych. Każde znalezisko podlega oczyszczeniu, opisowi, datowaniu i konserwacji, a w razie potrzeby także szczegółowym analizom laboratoryjnym.

Przykładem znaczenia takich badań jest odkryty podczas wcześniejszego sezonu fragment kamiennej tablicy z łacińską inskrypcją. Początkowo jej pochodzenie nie było jasne, jednak szczegółowe analizy wykazały, iż był to element tablicy fundacyjnej Zamku Królewskiego, który trafił na teren pałacu w nieznanych okolicznościach.

Prowadzone obecnie badania są nieodzownym elementem procesu odbudowy zachodniej pierzei Placu Piłsudskiego. Pozwalają nie tylko odzyskać wiedzę o wyglądzie historycznych budynków, lecz także uniknąć błędów



Nowy pawilon Ministerstwa Spraw Zagranicznych „willa Becka", 1938, pocztówka ze zbiorów Rafała Bielskiego

eprasa.pl 3678871f04

W IMIĘ NAUKI PRZEKRACZANO GRANICE

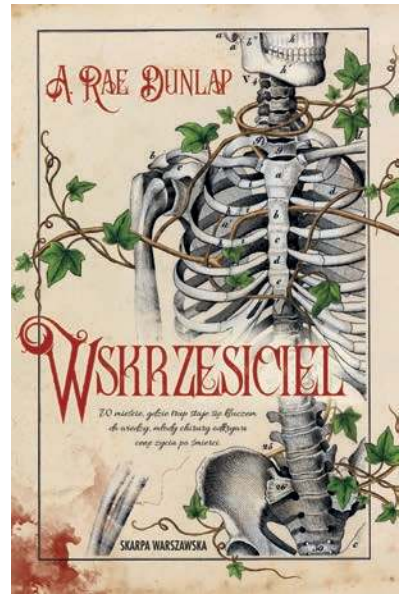
Czy można usprawiedliwić naruszanie grobów, jeśli dzięki temu rozwija się medycyna? W rozmowie o „Wskrzesicielu” A. Rae Dunlap odsłania gotycki Edynburg XIX wieku: świat ambicji, biedy, anatomów, ciał sprzedawanych do sekcji i zbrodni, które obnażyły porażkę całego systemu.

Iwona Krupińska: „Wskrzesiciel” przenosi czytelników do Edynburga w 1828 roku - miasta nauki, ambicji i mrocznych sekretów. Co sprawiło, że właśnie ten czas i to miejsce stały się dla Pani tak inspirujące?

A. Rae Dunlap: W okresie nowego oświecenia istniało niezwykłe napięcie między postępem naukowym a normami społecznymi. Szczególnie w takim mieście jak Edynburg, które znajdowało się w awangardzie rozwoju medycyny. Prawo i obyczaje po prostu nie nadążały za zmianami, a to utorowało drogę mniej skrupulatnym obywatelom, którzy potrafili wykorzystać tę lukę.

I.K.: W powieści Edynburg wydaje się niemal osobnym bohaterem: gotyckim, brudnym, fascynującym i pełnym kontrastów. Jak budowała Pani jego atmosferę?

A.R.D.: To właśnie kontrasty czynią Edynburg tak inspirującym miejscem. Moje pierwsze wrażenia z tego miasta były doświadczeniem dwoistości. Z jednej strony czułam zachwyt, gdy poznawałam jego historię, światowość i wpływy, odwiedzając zamek, Surgeons’ Hall i Uniwersytet Edynburski. Z drugiej - wyraźny niepokój, kiedy wzięłam udział w Walking Ghost Tour i odkryłam ponurą historię cmentarzy oraz podziemnych komór, na których zbudowano te instytucje.



WYDAWNICTWO SKARPA WARSZAWSKA

I.K.: Jednym z najbardziej sensacyjnych wątków książki jest handel ciałami. Co najbardziej zaskoczyło Panią podczas researchu dotyczącego dawnych szkół medycznych i sekcji zwłok?

A.R.D.: Ogromny kontrast między podażą a popytem. Zgodnie z ówczesnym prawem oficjalnymi kanałami uniwersytet mógł otrzymać do badań łącznie około czterech ciał rocznie. Myśl, że setki studentów miałyby uczyć się anatomii na jednym kadawerze (ciele zmarłej osoby wykorzystywane do nauki anatomii) była absurdalna. To sprawiało, że ignorowanie przez prawo procederu wykradania zwłok wydawało się jeszcze bardziej niewiarygodne.

I.K.: Burke i Hare należą do najmroczniejszych postaci związanych z historią XIX-wiecznego Edynburga. Jak podeszła Pani do wprowadzenia prawdziwych przestępców do fikcyjnej narracji?

A.R.D.: Początkowo kusiło mnie, by po prostu napisać powieść historyczną skupioną na wykradaczu zwłok i jego grupie, ale historia Burke’a i Hare-’a wciąż mnie do siebie przyciągała.

eprasa.pl 3678871f04



Fot. Carolyn Nishon

A. RAE DUNLAP

Autorka bestsellerów USA Today, takich jak *Wskrzesiciel* i *The Dreadfuls*. Studiowała film i literaturę wiktoriańską na Uniwersytecie Northwestern, a całe dnie spędza jako montażystka zwiastunów filmowychw Disneyu, ożywiając magię najbardziej wpływowych gawędziarzy świata dla widzów na całym świecie. Mieszka z mężem w małym górskim miasteczku w Kalifornii i można ją znaleźć online na stronie ARaeDunlap.com.

eprasa.pl 3678871f04

Była przejmującym mikrokosmosem ścierających się ideałów epoki. Nie było lepszej przypowieści, która mogłaby pokazać konsekwencje tych nierozwiązanych napięć.

I.K.: W tle Pani powieści widać bardzo realny lęk społeczeństwa przed naruszaniem grobów i ciał zmarłych. Jak chciała Pani pokazać konflikt między potrzebami nauki a prawem rodziny do żałoby i spokoju?

A.R.D.: Chciałam pokazać proceder wykradania zwłok oczami Nye'a, ponieważ to on ma największy wpływ na Jamesa. Dla Nye'a ciało nie jest świętym naczyniem, które kiedyś mieściło duszę. Jest po prostu martwą materią, która bez naukowej interwencji zostanie zmarnowana przez rozkład. Obawy rodziny zostają przez niego całkowicie odrzucone jako przestarzałe i bezpodstawne. W tym okresie historii śmierć była wszędzie, a mężczyźni o pozycji Nye'a stawali się na nią odporni.

I.K.: Powieść wielokrotnie powraca do pytania: ile można poświęcić w imię postępu. Chciała Pani, aby czytelnicy jednoznacznie oceniali bohaterów, czy raczej weszli w ich moralny niepokój?

A.R.D.: Mam nadzieję, że czytelnicy zmierzą się z tą niejednoznacznością. James łatwo ulega usprawiedliwieniom Nye'a, ale nigdy nie musi stanąć twarzą w twarz z żałobą rodziny ofiary. Dla każdego, kto sam doświadczył straty, ten temat jest znacznie bardziej bolesny, niż James próbuje sobie wmówić. A jednak wiele przełomów medycznych, które przez ostatnie 200 lat uratowały niezliczone życia, było wynikiem postępu dokonanego w Edynburgu właśnie w tej epoce. Czy uratowane życia były warte cierpienia rodzin? Na to pytanie każdy czytelnik musi odpowiedzieć sobie sam.

I.K.: W książce medycyna jest obietnicą postępu, ale też przestrzenią moralnie niejednoznaczną. Jak trudno było zrównoważyć fascynację nauką z jej ciemniejszą stroną?

A.R.D.: Nie przestaje mnie zadziwiać, jak aktualna pozostaje moralna niejednoznaczność postępu naukowego w obliczu śmierci. Także dzisiaj pojawiają się sprawy, które budzą podobne pytania i kontrowersje – choćby dotyczące niewłaściwego obchodzenia się ze szczątkami ludzkimi czy tak zwanych „farm ciał", gdzie zwłoki pozostawia się na zewnątrz, aby studenci kryminalistyki mogli badać wpływ natury na ludzkie szczątki. Między nauką a moralnością istnieje nieustanne napięcie i myślę, że właśnie dlatego tematy tej książki pozostają aktualne 200 lat po czasie, w którym rozgrywa się jej akcja.

Nie przestaje mnie zadziwiać, jak aktualna pozostaje moralna niejednoznaczność postępu naukowego w obliczu śmierci. Także dzisiaj pojawiają się sprawy, które budzą podobne pytania i kontrowersje – choćby dotyczące niewłaściwego obchodzenia się ze szczątkami ludzkimi czy tak zwanych „farm ciał", gdzie zwłoki pozostawia się na zewnątrz, aby studenci kryminalistyki mogli badać wpływ natury na ludzkie szczątki.

I.K.: Jak przygotowywała się Pani do opisywania chirurgii i edukacji medycznej w pierwszej połowie XIX wieku?

A.R.D.: Oprócz czytania książek na ten temat uczestniczyłam również w zdalnych wykładach organizowanych przez Surgeons' Hall Museum podczas pandemii. Dało mi to głębszy wgląd w praktyki tamtego czasu. Ten dostęp był bezcenny.

I.K.: Anatomia we „Wskrzesicielu" bywa opisywana z niemal artystycznym zachwytem. Pisząc sceny medyczne, skupiała się Pani bardziej na realizmie, emocjach bohaterów czy uchwyceniu ducha epoki?

A.R.D.: Zawsze wychodzę od realizmu. Na przykład scena z wstrzykiwaniem wosku do układu naczyniowego została oparta na prawdziwym eksponacie prezentowanym w Surgeons' Hall Museum w Edynburgu. Po obejrzeniu tego preparatu postawiłam sobie wyzwanie: wyobrazić sobie, jak musiało wyglądać bycie świadkiem jego powstawania. Chciałam poczuć widoki, zapachy, dźwięki i - co najważniejsze - reakcje pozostałych studentów w sali.

Długo rozmawiałam też z przyjaciółmi pracującymi w medycynie. Ich doświadczenia z pracy z kadawerami, czyli ciałami zmarłych osób wykorzystywanymi w edukacji medycznej, dostarczyły mi jednych z najlepszych anegdot, które znalazły się w książce.

I.K.: James Willoughby porzuca bezpieczną, uporządkowaną ścieżkę i wybiera medycynę. Co najbardziej zainteresowało Panią w bohaterze, który dopiero zaczyna odkrywać, kim chce się stać?

A.R.D.: Ta książka jest w gruncie rzeczy opowieścią o dojrzewaniu. Choć decyzja Jamesa, by sprzeciwić się rodzinie i studiować medycynę, jest pod pewnymi względami egoistyczna, bardzo wyraźnie pokazuje też poczucie wyobcowania, jakie odczuwa wobec roli, którą mu przeznaczono. Dopiero odnajdując odwagę, by żyć zgodnie ze swoją prawdą, James znajduje swoje

eprasa.pl 3678871f04

miejsce - nie tylko zawodowo, ale także osobiście.

I.K.: Aneurin „Nye" MacKinnon fascynuje Jamesa, ale też wciąga go w świat, którego ten wcześniej nie znał. Jak narodziła się ta postać: bardziej jako przewodnik, pokusa, partner czy zagadka?

A.R.D.: Nye przyszedł do mnie jako trickster - postać zmiennokształtna, moralny kameleon. Czerpałam inspirację z innych literackich bohaterów, którzy balansują na granicy nauki i moralności: Sherlocka Holmesa, doktora Frankensteina i doktora Jekylla. Jak każda z tych postaci, Nye wykorzystuje charyzmę, by odwracać uwagę od swojego niekonwencjonalnego poczucia dobra i zła. To właśnie przekraczając granice, osiąga zarówno sukces, jak i podziw otoczenia.

I.K.: Relacja Jamesa i Nye'a rozwija się w cieniu sekretów, ryzyka i przekraczanych granic. Jak ważne było dla Pani, aby wątek emocjonalny naturalnie wyrastał z realiów historycznych?

A.R.D.: Współczesnemu czytelnikowi może wydawać się dziwne, że James i Nye tak różnie rozumieją stawkę swojej relacji, ale wynika to z realiów epoki. Dla osoby z arystokratycznego środowiska, takiej jak James, ryzyko odkrycia oznaczało publiczny wstyd i hańbę rodziny. Dla człowieka z niższej warstwy społecznej, takiego jak Nye, ryzykiem było więzienie, a nawet śmierć. Dlatego James podchodzi do zabiegania o Nye'a znacznie bardziej nonszalancko, podczas gdy Nye pozostaje nieustannie rozdarty.

I.K.: Tytuł „Wskrzesiciel" odnosi się do bardzo konkretnego zjawiska historycznego, ale niesie też silne znaczenie symboliczne. Co w tej powieści oznacza dla Pani „wskrzeszenie"?

A.R.D.: W powieści jest wiele przykładów wskrzeszenia, ale dla mnie najbardziej znaczące są narodziny Jamesa do nowego życia poprzez bardzo świadomą śmierć jego poprzedniego życia. Aby żyć tak, jak chce, i kochać tego, kogo chce, musi zerwać wszystkie więzi z przeszłością. To nigdy nie jest łatwe, ale tylko przez ten proces James może stworzyć siebie na nowo.

I.K.: Różnice klasowe również są ważne w „Wskrzesicielu": pochodzenie Jamesa, świat studentów, miejskie podziemie i ludzie działający poza oficjalnymi strukturami. Dlaczego ten temat był dla Pani istotny?

A.R.D.: Jako miłośniczka true crime zrozumiałam, że w konkretnej zbrodni rzadko przyciąga mnie sama jej natura. Znacznie bardziej interesują mnie warunki społeczne, ekonomiczne i polityczne, które wspólnie doprowadziły do tego, że mogła się wydarzyć.

Zbrodnie Burke'a i Hare'a są tego doskonałym przykładem. Gdyby prawo nadążało za nauką, martwe ciało nie byłoby warte sześciomiesięcznej pensji. Gdyby tak wielu mieszkańców Edynburga nie żyło w skrajnej biedzie, popełnienie przestępstwa za równowartość sześciomiesięcznego wynagrodzenia mogłoby nie wydawać się tego warte. Gdyby kradzież ciał nie była opłacalna, Burke i Hare nigdy nie zdecydowaliby się pominąć pośredniego etapu i przejść do morderstw jako sposobu na szybki zarobek. Historia Burke'a i Hare'a to tragedia spowodowana nawarstwiającymi się porażkami instytucji.

I.K.: Książka porusza makabryczne tematy, a jednak ma w sobie energię, humor i młodzieńczą brawurę. Jak pracowała Pani nad tonem, aby mrok nie przytłoczył historii?

A.R.D.: Każda znana mi osoba pracująca w medycynie ma czarne poczucie humoru. To mechanizm radzenia sobie, który wydaje się uniwersalny. Kiedy każdego dnia konfrontujesz się ze śmiercią, śmiech może być przebłyskiem człowieczeństwa, który daje siłę, by nie odwracać wzroku.

I.K.: Ma Pani także doświadczenie w pracy z obrazem i filmowym opowiadaniem historii. Czy montowanie zwiastunów pomaga Pani budować rytm powieści?

A.R.D.: Zdecydowanie! Potrafię wyobrazić sobie scenę rozgrywającą się w mojej głowie tak, jakby była na ekranie kinowym. Moim zadaniem jest potem przepisać ją dokładnie tak, jak ją widzę.

I.K.: Po „Wskrzesicielu" ukazała się już Pani kolejna powieść, „The Dreadfuls", która również czerpie z mrocznej historii i atmosfery niepokoju. Co dziś najbardziej przyciąga Panią w opowiadaniu o przeszłości poprzez tajemnicę, zbrodnię i gotycki lęk?

A.R.D.: Moim celem przy pisaniu tych historii jest zwrócenie uwagi na rolę, jaką niesprawiedliwość społeczna i ekonomiczna odgrywa w utrwalaniu brutalnej przestępczości. Widzimy echa tej niesprawiedliwości także w naszym społeczeństwie dzisiaj, a tylko zwracając na nią uwagę, możemy dążyć do jej wyeliminowania. ■

Nye przyszedł do mnie jako trickster – postać zmiennokształtna, moralny kameleon. Czerpałam inspirację z innych literackich bohaterów, którzy balansują na granicy nauki i moralności: Sherlocka Holmesa, doktora Frankensteina i doktora Jekylla.

eprasa.pl 3678871f04

CHCIAŁAM OPOWIEDZIEĆ HISTORIĘ KOBIETY, KTÓREJ GŁOSU NIE MA W PODRĘCZNIKACH

Effie, bohaterka „Balsamistki", żyje w świecie przemocy, rasizmu i nierówności, ale nie pozwala, by ból ją złamał. Amanda Skenandore mówi o Rekonstrukcji, pamięci, balsamowaniu jako akcie troski oraz o tym, dlaczego historia staje się pełniejsza dopiero wtedy, gdy dopuszczamy do niej tych, których dotąd pomijano.

Marianna Bereda: „Balsamistka" łączy historię kobiety poszukującej własnej przeszłości z realiami Nowego Orleanu po wojnie secesyjnej. Co było pierwszym impulsem do napisania tej powieści? Bohaterka, miasto, okres historyczny czy temat balsamowania?

Amanda Skenandore: Dla mnie pomysły na historie zwykle zaczynają się od konkretnej epoki - takiej, która wydaje mi się jednocześnie ważna i pomijana. W przypadku „Balsamistki" była to Rekonstrukcja, czyli mniej więcej dekada po amerykańskiej wojnie secesyjnej z lat 1861–1865. Niewolnictwo zostało wówczas zniesione, a Stany Zjednoczone przez krótki czas próbowały odbudować się na bardziej równościowych zasadach.

Dorastając, wiele uczyłam się o samej wojnie, ale bardzo mało o tym, co wydarzyło się później. Im więcej czytałam, tym bardziej uderzało mnie to, jak wielki postęp wtedy osiągnięto i jak szybko został on zaprzepaszczony. Pozostałe elementy tej historii wyrosły z tego, czego dowiedziałam się podczas researchu dotyczącego tej epoki.



WYDAWNICTWO SKARPA WARSZAWSKA

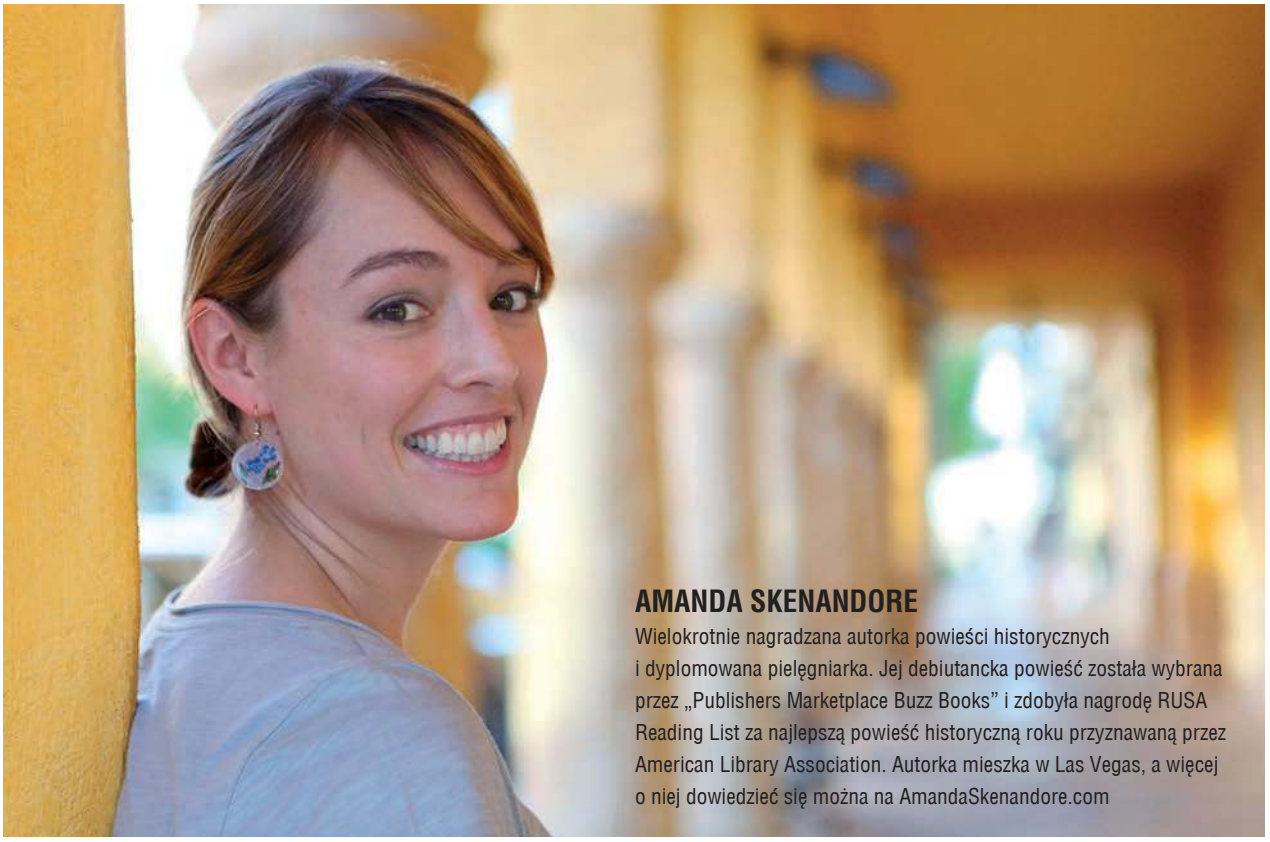
M.B.: Dlaczego właśnie Nowy Orlean i ten moment historyczny stały się dla Pani tak ważne?

A.S.: Rekonstrukcja była czasem wielkich kroków w stronę sprawiedliwości i równości, ale też czasem ogromnej przemocy, która miała te kroki zniweczyć. Dorastając, znałam nazwiska kilkunastu generałów wojny secesyjnej, ale nie znałam nazwisk czarnoskórych mężczyzn wybieranych do Kongresu i parlamentów stanowych na Południu w dekadzie po wojnie - takich jak Robert Smalls czy Blanche Bruce. Część z nich była wcześniej zniewolona. Chciałam pisać właśnie w tej luce.

Nowy Orlean był inny niż jakiekolwiek inne południowe miasto. Ścierały się tam i przenikały kultury francuska, haitańska, afrykańska, hiszpańska, rdzenna, niemiecka, irlandzka, włoska i amerykańska. Był też punktem zapalnym przemocy okresu Rekonstrukcji, co czyniło go pięknym, ale i niebezpiecznym miejscem dla historii Effie.

eprasa.pl 3678871f04

Fot. Christine Battad



AMANDA SKENANDORE

Wielokrotnie nagradzana autorka powieści historycznych i dyplomowana pielęgniarka. Jej debiutancka powieść została wybrana przez „Publishers Marketplace Buzz Books" i zdobyła nagrodę RUSA Reading List za najlepszą powieść historyczną roku przyznawaną przez American Library Association. Autorka mieszka w Las Vegas, a więcej o niej dowiedzieć się można na AmandaSkenandore.com

M.B.: W książce Nowy Orlean jest pełen kontrastów: wielokulturowy, zmysłowy, ale też naznaczony przemocą i nierównością. Jak budowała Pani jego atmosferę?

A.S.: Byłam już kilka miesięcy w trakcie pisania powieści, zanim miałam okazję odwiedzić miasto osobiście, więc moje początkowe wyobrażenie o nim pochodziło z książek, map i starych fotografii. Szczególnie cenne okazały się XIX-wieczne przewodniki turystyczne. Opisywały wszystko: od parków i kościołów po banki oraz wytwórców cystern. Wiele z nich zawierało reklamy, które nadawały miastu dodatkową fakturę.

Kiedy w końcu pojechałam do Nowego Orleanu, zwracałam szczególną uwagę na detale zmysłowe, aby móc w pełni rozbudować świat Effie. Aby uchwycić niepokój, oparłam się natomiast na historycznych zapisach przemocy i zastraszania, które miały wtedy miejsce.

M.B.: Często podkreśla Pani, że powieść historyczna jest fikcją, ale powinna być zakorzeniona w faktach. Gdzie przebiegała dla Pani ta granica podczas pracy nad „Balsamistką"?

A.S.: Bardzo starałam się osadzić historyczne tło tej opowieści w faktach. Czytałam książki i słuchałam wykładów online prowadzonych przez wybitnych badaczy, odwiedzałam archiwa i muzea w Nowym Orleanie, a także sięgałam po relacje osób, które wcześniej były zniewolone.

Tym, co musiałam wymyślić, było wewnętrzne życie Effie. Pierwszoosobowych relacji czarnoskórych kobiet z XIX wieku jest niewiele, więc jej głos - to, co myślała i czuła - należy do przestrzeni fikcji. Dla mnie granica przebiegała między światem, przez który się poruszała, a który musiał być prawdziwy, a sposobem, w jaki się przez niego poruszała - bo ten był wyłącznie jej.

M.B.: Czy podczas researchu trafiła Pani na fakt, dokument albo obyczaj, który szczególnie wpłynął na kształt powieści?

A.S.: Na wczesnym etapie, kiedy dopiero zaczynałam wyobrażać sobie tę powieść, przeczytałam artykuł naukowy o współczesnych praktykach pogrzebowych. Autor przekonywał, że przekazaliśmy śmierć innym w sposób, którego nasi przodkowie nie znali - oddaliśmy ją domom pogrzebowym i szpitalom, zamknęliśmy za drzwiami.

Sto pięćdziesiąt lat temu rodziny same myły i ubierały swoich zmarłych, czuwały przy ciele przez noc i organizowały stypy we własnych salonach. Ta bliskość śmierci, a także to, co oddaliśmy w zamian za dystans, były czymś, co chciałam zbadać.

Kluczowe były również wywiady zebrane w ramach Federal Writers' Project. W latach 30. XX wieku, jako część programu rządu Stanów Zjednoczonych stworzonego podczas wielkiego kryzysu, przeprowadzono tysiące rozmów z osobami, które

eprasa.pl 3678871f04

wcześniej były zniewolone. Zbiór ten, dostępny dziś w Bibliotece Kongresu, jest niezwykły, choć trzeba czytać go ze świadomością perspektywy osoby przeprowadzającej wywiad, często białego mężczyzny, oraz faktu, że między okresem Rekonstrukcji a momentem spisania tych wspomnień minęły dziesięciolecia.

M.B.: Effie jest kobietą wcześniej zniewoloną, wykonuje nietypowy zawód i próbuje zrozumieć własną przeszłość. Co było najtrudniejsze w stworzeniu jej głosu?

A.S.: Największym wyzwaniem był niedostatek pierwszoosobowych relacji. Głosy kobiet są słabo reprezentowane w XIX-wiecznych zbiorach historycznych, a głosy czarnoskórych kobiet szczególnie. Oprócz wywiadów zebranych w ramach Federal Writers' Project czytałam eseje i opowiadania czarnoskórych autorek z tamtego czasu, aby lepiej zrozumieć ich głos i perspektywę.

M.B.: Effie zawodowo zajmuje się balsamowaniem. Co zainteresowało Panią w postaci kobiety wykonującej taki zawód w XIX wieku?

A.S.: Kiedy dowiedziałam się, że balsamowanie zaczęło rozwijać się w Ameryce w czasie wojny secesyjnej, ponieważ rodziny chciały sprowadzać ciała bliskich do domu, aby móc je pochować, ten zawód wydał mi się nierozerwalnie związany z epoką, o której chciałam pisać. Umieszczenie Effie w tej roli pozwoliło mi przyjrzeć się bohaterce, której umiejętności i sposób bycia odróżniały ją od ówczesnego ideału kobiecości.

M.B.: Balsamowanie może kojarzyć się z czymś mrocznym, a w powieści staje się także sposobem mówienia o godności, pamięci i trosce. Jak chciała Pani przedstawić ten zawód czytelnikom?

A.S.: Chciałam przeciwstawić się współczesnemu odruchowi trzymania śmierci na dystans. Effie jest bardzo dumna ze swojej pracy i postrzega ją jako służbę zarówno zmarłym, jak i ich rodzinom. Dzięki jej pewnej ręce chciałam, aby czytelnicy zobaczyli balsamowanie jako zawód intymny i godny szacunku, a nie jako coś, przed czym należy się wzdrygać.

M.B.: W XIX wieku śmierć była znacznie bardziej obecna w codziennym życiu niż dziś. Co najbardziej zaskoczyło Panią w ówczesnym podejściu do żałoby i pochówku?

A.S.: Zafascynowały mnie przesądy. Ciało należało wynieść z domu stopami do przodu, aby żałobnicy nie zostali skuszeni, by podążyć za zmarłym ku śmierci. Lustra zasłaniano, żeby duch zmarłego nie został w nich uwięziony. Narzędzi do kopania grobu nigdy nie wolno było wnosić do domu, bo inaczej następna miała umrzeć osoba, która w nim mieszkała.

Najbardziej zaskoczyło mnie jednak po prostu to, jak obecna była śmierć w codziennym życiu – jak zmarłymi opiekowano się w domu, a rytuały żałoby były wplecione w życie domowe, zamiast być przed nim ukrywane.

M.B.: Jest Pani zarówno pielęgniarką, jak i autorką powieści historycznych. Jak doświadczenie w medycynie wpłynęło na sposób, w jaki pisze Pani o ciele, chorobie, śmierci i opiece?

A.S.: Empatia jest w pielęgniarstwie niezwykle ważna. Zawsze trzeba pamiętać, że pacjent jest kimś więcej niż swoją chorobą. Staram się brać to pod uwagę także wtedy, gdy piszę. Historia i biologia choroby znaczą bardzo niewiele, jeśli nie weźmie się pod uwagę ludzi, których dotknęła - tego, co oznaczała w ich życiu i śmierci, a także jak wpływała na tych, którzy się nimi opiekowali.

Moje doświadczenie pielęgniarskie z pewnością wpływa na to, jak piszę. Dobrze czuję się w tematyce ciała oraz realiów choroby i śmierci, więc te kwestie naturalnie przenikają do mojej prozy. Zdrowie, dobrostan, choroba – wszystko to ma ogromny wpływ na ludzkie życie, zarówno w wielkich, jak i drobnych sprawach. Szczególnie fascynuje mnie to, jak wyglądało to w przeszłości, przed epoką antybiotyków i zaawansowanych interwencji medycznych. Dzięki temu jeszcze bardziej doceniam postęp medyczny, z którego korzystamy dzisiaj.

M.B.: W „Balsamistce" medycyna spotyka się z historią społeczną: wojną,

Moje doświadczenie pielęgniarskie z pewnością wpływa na to, jak piszę. Dobrze czuję się w tematyce ciała oraz realiów choroby i śmierci, więc te kwestie naturalnie przenikają do mojej prozy. Zdrowie, dobrostan, choroba – wszystko to ma ogromny wpływ na ludzkie życie, zarówno w wielkich, jak i drobnych sprawach. Szczególnie fascynuje mnie to, jak wyglądało to w przeszłości, przed epoką antybiotyków i zaawansowanych interwencji medycznych.

eprasa.pl 3678871f04

niewolnictwem, rasizmem i przemianami okresu Rekonstrukcji. Jak pracowała Pani nad tym, by te tematy nie przytłoczyły historii bohaterki?

A.S.: Starałam się utrzymać Effie w centrum – jej poszukiwanie rodziny, przynależności i zrozumienia własnej przeszłości. Dopiero z tego miejsca pozwalałam, by szersza historia wyrastała wokół niej poprzez to, z czym się stykała, na przykład spotkania klubów politycznych czy przemoc Białej Ligi. Siła charakteru Effie, przyjaźnie, które nawiązuje, i drobne chwile radości pomagają zakotwiczyć opowieść w jej osobistej drodze.

M.B.: Effie jest silna, ale nie dlatego, że niczego się nie boi. Jak buduje się taką bohaterkę?

A.S.: Effie żyje w czasach, w których przemoc wobec kobiet, szczególnie czarnoskórych kobiet, była powszechna, a jej wyuczonym sposobem przetrwania stało się zaprzeczanie bólowi. Siła przejawia się na wiele sposobów. W przypadku Effie nie jest nią brak lęku, lecz wytrwałość. Bohaterka nie pozwala, aby świat ją złamał, i idzie dalej mimo bólu i strachu.

M.B.: Pamięć jest jednym z ważniejszych tematów powieści: to, co wyparte, to, co powraca, i to, co pozwala odzyskać tożsamość. Dlaczego ten motyw stał się jednym z fundamentów „Balsamistki"?

A.S.: Pamięć odgrywa w naszym życiu ważną rolę. Zabarwia to, jak postrzegamy teraźniejszość. Kształtuje, a czasem nawet ogranicza, nasze nadzieje na przyszłość. Może nas podtrzymywać, ale może też nas powstrzymywać.

Pod wieloma względami wspomnienia są wszystkim, co Effie posiada. Częścią jej drogi jest jednak wyjście poza te wspomnienia i rozpoczęcie pełniejszego życia. To podróż, z którą wielu z nas może się utożsamić, i właśnie ją chciałam zgłębić w tej historii.

M.B.: W Pani powieściach często pojawiają się kobiety i osoby, których głosy rzadko trafiają do podręczników historii. Co chciała Pani dać Effie, umieszczając ją w centrum tej opowieści?

A.S.: Wersja historii, którą dziedziczymy, często jest węższa niż sama przeszłość. Kształtuje ją to, które historie zostały zapisane i uznane za warte opowiadania. Umieszczenie Effie w centrum tej powieści było sposobem na poszerzenie tego rozumienia, na danie jej – i kobietom takim jak ona – pełnego życia wewnętrznego. Miłości, przyjaźni, ambicji, żałoby.

Wersja historii, którą dziedziczymy, często jest węższa niż sama przeszłość. Kształtuje ją to, które historie zostały zapisane i uznane za warte opowiadania. Umieszczenie Effie w centrum tej powieści było sposobem na poszerzenie tego rozumienia, na danie jej – i kobietom takim jak ona – pełnego życia wewnętrznego.

Choć moje własne życie było całkowicie inne niż życie Effie, istnieje wiele elementów ludzkiego doświadczenia, które nas łączą. Miałam nadzieję, że opowiadając jej historię, pozwolę czytelnikom wynieść pełniejszy i bardziej uczciwy obraz przeszłości.

M.B.: W „Balsamistce" pojawia się też pytanie o to, komu wolno opowiadać własną historię i kto ma prawo zostać zapamiętany. Co ten temat znaczył dla Pani?

A.S.: Wszyscy mamy prawo do pamięci. A obecnie zbyt wiele głosów wciąż pozostaje poza zapisem historycznym. To krzywda zarówno wobec tych ludzi, jak i wobec nas dzisiaj. Możemy bardzo wiele nauczyć się z przeszłości, zwłaszcza jeśli jesteśmy otwarci na poznawanie różnych perspektyw.

M.B.: Czy pisząc o tak trudnych realiach jak niewolnictwo, przemoc i nierówność, czuła Pani większą odpowiedzialność wobec czytelników i historii?

A.S.: Tak, zdecydowanie. Chciałam prawdziwie przedstawić powszechność tych zjawisk, ale jednocześnie nie przytłoczyć czytelnika – a to trudna granica. Choć dzisiejsze społeczeństwo jest w lepszej sytuacji niż ówczesne, osoby kolorowe nadal nieproporcjonalnie często stają się celem przemocy, a kobiety wciąż bywają zastraszane i zmuszane do milczenia. Dlatego nie jest to wyłącznie historia.

Właśnie z tego powodu tak mocno oparłam powieść na researchu. Byłam to winna prawdziwym ludziom, którzy zainspirowali postać Effie, oraz czytelnikom – aby zrobić to najlepiej, jak potrafiłam.

M.B.: Co chciałaby Pani, aby czytelnicy odkryli w „Balsamistce" poza samą fabułą?

A.S.: Mam nadzieję, że wyniosą z niej głębsze zrozumienie Rekonstrukcji i większe uznanie dla zmagań ludzi, którzy przez nią przeszli. To coś więcej niż carpetbaggerzy i korupcja. Był to czas wielkich kroków w stronę sprawiedliwości i równości, ale także czas ogromnej przemocy, która miała te kroki zniweczyć.

Chciałabym również, aby czytelnicy odkryli coś na temat samej śmierci – tego, jak intymna kiedyś była i jak mocno wpleciona w codzienne życie, oraz co utraciliśmy, tworząc profesjonalny dystans między żywymi a zmarłymi. ■

eprasa.pl 3678871f04

POLACY ODCHODZĄ OD ROMANTYZMU

O pisaniu historii, emocjach i życiu youtubera z Piotrem Zychowiczem rozmawia Adam Podlewski.

Adam Podlewski: Emocje w historii. Czy da się pisać o przeszłości w sposób zupełnie pozbawiony osobistej perspektywy?

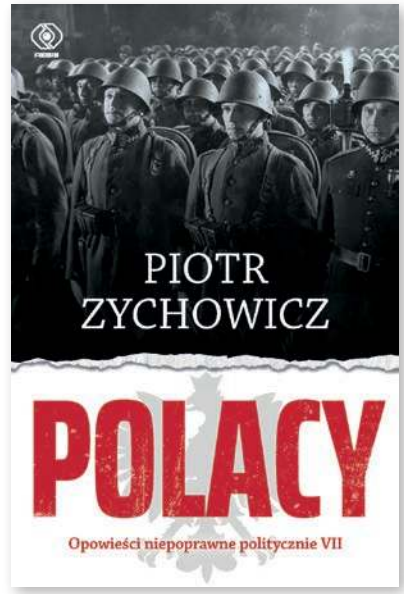
Piotr Zychowicz: Nie da się. Co nie znaczy, że nie należy dążyć do ideału. A tym ideałem jest oczywiście całkowita, absolutna bezstronność. Chłodne, krytyczne spojrzenie na przeszłość. Niestety, jak wiemy, w Polsce istnieje bardzo potężny nurt, który z góry tę bezstronność odrzuca. Mowa oczywiście o polityce historycznej, z którą (jako zwolennik historii realnej) staram się zwalczać.

A.P.: Jaka jest różnica między tymi dwiema szkołami?

P.Z.: Historia Realna to dążenie do jak najbardziej ścisłej rekonstrukcji wydarzeń z przeszłości. Ustalenie jak było naprawdę. Należy to zrobić nawet wtedy, gdy wydarzenia (i wnioski z nich wypływające) nie są przyjemne dla naszej wspólnoty. Historia realna to również kontynuacja legendarnej krakowskiej szkoły historycznej, która starała się wyciągać lekcje z błędów przeszłości, tak aby uniknąć ich w przyszłości. Piętnować nasze narodowe przywary, aby je wyplenić. Zgodnie z tą metodą napisana została moja nowa książka „Polacy". I zgodnie z tą metodą pisałem inne moje książki.

A.P.: A polityka historyczna?

P.Z.: To dokładna odwrotność historii realnej. Polityka historyczna jest rodzajem propagandowej kampanii państwa. Znamy to doskonale z niezliczonych



WYDAWNICTWO REBIS

prac drukowanych w PRL, a potem w III RP. Polacy zawsze mieli rację! Polacy zawsze byli święci! A każdy kto twierdzi inaczej jest zaprzańcem i zdrajcą. Wszystkie klęski, które spadały na Rzeczpospolitą były skutkiem knowań naszych wrednych sąsiadów i jeszcze bardziej wrednych mniejszości. Do tego oczywiście dochodzi „zdrada" wiarołomnych aliantów. My, jako Polacy, nie mamy sobie nic do zarzucenia. Nie muszę mówić, że narracja ta jest nie tylko dziecinna, ale stoi również w jaskrawej sprzeczności z materiałem źródłowym, jakim dysponują historycy. Jest po prostu nieprawdziwa.

A.P.: Przykłady?

P.Z.: Proszę bardzo. Oto kilka z nich:

Polityka historyczna: Rozbiory były skutkiem straszliwego spisku europejskich satrapii, które nie mogły znieść blasku wolności, jaka roztaczała wokół siebie Rzeczpospolita.

Prawda: Rozbiory były skutkiem patologii wewnętrznych, jakie trawiły Rzeczpospolitą. Słabej władzy królewskiej, oligarchii, liberum veto. To państwo zgniło od środka, a zaborcy tylko skorzystali z okazji. Powodem upadku Rzeczpospolitej była jej słabość.

Polityka historyczna: Polacy podczas II wojny światowej zajmowali się głównie ratowaniem Żydów.

Prawda: Bywało różnie. Jedni Polacy Żydów ratowali, co zasługuje na najwyższy szacunek, inni byli szmalcownikami, co zasługuje na najwyższe potępienie. A większość była po prostu obojętna, skupiała się na własnym przetrwaniu. I trudno mieć o to do nich pretensję.

Polityka historyczna: decyzja o wywołaniu Powstania Warszawskiego była jedynie słuszna.

Prawda: był to jeden z najbardziej katastrofalnych błędów w dziejach Polski, który spowodował zagładę miasta i jego mieszkańców.

Przykłady takie można mnożyć.

A.P.: Nie oceniamy książki po okładce. Ale gdyby miał Pan wskazać typ okładki, rodzaj tytułu lub używane najczęściej słowo, które zniechęca Pana

eprasa.pl 3678871f04



PIOTR ZYCHOWICZ

publicysta historyczny, dziennikarz i autor książek poświęconych głównie II wojnie światowej oraz historii Polski XX wieku. Jest absolwentem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego i współpracował m.in. z „Rzeczpospolitą" oraz tygodnikiem „Do Rzeczy". Autor cyklu „Opowieści niepoprawne politycznie", którego najnowsza odsłona, „Polacy" ukazała się w tym roku.

eprasa.pl 3678871f04

do lektury książki historycznej, co by Pan wymienił?

P.Z.: Nie przepadam za książkami o Auschwitz, które mają na okładkach biało-błękitne pasy. Takie jak na obozowych mundurach. Pod tym szyldem wyszło w Polsce sporo bardzo złych prac (choć nie wszystkie!). Druga sprawa: książki o cierpieniach chłopów pod „jarzmem" wrednych polskich panów. Nie przepadam za tą modą. Jeżeli zaś chodzi o czasopisma historyczne, to pamiętam, że kiedyś ukazywał się u nas magazyn, który miał następujący nadtytuł: „Pismo zwycięskiej historii Polski". Wydawało mi się to czystym absurdem, jak z Mrożka. Historia Polski obfitowała w zwycięstwa, ale również w klęski i porażki. Dlaczego pokazywać tylko jedną stronę medalu? Po co zakłamywać i zniekształcać własne dzieje? Po co oszukiwać własnych czytelników? To jest, nawiasem mówiąc, kwintesencja polityki historycznej. Zjawiska, które jest patriotyczne w treści, a komunistyczne w formie.

A.P.: Książką, która przyniosła Panu największy rozgłos, był „Pakt Ribbentrop-Beck". Co powiedziałby Pan dziś swojej młodszej wersji, piszącej tę książkę? Czy coś zmieniłby Pan w swoich tezach lub sposobie ich przedstawienia?

P.Z.: No cóż, dzisiaj napisałbym tę książkę zupełnie inaczej. Byłaby trzy razy grubsza i oparta na szerszej bazie źródłowej. Choć oczywiście wnioski byłyby takie same. Jestem wierny swoim przekonaniom. „Pakt Ribbentrop-Beck" to był pistoletowy esej, który napisałem w dwa tygodnie. Wszystko miałem już w głowie przemyślane od lat. Wystarczyło siąść i przerzucić to na papier. Może dlatego właśnie książka uznana została za taką ciekawą i cieszyła się tak dużym powodzeniem czytelników.

A.P.: Czy „Pakt Ribbentrop-Beck" spotkał się z odzewem czytelników niemieckojęzycznych? Czy książka była omawiana w mediach naszego zachodniego sąsiada?

P.Z.: O ile wiem, nie. Książka nie została również wydana w Niemczech. Chyba była dla Niemców zbyt niepoprawna politycznie. A ja, co trzeba podkreślić, pisałem ją dla Polaków. Co nie znaczy, że nie było z tamtej strony żadnego odzewu. Napisał do mnie syn ministra spraw zagranicznych III Rzeszy, Rudolf von Ribbentrop. Były oficer Dywizji Waffen SS „Das Reich", kawaler Krzyża Żelaznego. Jak dostałem ten list spadłem z krzesła.

A.P.: Czy historia rzeczywiście jest nauczycielką życia? Czy Polska, w obecnej sytuacji geopolitycznej, może wyciągnąć praktyczne wnioski z doświadczeń lat 1918-1945? Jeśli tak, to jakie?

P.Z.: Tak, takie jest główne założenie historii realnej. Analizujemy na chłodno, bez emocji, błędy naszych przodków. Nasze położenie geopolityczne się bowiem nie zmieniło. I musimy, leżąc między Niemcami a Rosją, zachowywać szczególną ostrożność. O wnioskach, jakie wypływają z II wojny światowej dla współczesnej Polski moglibyśmy zrobić osobny wywiad.

Ja wymienię tylko cztery.

1) Polska powinna być Last to Fight, a nie – jak głosił nasz propagandowy plakat – First to Fight. Czyli: nie pchajmy się do wojny jako pierwsi, róbmy wszystko, żeby nasze państwo nie uległo zniszczeniu, a jego obywatele nie byli narażeni na skutki działań zbrojnych i okupacji.

2) Nie szafujmy krwią najlepszych synów naszej ojczyzny w imię obcych interesów. Liczmy siły na zamiary. Szaleństwo Powstania Warszawskiego i akcji „Burza" nie może się powtórzyć.

3) Nie stać nas na jednoczesny konflikt z Niemcami i Rosją. Polska nie może prowadzić konfliktu na dwa fronty.

4) Nie wierzmy w piękne obietnice i „gwarancje" sojuszników. Umiesz liczyć, licz na siebie.

A.P.: Choć konsekwentnie promuje Pan pojęcie „historii realnej", w swoich książkach i wywiadach poświęca Pan sporo uwagi historii alternatywnej. Czy wyobraża sobie Pan napisanie powieści z gatunku historii alternatywnej, w której mógłby Pan literacko rozwinąć własne scenariusze?

P.Z.: Nie! Niestety to chyba nie wchodzi w rachubę. Mimo szczerych chęci Pan Bóg poskąpił mi talentu prozatorskiego. Wszystkie podejmowane do tej pory próby pisania w tym stylu kończyły się porażką. Drętwe dialogi, niezręczna forma. Lepiej czuję się na gruncie publicystyki historycznej.

A.P.: Spotyka Pan człowieka, który dotąd w ogóle nie interesował się historią. Jaką jedną książkę poleciłby mu Pan, aby możliwie najlepiej zrozumiał historię Polski XX wieku?

P.Z.: „Obłęd '44".

A.P.: Czy mity i zniekształcenia obecne w opowiadaniu historii Polski zmieniają się z biegiem czasu? Niektóre kwestie – choćby ocena decyzji o wybuchu Powstania Warszawskiego – nie budzą już przecież takich emocji jak dziesięć, a tym bardziej dwadzieścia lat temu. Czy dostrzega Pan zmianę w sposobie prowadzenia tych debat?

P.Z.: Tak, zgodnie z moimi przewidywaniami głosy próbujące usprawiedliwiać czy wręcz gloryfikować decyzję o wywołaniu Powstania Warszawskiego należą już do mniejszości. Polacy, szczególnie w obecnej groźnej sytuacji międzynarodowej, odchodzą od romantyzmu na rzecz realizmu. Wiedzą bowiem, że gra toczy się o najwyższą stawkę. Jeżeli moje książki się do tego choć w minimalnym stopniu przyczyniły, uznaję się za człowieka spełnionego. Jeżeli zaś chodzi o obecne debaty historyczne, to niestety nadal jest w nich za dużo emocji, a za mało faktów.

A.P.: Jak Pan, z perspektywy autora, który tematem zajmuje się już wiele lat, postrzega obecne wzmożenie pamięci historycznej wokół zbrodni wołyńskiej i relacji z Ukrainą?

P.Z.: To jest oczywiście związane z wojną i przybyciem do Polski milionowych rzeszy Ukraińców. Jest to

eprasa.pl 3678871f04

Nigdy nie zapomnę wywiadu z panem Pradunem, który jako dziecko przetrwał upowską masakrę w Ostrówkach. W tej wsi prowadzone są właśnie prace ekshumacyjne i ich efekty są po prostu zatrważające. Pradun opowiadał mi, jak banderowcy położyli go na ziemi obok matki, innych krewnych i sąsiadów. A następnie otworzyli ogień.

również odpowiedź na politykę historyczną Ukrainy, która gloryfikuje UPA. Co robić w tej sytuacji? Należy w sposób merytoryczny i spokojny bronić prawdy historycznej.

Oto główne aksjomaty:

1) Ludobójstwo UPA nie było spontanicznym buntem chłopskim wywołanym przez wołyńskich chłopów. Była to zaplanowana z zimną krwią operacja eksterminacyjna.

2) Błędy polityki ukraińskiej II RP (które były ewidentne) nie mogą stanowić usprawiedliwienia dla ludobójstwa na Wołyniu.

3) Nie ma symetrii między ludobójstwem UPA a polskim odwetem. Co nie zmienia faktu, że ten odwet był i nie wolno zakłamywać historii, zamiatając go pod biało-czerwony dywan. Sahryń to fakt.

A.P.: Jest Pan dziś nie tylko autorem książek, ale także bardzo popularnym twórcą internetowym. Czym różni się opowiadanie o historii w książce od opowiadania o niej na YouTubie? Jakie możliwości i ograniczenia mają te dwa media?

P.Z: YouTube pozwala na bliższy kontakt i interakcję z widzami. To jest prawdziwa rewolucja. Książki z kolei są bardziej trwałe. O ile pewnego dnia możemy się obudzić w sytuacji, że wszystkie treści z YouTube'a nagle wyparowały, książki są wieczne.

A.P.: Jak znajduje Pan równowagę pomiędzy twórczością historyczną i aktywnością w sieci?

P.Z.: Proszę o inny zestaw pytań (śmiech). Praca na YT jest oczywiście bardzo absorbująca i pochłania wiele czasu. To się przekłada z kolei na mniej czasu na pisanie książek. No i mniej czasu spędzanego z rodziną. nad czym najbardziej boleję. Wszystko w życiu ma swoją cenę.

A.P.: Niektóre teksty, wywiady i szkice, które znalazły się w zbiorze „Polacy", powstały kilkanaście, a nawet dwadzieścia lat temu. Czy tekst historyczny ma, Pana zdaniem, jakiś „termin przydatności"? Kiedy przestaje być aktualny?

P.Z.: Tekst historyczny przestaje być aktualny, gdy badacze odnajdą nowe dokumenty, lub inny materiał źródłowy, który obala wypływające z tego tekstu wnioski i ustalenia. Nie dotyczy to jednak tekstów zawartych w „Polakach". Duża część tej książki została napisana w ostatnich miesiącach, ale postanowiłem opublikować w niej również moje najlepsze wywiady i artykuły sprzed lat. Na czele z wywiadami ze śp. Pawłem Wieczorkiewiczem, które dwie dekady temu narobiły w Polsce wiele szumu. Przede wszystkim tezą, że Polska w 1939 roku powinna zawrzeć pakt z Niemcami. To też jest ciekawe świadectwo epoki.

A.P.: Czy wywiady z historykami traktuje Pan przede wszystkim jako opracowania popularyzatorskie, czy raczej jako źródła do badań nad historiografią i zmieniającym się sposobem interpretowania przeszłości?

P.Z.: Ja się przede wszystkim wiele z tych rozmów dowiaduję. Przeprowadziłem wywiady z większością najlepszych współczesnych polskich badaczy i mam nadzieję, że za każdym razem udało mi się wydobyć z nich coś więcej, niż pisali w swoich książkach.

A.P: Czy zdarzyło się Panu kiedyś przerwać wywiad, gdyż rozmówca (albo Pan) poczuł się urażony zadanym pytaniem (lub odpowiedzią)?

P.Z.: Nie. Nigdy. Zawsze staram się być taktowny. Te rozmowy nigdy nie miały na celu wywołania jakiejś awantury, tylko poznanie punktu widzenia drugiego człowieka. Największe emocje towarzyszyły natomiast nie rozmowom z historykami, ale ze świadkami historii. Przeprowadziłem ich sporo. Z ocalałymi z ludobójstwa na Wołyniu, Holokaustu czy Powstania Warszawskiego. Nigdy nie zapomnę wywiadu z panem Pradunem, który jako dziecko przetrwał upowską masakrę w Ostrówkach. W tej wsi prowadzone są właśnie prace ekshumacyjne i ich efekty są po prostu zatrważające. Pradun opowiadał mi, jak banderowcy położyli go na ziemi obok matki, innych krewnych i sąsiadów. A następnie otworzyli ogień. Mózg matki obryzgał jego głowę i oprawcy pomyśleli, że nie żyje. Nocą podniósł się z pola śmierci i odszedł w las. Nawet po kilkudziesięciu latach, gdy mi to opowiadał, głos mu się łamał. Płakał. To było bardzo wstrząsające. Rozmowa ta znalazła się w książce „Wołyń Zdradzony". Tak, tej samej która, (w skandaliczny sposób, za pomocą mafijnej intrygi) została usunięta z konkursu Książka Historyczna Roku.

A.P: Nad czym pracuje Pan obecnie?

P.Z: Nad drugą częścią „Polaków". Premiera zimą 2027 roku. I to nie jest moje ostatnie słowo! ■

eprasa.pl 3678871f04

WOJNA, KTÓRA ZMIENIŁA OBLICZE ŚWIATA

Fragment książki *Zachodni front. Historia pierwszej wolny światowej* autorstwa Nicka Lloyda.

ROZDZIAŁ 5
ŹLE TO WYGLĄDA

Było jasne, że kolejna ofensywa nastąpi w Artois. Joffre rozważał uderzenie siłami 10. Armii na północ od Arras, co wymagałoby współpracy ze strony Brytyjczyków. Dowództwo nad tą operacją chciał objąć Foch. Jednak zaangażowanie w nią wojsk brytyjskich było łatwiejsze w teorii niż w praktyce. Gdy John French odmówił zluzowania dwóch korpusów w rejonie Ypres, Joffre wycofał się z obietnicy zapewnienia znaczącego wsparcia dla planowanego przez Haiga ataku pod Neuve Chapelle. Decyzja ta wywołała konsternację zarówno w Paryżu, jak i w Londynie i nie przyczyniła się do ocieplenia lodowatych relacji między Frenchem a Kitchenerem. Gdy „ten stary babsztyl" z War Office (jak French zwykł nazywać ministra wojny) przekazał mu skargi od Joffre'a i wyraził zaniepokojenie, że „otrzymawszy posiłki, nie jest pan gotów wykonać tego, czego Joffre od pana wymaga", French wpadł w furię. W krótkiej depeszy wysłanej kilka dni później wyjaśnił, że nie da się „przeprowadzić przy użyciu dywizji terytorialnej tego, co planowałem z myślą o dywizji regularnej", dodając przy tym, że jego stosunki z Joffre'em zawsze były „bardzo serdeczne". Niemniej jednak brak porozumienia co do wspólnej ofensywy z Francuzami oznaczał, że na początku marca Brytyjczykom przyjdzie walczyć w osamotnieniu. Sir John French, choć niezadowolony z braku francuskiego wsparcia, dał zielone światło dla planowanej operacji, chcąc dowieść, że Brytyjczycy są w razie potrzeby zdolni do samodzielnego prowadzenia działań zaczepnych.



WYDAWNICTWO ZNAK

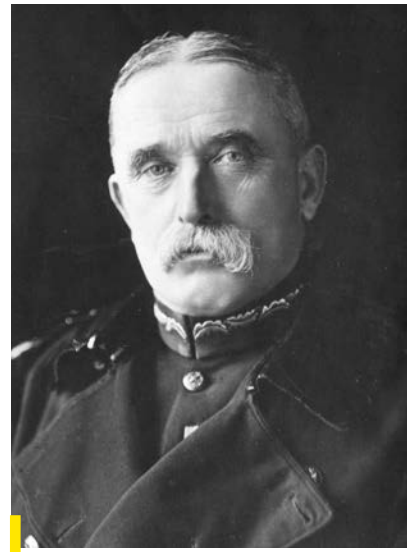
Za swą zwyczajową fasadą buńczucznej pewności siebie French z trudem radził sobie z wymogami nowoczesnej wojny. Ogromna skala i intensywność walk na froncie zachodnim szokowały większość obserwatorów, nie wyłączając brytyjskich oficerów zawodowych, których ukształtowały lata służby policyjnej w bliższych i dalszych koloniach. Wielka wojna w Europie była dla nich zjawiskiem obcym i zatrważającym, a ciężkie straty ponoszone nawet w stosunkowo niewielkich starciach czymś wprost nie do pojęcia. Śmierć generała Johna Gougha (szefa sztabu 1. Armii) w lutym 1915 roku, śmiertelnie ranionego przez snajpera podczas wizyty na pierwszej linii frontu, okazała się szczególnie bolesnym ciosem. Adiutanci zauważyli, że sir John

Sir John French, choć niezadowolony z braku francuskiego wsparcia, dał zielone światło dla planowanej operacji, chcąc dowieść, że Brytyjczycy są w razie potrzeby zdolni do samodzielnego prowadzenia działań zaczepnych.

eprasa.pl 3678871f04

coraz częściej „odpływał myślami" wpatrzony w dal, pogrążony w rozważaniach o śmierci i ludzkiej duszy. W liście do swojej powierniczki, pani Winifred Bennett, pisał, że jego gabinet w Saint-Omer jest „pełen duchów moich poległych przyjaciół (…). Czasami zaludniam go tymi wspaniałymi towarzyszami broni (w porównaniu ze mną to jeszcze młokosy!), którzy już odeszli. Ta owa »Milcząca Armia«. Biada, ach, biada! Pokój staje się zbyt mały, by pomieścić choćby tylko moich najbliższych przyjaciół".

10 marca o godzinie 7.30 1. Armia Haiga ruszyła do natarcia. Bitwa, jaka się wywiązała, nie miała szczególnie wielkiego znaczenia. W porównaniu z operacjami francuskimi w tym okresie była niewielka, lecz mimo to zdawała się dawać nadzieję, że alianci obrali właściwy kierunek. Dzięki starannym przygotowaniom i koncentracji sił oddziały Haiga zaskoczyły nieprzyjaciela



Sir John French, naczelny dowódca Brytyjczyków na froncie zachodnim w latach 1914–1915, źródło: domena publiczna

w wymiarze taktycznym, odrzucając go o ponad kilometr i zdobywając wieś Neuve Chapelle. Nowością było zwłaszcza wykorzystanie lotnictwa do sfotografowania całego pola walki, co pozwoliło wojskom brytyjskim lepiej przygotować się na to, co je czeka. Dumny z sukcesu Haiga French przesłał mu kilka dni później depeszę gratulacyjną. Wprawdzie mina mu nieco zrzedła, gdy przedstawiono dane o stratach (ponad 12,5 tysiąca zabitych, rannych i zaginionych), pocieszał się jednak myślą, że straty niemieckie były znacznie większe. „Mówi się, że wroga linia okopów zasłana jest trupami". Pokrzepiony tym faktem, wezwał Wilsona i polecił mu jak najszybciej spotkać się z Joffre'em, „by stanowczo domagać się ustalenia wspólnego planu działania".

Nadszedł czas na podjęcie kluczowych decyzji dotyczących strategii aliantów. 24 marca Joffre telegrafował do sir Johna: „W wojnie, którą obecnie prowadzimy, gdzie wróg zajmuje silnie umocnione pozycje, a ponadto ma



Brytyjscy żołnierze w okopach pierwszego dnia Bitwy nad Sommą, 1 lipca 1916, źródło: domena publiczna

eprasa.pl 3678871f04

do swojej dyspozycji siły i środki wystarczające do energicznej obrony, nasza ofensywa może się powieść tylko wtedy, gdy spełnione będą określone warunki". Zdaniem Joffre'a sprzymierzeni potrzebowali „przewagi liczebnej" na „szerokim froncie", „odpowiednich środków materiałowych" do przełamania umocnień przeciwnika oraz „pokaźnych zapasów amunicji". Francuski głównodowodzący wyrażał nadzieję, że niezbędne siły uderzeniowe uda się zgromadzić w ciągu pięciu lub sześciu tygodni. „Jestem pełen wiary, że ta ofensywa zada przeciwnikowi cios, który przyniesie daleko idące następstwa, a nasze działania stanowić będą istotny krok ku ostatecznemu zwycięstwu". John French sygnalizował gotowość udziału, lecz wciąż nie miał jasności, czy plany te zostaną usankcjonowane przez Londyn ani jakimi posiłkami będzie dysponował.

Za sfinksowym spojrzeniem Kitchenera kryły się skomplikowane kalkulacje. Apetyt rządu francuskiego na ludzi i armaty był nienasycony, podczas gdy brytyjskie zobowiązania w rejonie Morza Śródziemnego stale rosły. Wobec desantu na półwyspie Gallipoli, zaplanowanego wstępnie na koniec kwietnia, brytyjski wysiłek wojenny uległ podziałowi na dwa teatry działań.



Plakat rekrutacyjny *Lord Kitchener Wants You* z podobizną ministra wojny Horatio Kitchenera, źródło: domena publiczna

Grunt pod spotkanie najwyższych przywódców alianckich został przygotowany. 29 marca w Chantilly zebrali się Kitchener, French, Millerand i Joffre, by uzgodnić dalsze kroki koalicji. Joffre postulował, aby natarcie w Artois rozpoczęło się pod koniec kwietnia, zaznaczył jednak, że wcześniej konieczne będzie przeprowadzenie szeregu lokalnych uderzeń, „by uniemożliwić Niemcom wycofywanie oddziałów z naszego frontu i kierowanie ich na przykład w Karpaty". Kitchener wyraził sprzeciw, argumentując, że cząstkowe działania ofensywne jedynie opóźnią moment wyprowadzenia głównego ataku. Gdy Joffre ponowił apele o przysłanie do Francji większych sił brytyjskich, Kitchener pozostał nieprzejednany. Wzruszając ramionami, stwierdził, że problemem nie jest brak ludzi, lecz pozyskanie

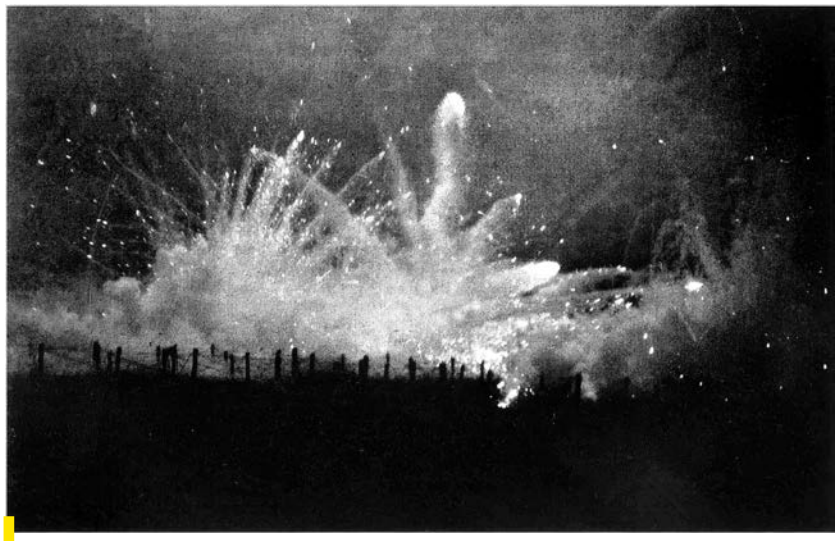
eprasa.pl 3678871f04



Zagazowani, obraz autorstwa Johna Singera Sargenta przedstawiający ofiary ataku gazem bojowym, 1919, źródło: domena publiczna



Niemiecka piechota w natarciu, 1914, źródło: domena publiczna



Nocne zdjęcie niemieckiego ostrzału pozycji wojsk sprzymierzonych, prawdopodobnie w czasie drugiej bitwy pod Ypres, 1915, źródło: domena publiczna

wystarczającej ilości amunicji i sprzętu artyleryjskiego. Niemniej zgodził się wysłać na kontynent dwie dywizje, co pozwoliłoby sir Johnowi zluzować IX i XX Korpus w rejonie Ypres; decyzja ta spotkała się z przychylną reakcją ze strony francuskiego naczelnego wodza.

Za sfinksowym spojrzeniem Kitchenera kryły się skomplikowane kalkulacje. Apetyt rządu francuskiego na ludzi i armaty był nienasycony, podczas gdy brytyjskie zobowiązania w rejonie Morza Śródziemnego stale rosły. Wobec desantu na półwyspie Gallipoli, zaplanowanego wstępnie na koniec kwietnia, brytyjski wysiłek wojenny uległ podziałowi na dwa teatry działań. Kitchener usilnie starał się wytyczyć bezpieczny kurs, licząc na to, że rozwój wypadków – czy to w Turcji, czy to we Francji – wskaże mu właściwy kierunek działań. Gdy kilka dni po naradzie w Chantilly sir John jadł śniadanie z Kitchenerem w Londynie, minister wojny jasno przedstawił swoje stanowisko. „Oświadczył mi wówczas kategorycznie – zanotował sir John w dzienniku – że uważa, iż Joffre i ja jesteśmy »poddawani próbie«. Jeśli w ciągu miesiąca lub sześciu tygodni pokażemy, że naprawdę

eprasa.pl 3678871f04

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy odkręcono zawory butli. Po chwili rozległ się przenikliwy syk uchodzącego gazu, a nad ziemią niczyją zaczęła się formować złowroga żółtozielona chmura. „Całe niebo (…) przybrało barwę żółtą, ogień przeciwnika zamarł, nasza piechota ruszyła do przodu i podążyła za chmurą mgły w bezgłośnym natarciu, bez strat własnych" – tak opisał ten straszliwy spektakl jeden z niemieckich obserwatorów.



Kanadyjski żołnierz w szpitalu z z poparzeniami po gazie musztardowym, 1916, źródło: domena publiczna

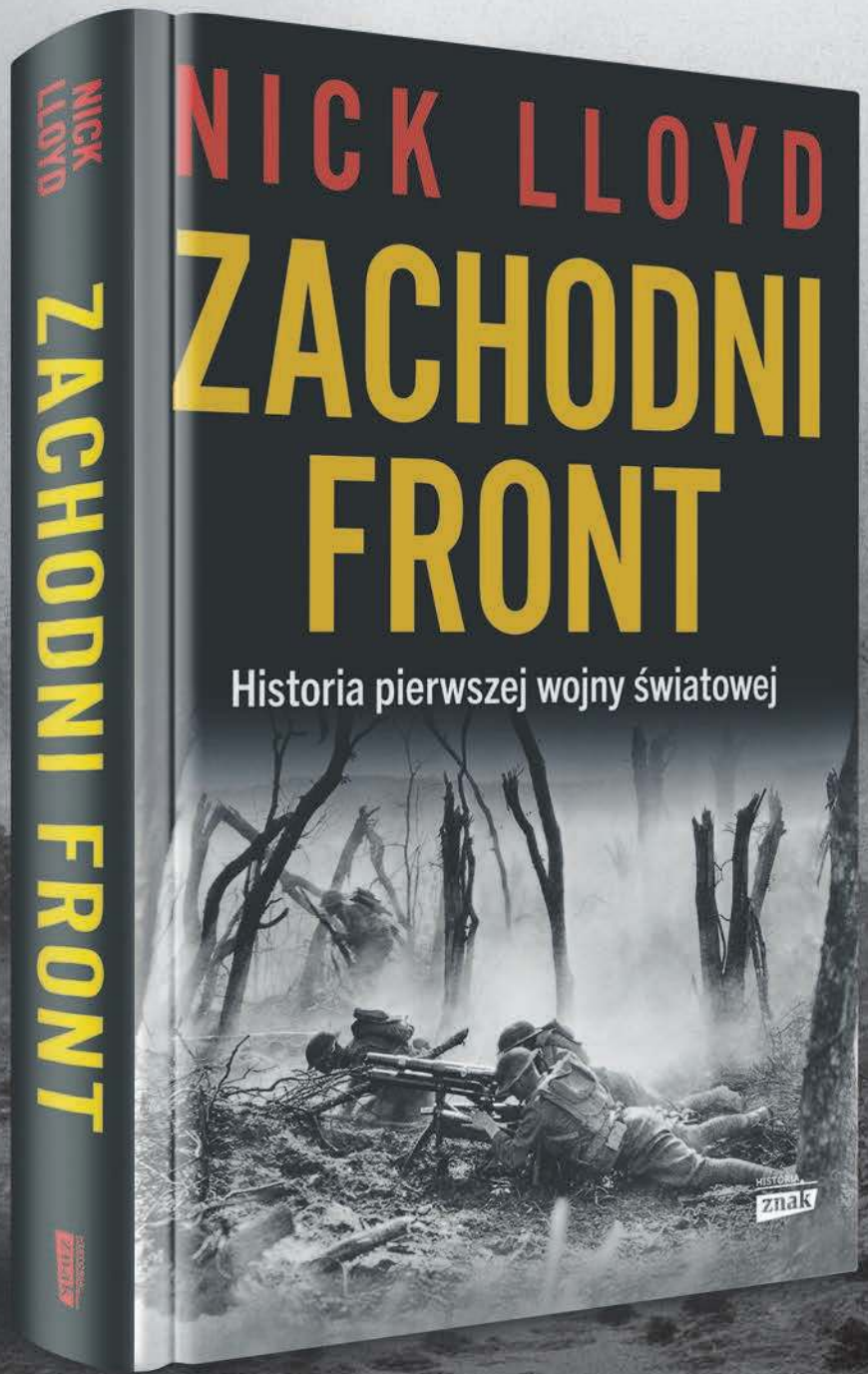
potrafimy poczynić »istotny postęp« i zdołamy »przełamać pozycje niemieckie«, wesprze mnie ze swej strony wszystkimi wojskami, jakie zdoła wysłać. Jeśli jednak nam się nie uda, rząd będzie musiał poszukać innego teatru działań". Pozostając wiernym starej wojskowej maksymie, Kitchener gotów był wspierać jedynie sukces.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy odkręcono zawory butli. Po chwili rozległ się przenikliwy syk uchodzącego gazu, a nad ziemią niczyją zaczęła się formować złowroga żółtozielona chmura. „Całe niebo (…) przybrało barwę żółtą, ogień przeciwnika zamarł, nasza piechota ruszyła do przodu i podążyła za chmurą mgły w bezgłośnym natarciu, bez strat własnych" – tak opisał ten straszliwy spektakl jeden z niemieckich obserwatorów. Wkrótce odezwała się niemiecka artyleria polowa, a nad liniami alianckimi na północ od zrujnowanego Ypres zaczęły eksplodować szrapnele. Na drodze toksycznego obłoku znajdowały się dwie dywizje francuskie obsadzające linię płytkich okopów; żołnierze z przerażeniem obserwowali, jak opar wolno przesuwa się nad ich pozycjami. Oczy zaczęły im łzawić, gardła ściskał skurcz, kaszel i duszności przerodziły się w panikę, gdy uświadomili sobie, że użyto przeciwko nim substancji trującej. Ci, którzy nie ulegli oparom, rzucili się do bezładnej ucieczki, szerząc zamęt na tyłach. Było to 22 kwietnia, krótko po godzinie 17, rozpoczynała się druga bitwa pod Ypres.

Na sześciokilometrowym odcinku frontu żołnierze dwóch niemieckich korpusów ruszyli ostrożnie naprzód, w osłupieniu spoglądając na to, co pozostało z dawnych okopów pierwszej linii. Odrzuciwszy Francuzów na linię kanału Yser, zajęli wsie Langemarck oraz Pilckem, gotując się do zwinięcia reszty występu Ypres. „Od strony kanału widzieliśmy tylko kłęby żółtawego dymu" – wspominał francuski pułkownik, który dotarł na odległość 300 metrów od Boesinghe, nim obezwładniło go „silne pieczenie w nosie i gardle; dzwoniło nam w uszach, z trudem mogliśmy oddychać; wszędzie unosił się nieznośny odór chloru". Wkrótce natknęli się na niedobitki 2 dywizji; była to scena rodem z Piekła Dantego. „Ludzie uciekali we wszystkich kierunkach: żołnierze wojsk terytorialnych, strzelcy algierscy, żuawi, nieuzbrojeni artylerzyści, wszyscy przerażeni, bez nakryć głowy, w porozpinanych mundurach, biegli na oślep, błagając o wodę, plując krwią, niektórzy tarzali się po ziemi, rozpaczliwie próbując zaczerpnąć tchu". ■

eprasa.pl 3678871f04

WOJNA, KTÓRA ZMIENIŁA OBLICZE ŚWIATA

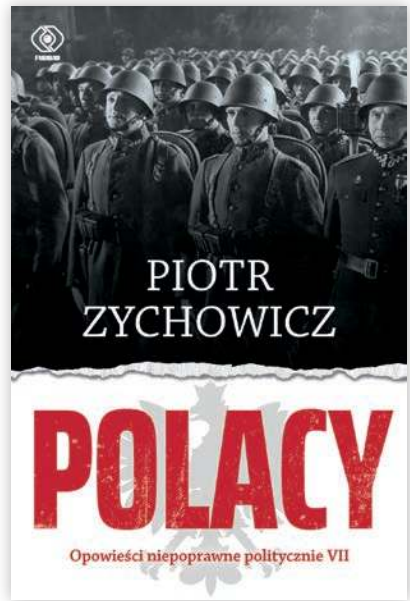


Czytaj więcej

Polacy. Opowieści niepoprawne politycznie
Piotr Zychowicz

ZBIÓR VARIÓW O NARODZIE PEŁNYM SPRZECZNOŚCI

Piotr Zychowicz od lat należy do najbardziej rozpoznawalnych i jednocześnie najbardziej kontrowersyjnych autorów zajmujących się historią XX wieku. Jego książki wywołują gorące dyskusje, ponieważ autor świadomie podważa utrwalone schematy myślenia i stawia pytania, których wielu historyków unika. *Polacy,* siódma część cyklu *Opowieści niepoprawne politycznie*, wpisują się w ten nurt, choć (jak inne pozycje z tej serii) dalekie są od klasycznej monografii historycznej. To zbiór esejów i wywiadów z historykami ukazujących polskie społeczeństwo poprzez losy konkretnych ludzi oraz wydarzeń, które ukształtowały współczesną tożsamość narodową.



WYDAWNICTWO REBIS

Od razu zaznaczmy, że tylko niewielki ułamek tej książki to teksty premierowe. Jej większość stanowią wywiady, spisane i opublikowane w latach 2005–2022. Podobnie zresztą skonstruowane są pozostałe „niepoprawne" książki Zychowicza, co staje się pewnym kontrowersyjnym standardem publicystyki i eseistyki historycznej. Zresztą teksty te powstawały w tak długim okresie, że niektóre z nich (choćby wywiady ze zmarłym w roku 2009 profesorem Pawłem Wieczorkiewiczem) mają same w sobie wartość historyczną, jako źródła, niekoniecznie opracowania. Zychowicz (tak ten sprzed czterech lat, jak i ten sprzed dwudziestu) potrafi pisać lekko, dynamicznie i z reporterskim wyczuciem szczegółu. Buduje opowieść, w której historia staje się żywa i pełna emocji (czasem aż za bardzo…). Dzięki temu *Polacy* nie nudzą, a nawet stawiane w nich obrazoburcze tezy ujęte są w gawędziarską formę, pozbawioną patosu czy poczucia intelektualnej wyższości. Są też snute na tyle klarownie, że mogą zainteresować nie tylko pasjonatów dziejów, ale również osoby sięgające po literaturę historyczną sporadycznie.

Autor koncentruje się na paradoksach polskiego charakteru

eprasa.pl 3678871f04

narodowego. Z jednej strony pokazuje niezwykłą odwagę, solidarność i gotowość do poświęceń, z drugiej – skłonność do wewnętrznych konfliktów, politycznej krótkowzroczności czy romantycznego idealizmu. Zychowicz nie idealizuje swoich bohaterów i nie tworzy narodowej hagiografii. Wręcz przeciwnie – często wskazuje na błędy, złe decyzje i zmarnowane szanse. Taki sposób prowadzenia narracji sprawia, że książka prowokuje do refleksji nad tym, czy historia Polski rzeczywiście musiała potoczyć się w znany nam sposób. Oczywiście, bardzo często niezgodnie z wizją snutą przez Zychowicza, acz jest to nieunikniona konsekwencja szukania kontrowersji.

Zychowicz nie ukrywa własnych ocen i preferencji interpretacyjnych. Nie próbuje udawać całkowicie bezstronnego badacza – występuje w roli publicysty historycznego, który przedstawia własną wizję wydarzeń. Dla jednych będzie to zaletą, ponieważ książkę czyta się jak dobrze napisany esej polemiczny. Dla innych stanie się wadą, gdyż autor niejednokrotnie formułuje daleko idące wnioski na podstawie selektywnie dobranych przykładów.

Przez książkę przewijają się wciąż te same pytania. Dlaczego Polacy wielokrotnie wybierali rozwiązania prowadzące do katastrofy? Czy narodowe mity pomagają zrozumieć historię, czy raczej utrudniają jej uczciwą ocenę? Gdzie przebiega granica między bohaterstwem a polityczną nieodpowiedzialnością? Nawet jeśli czytelnik nie zgadza się z odpowiedziami autora, trudno odmówić mu brawury w podejmowaniu takich tematów.

Przez książkę przewijają się wciąż te same pytania. Dlaczego Polacy wielokrotnie wybierali rozwiązania prowadzące do katastrofy? Czy narodowe mity pomagają zrozumieć historię, czy raczej utrudniają jej uczciwą ocenę? Gdzie przebiega granica między bohaterstwem a polityczną nieodpowiedzialnością?

Warto jednak pamiętać, że *Polacy* nie zastąpią akademickiego opracowania. Zychowicz świadomie upraszcza część zagadnień, podporządkowując je atrakcyjnej narracji. Książkę należy więc traktować raczej jako punkt wyjścia do dalszych poszukiwań niż jako ostateczne rozstrzygnięcie historycznych sporów. Osoby dobrze znające literaturę przedmiotu bez trudu odnajdą miejsca, w których autor pomija alternatywne interpretacje lub marginalizuje argumenty swoich oponentów.

W czasach gdy wiele publikacji historycznych ogranicza się do powtarzania utartych narracji, Zychowicz proponuje spojrzenie prowokujące do dyskusji. Nie chodzi nawet o to, czy ma rację, lecz o to, że zachęca czytelnika do samodzielnego wyrobienia sobie opinii. To cenna cecha literatury popularnonaukowej.

Zaskoczenie może budzić horyzont zainteresowań autora, czy raczej: bogactwo tematów wybranych do zbioru. Od ocen Powstania Warszawskiego, przez los Polaków wcielonych do Wehrmachtu i wizji alternatywnych historii Królestwa Kongresowego po kulisy akcji ratunkowej lotniczej katastrofy w Lasku Kabackim. Ba, jeden z tekstów w *Polakach* dotyczy w całości Czechów (choć jest on skonfrontowany z rozdziałami o postawach naszych przodków podczas okupacji i pytaniem o zasadność zorganizowanego oporu). Taki jest już jednak urok historycznego silva rerum.

Polacy to książka dla czytelników, którzy nie oczekują historii pozbawionej emocji. Jest to opowieść napisana z wyraźną tezą, ale jednocześnie oparta na szerokiej znajomości źródeł i literatury. Można spierać się z interpretacjami Zychowicza, można zarzucać mu nadmierny publicystyczny temperament, jednak trudno odmówić mu talentu popularyzatorskiego. To książka, która każdego czytelnika, niezależnie od poglądów, w którymś momencie zirytuje, a w innym przekona. Czy jest to krytyka czy rekomendacja, każdy musi już odpowiedzieć sobie sam. ■

Jego książki wywołują gorące dyskusje, ponieważ autor świadomie podważa utrwalone schematy myślenia i stawia pytania, których wielu historyków unika.

eprasa.pl 3678871f04

Przeczytane, opisane

Zachodni front. Historia pierwszej wojny światowej
Nick Lloyd

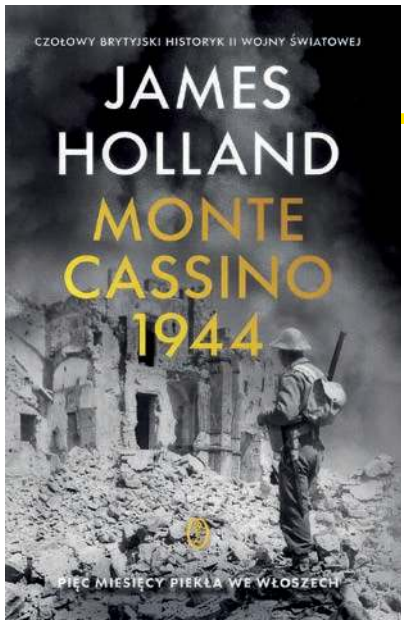


Front Zachodni nie jest pełną syntezą dziejów Wielkiej Wojny. To zaledwie jedna trzecia szerszego projektu, który Lloyd realizuje od kilku lat. Na rynku anglojęzycznym ukazał się już drugi tom, poświęcony walkom na froncie wschodnim, a trzeci znajduje się obecnie na biurku autora. Polscy czytelnicy otrzymali tłumaczenie pierwszej części, stanowiącej kompleksowe opracowanie działań zbrojnych I wojny światowej na froncie zachodnim.

Choć podział materiału ma charakter geograficzny, a nie chronologiczny – co często prowadzi do chaosu w opisie wojny, zwłaszcza w kontekście jej politycznych i gospodarczych uwarunkowań – tym razem rozwiązanie to sprawdza się bardzo dobrze. Autor koncentruje się przede wszystkim na perspektywie wyższych oficerów i dowódców szczebla operacyjnego, ukazując zmagania Wielkiej Wojny jako skomplikowaną partię szachów, w której kluczową rolę odgrywały ludzkie decyzje. Nie umniejszając bohaterstwa zwykłych żołnierzy ani nie pomijając ponurych aspektów wojny totalnej, Lloyd skupia się przede wszystkim na przedstawieniu sztuki wojennej z perspektywy map sztabowych oraz najwyższych dowódców kierujących dywizjami, korpusami i armiami w latach 1914–1918.

Z pewnością nie jest to lektura dla każdego. Jednak nawet początkujący miłośnik historii militarnej znajdzie w tej książce wartościowe kompendium, które pozwala zdobyć głębokie rozeznanie w przebiegu działań wojennych na froncie zachodnim.

Znak Horyzont 2026



Monte Cassino 1944
James Holland

James Holland stworzył imponującą, a zarazem niezwykle przystępną opowieść o jednej z najbardziej złożonych kampanii II wojny światowej. Nie koncentruje się jedynie na opisach manewrów oraz kolejnych etapów walk. Przedstawia szeroki przekrój społeczeństwa dotkniętego wojną: żołnierzy, cywili, mnichów czy medyków. Z niezwykłą dokładnością ukazuje to, co w realiach wojennych było codziennością, łącząc szeroką panoramę wydarzeń z osobistymi relacjami, listami i dziennikami, dzięki temu mimo znacznej objętości, publikacja zachowuje tempo dobrej narracji historycznej. Mapy, fotografie i klarowne objaśnienia pomagają odnaleźć się w gąszczu nazw oraz jednostek. To rzetelna, poruszająca i znakomicie napisana książka, która przypomina, że za wielką historią zawsze stoją konkretni ludzie.

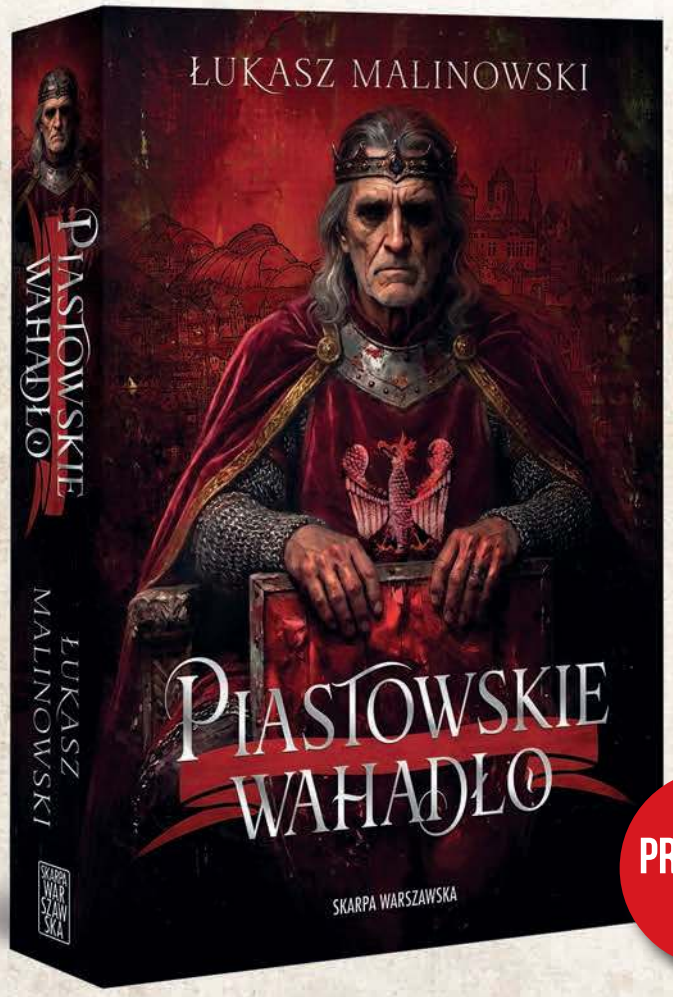
Wydawnictwo Literackie 2026

eprasa.pl 3678871f04

PIASTOWSKIE WAHADŁO

TO LITERACKA BIOGRAFIA BOLESŁAWA WSTYDLIWEGO,

opowieść o trzynastowiecznym Krakowie, świecie bez czyśćca, gdzie cnota zderza się z rozpustą, a rycerskość z podłością.



PREMIERA: 12.08.

W roku Pańskim 1227 nieopodal Gąsawy zostaje zamordowany książę Leszek Biały, osierocając rocznego syna Bolesława. Nowy dzierżyciel Krakowa staje przed trudnym zadaniem. Musi przeżyć i obronić swoją dzielnicę przed zakusami zachłannych krewniaków. Pomagają mu w tym surowa matka, duchowni, mordercy, a przede wszystkim tajemniczy Piękny Młodzieniec, który mieni się opiekunem jego rodu. Kiedy w życiu dorastającego władcy pojawia się zimna bryła soli, wszystko zaczyna zmierzać ku lepszemu...

SKARPA WARSZAWSKA

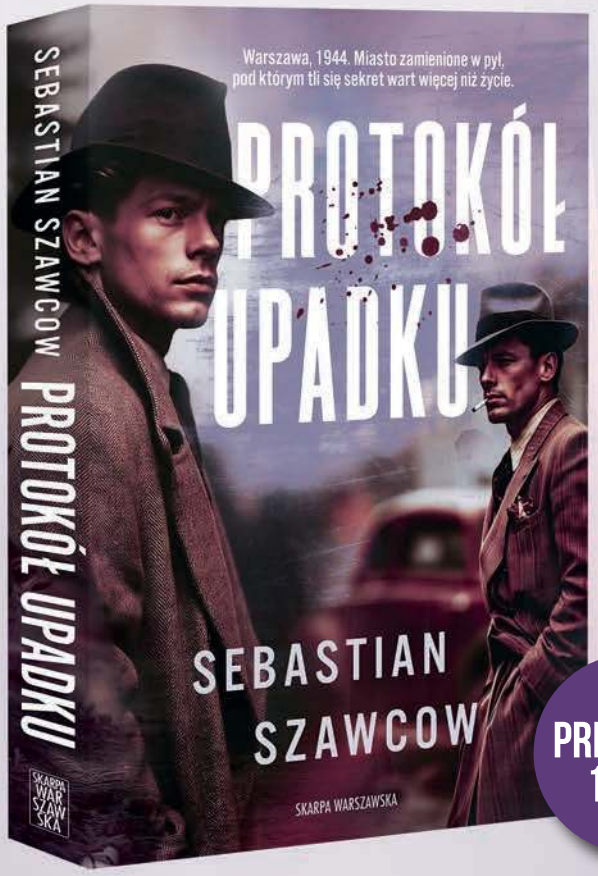
inbook.pl

www skarpawarszawska.pl /SkarpaWarszawska skarpawarszawska SkarpaWarszawska

eprasa.pl 3678871104

WARSZAWA, 1944.

MIASTO ZAMIENIONE W PYŁ, POD KTÓRYM TLI SIĘ SEKRET WART WIĘCEJ NIŻ ŻYCIE.



PREMIERA: 12.08.

Julian – młody kustosz, który wierzy, że piękno może ocalić świat.
Marek – detektyw, który wie, że w ruinach ocala tylko skuteczne kłamstwo.
I on – baron von Stein, architekt zła, który z ludzkich upadków tworzy swoją najdoskonalszą galerię.
Wszyscy szukają mitycznej „Skrzyni Numer Cztery". Wrogowie i przyjaciele wierzą, że skrywa bezcenne skarby narodowe. Prawda jest jednak znacznie brudniejsza. Wewnątrz spoczywa „Lustracja" – rejestr hańby elit, które sprzedały naród za obietnicę przetrwania.

W labiryncie płonących bibliotek i lodowatych kanałów Julian i Marek wchodzą w świat, gdzie lojalność jest walutą, a miłość – błędem w obliczeniach drapieżnika. Kiedy fundamenty ich świata ostatecznie pękną, ktoś będzie musiał wybrać: honor umarłych czy życie zdrajców?
Prawda, która niszczy, czy cisza, która pozwala budować na nowo?

**W TEJ GRZE RAMY ZOSTAŁY USTAWIONE NA DŁUGO PRZED PIERWSZYM STRZAŁEM.
A KAŻDA PRAWDA JEST TOKSYCZNA.**

SKARPA WARSZAWSKA

KUP KSIĄŻKĘ NA inbook.pl

skarpawarszawska.pl /SkarpaWarszawska skarpawarszawska SkarpaWarszawska

eprasa.pl 3678871f04